DIALOG

Deutsch-Polnisches Magazin
Magazyn Polsko-Niemiecki
Nr. /*nr* 106 (04/2013-2014) Preis 5,50 €/cena 12 zł *(w tym 5% VAT)*

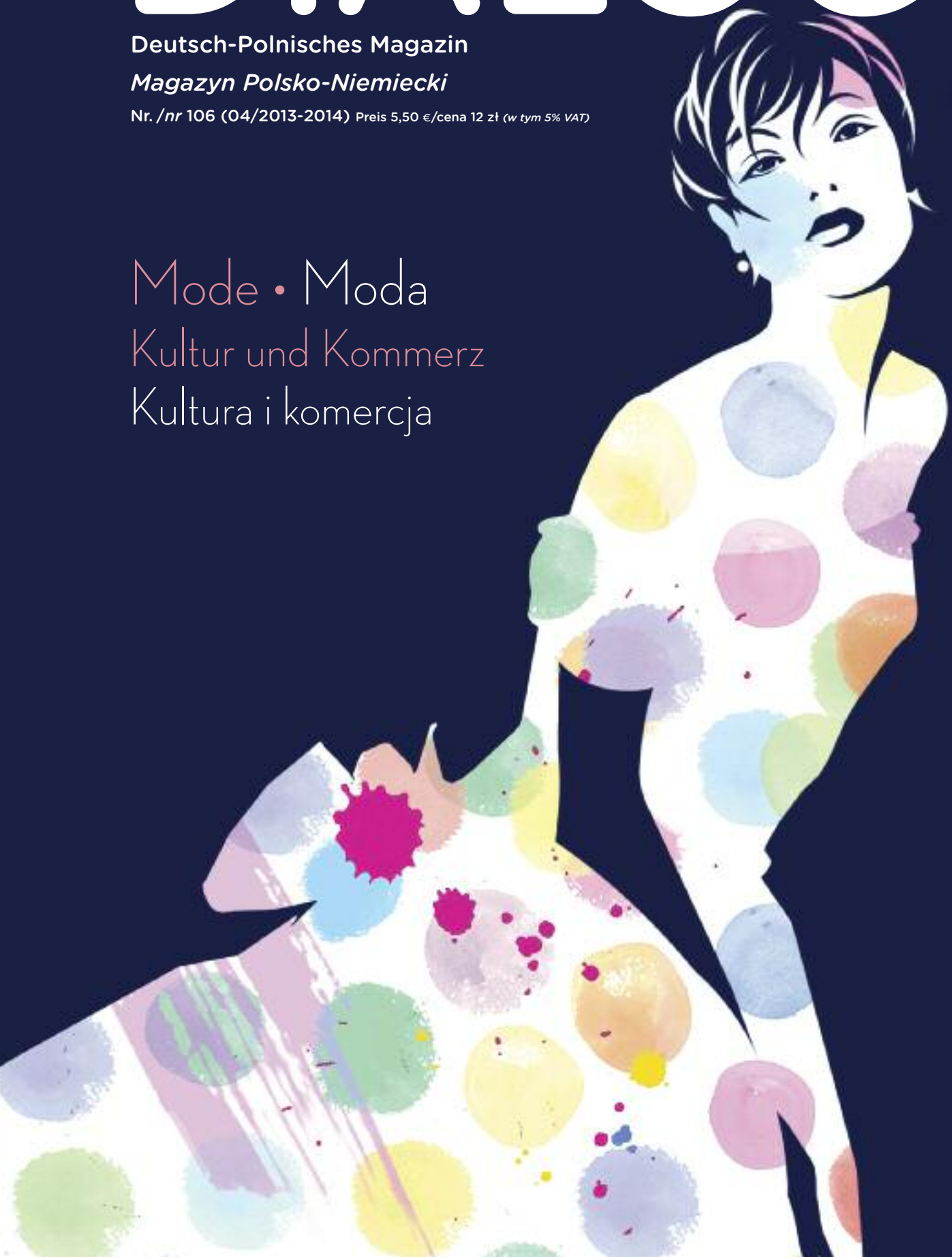

Mode • Moda
Kultur und Kommerz
Kultura i komercja

DIALOG • Deutsch-Polnisches Magazin • Magazyn Polsko-Niemiecki

Nr. • nr 106 (2013-2014), XXVI. Jahrgang • rocznik XXVI, Umschlag • okładka: Wiesław Smętek

Herausgeber • wydawca: Deutsch-Polnische Gesellschaft Bundesverband, www.dpg-bundesverband.de

Partner in Polen • partner w Polsce: „Przegląd Polityczny" • www.przegladpolityczny.pl • Facebook: DIALOG Deutsch -Polnisches Magazin

Fot. Grzegorz Mehring

Basil Kerski
Chefredakteur / redaktor naczelny

Editorial

Ich muss zugeben, ich zähle zu denjenigen Menschen, die ein distanziertes Verhältnis zu Mode haben. Ungern unterwerfe ich mich Modediktaten. Aktuelle Trends wecken in mir den Geist des Widerstandes, das Anarchische in mir. Ganz im Sinne Oscar Wildes suche ich einen eigenständigen ästhetischen Weg: „Mode ist was man selber trägt. Was unmodern ist, tragen die anderen." Doch offen gestanden, ist eine vollkommene Unabhängigkeit in Sachen Mode eine Illusion. Trotz meines Widerstandes kann ich mich – wie andere Menschen auch – dem Sog der Trends nicht entziehen. Es reicht nur ein Blick auf ältere Privatfotos und schnell ist die Legende von der modischen Autarkie widerlegt. Mode ist nicht nur Diktat und Kommerz, Mode ist auch Kreativität. Mit Kleidung und Accessoires können wir Lebensfreude ausdrücken, durch Mode „wird das Phantastische für einen Augenblick allgemein" (um wieder Oscar Wilde zu zitieren). Der Blick auf unsere Kleidung bietet die Chance, die Kultur des Alltags zu deuten. Zweifelsohne spiegeln Trends – unabhängig von Altersgruppe und sozialer Stellung – unsere Epoche, den Zeitgeist wider. Es wäre eine Blindheit und Ignoranz gegenüber der kulturellen Dynamik unserer Gesellschaften, dies zu verkennen. Diese Überzeugung hat uns zu der vorliegenden Ausgabe des DIALOG inspiriert. Das Material, das wir publizieren, ist umfangreich. Das Panorama polnischer und deutscher Mode ist aber damit nicht vollkommen. Doch allein die hier veröffentlichten Texte zeigen, wie anregend die Auseinandersetzung mit dem Thema sein kann, welche neuen Perspektiven sich dann erschließen. Das beweist Ulrike Gropp in ihrem höchst lesenswerten Essay über das Verhältnis von Mode und Politik, das diese Ausgabe des DIALOG eröffnet. Darin greift Gropp auf die Überlegungen des slowenischen Philosophen Slavoj Žižek über die Widerspiegelung der Gesellschaft in der Mode zurück. Žižeks Worte charakterisieren treffend die Idee zu diesem neuen DIALOG: „Die richtige Analyse von Mode kann Grundwahrheiten über eine Gesellschaft hervorbringen, weil jeder unbefangen über Mode kommuniziert. Wenn das Gespräch über Politik verstummt, werden die Aussagen über Mode gemacht."

Od redakcji

Muszę przyznać, że zaliczam się do ludzi, którzy do mody podchodzą z dystansem i niechętnie poddaję się jej nakazom. Aktualne trendy budzą we mnie ducha sprzeciwu, element anarchistyczny. Idąc za przykładem Oscara Wilde'a, poszukuję własnych estetycznych rozwiązań: „Modne jest to, co się samemu nosi. Niemodne – to, co noszą inni". Ale szczerze mówiąc, całkowita niezależność w kwestiach mody jest iluzją. Mimo wewnętrznego sprzeciwu nie jestem w stanie – podobnie jak inni – wymknąć się sile przyciągania nowych trendów. Wystarczy spojrzeć na swoje starsze zdjęcia i legenda o własnej autarkii w dziedzinie mody z miejsca jest obalona. Ale moda to nie tylko nakazy i komercja, to również kreatywność. Ubiór i akcesoria pozwalają nam dać wyraz radości życia, dzięki modzie „prawdziwa fantastyczność na chwilę staje się powszechną" (przywołując po raz kolejny słowa Oscara Wilde'a). Rzut oka na nasz ubiór daje możliwość interpretacji naszej kultury codziennej. Trendy bez wątpienia odzwierciedlają – niezależnie od grupy wiekowej i pozycji społecznej – naszą epokę, ducha czasu. Niedocenianie jej byłoby ślepotą i ignorancją wobec kulturowej dynamiki naszych społeczeństw. Przekonanie to stało się inspiracją do niniejszego wydania DIALOGU. Prezentujemy Czytelnikom obszerny materiał, co nie oznacza, że wyczerpuje on krajobraz polskiej i niemieckiej mody. Ale opublikowane teksty pokazują, jak interesujące może być zajmowanie się tym tematem i jakie nowe perspektywy otwierają się podczas pracy. Dowodem na to jest otwierający magazyn niezwykle interesujący esej Ulrike Gropp o powiązaniach mody i polityki. Gropp nawiązuje do przemyśleń słoweńskiego filozofa Slavoja Žižka o odzwierciedlaniu się społeczeństw w modzie. Słowa Žižka trafnie charakteryzują ideę nowego wydania DIALOGU: „Prawidłowa analiza mody może ujawnić podstawowe prawdy o społeczeństwie, bo o modzie każdy wypowiada się nieskrępowanie. Kiedy milknie rozmowa o polityce, zaczyna się mówić o modzie".

DIALOG Deutsch-Polnisches Magazin • *Magazyn Polsko-Niemiecki*

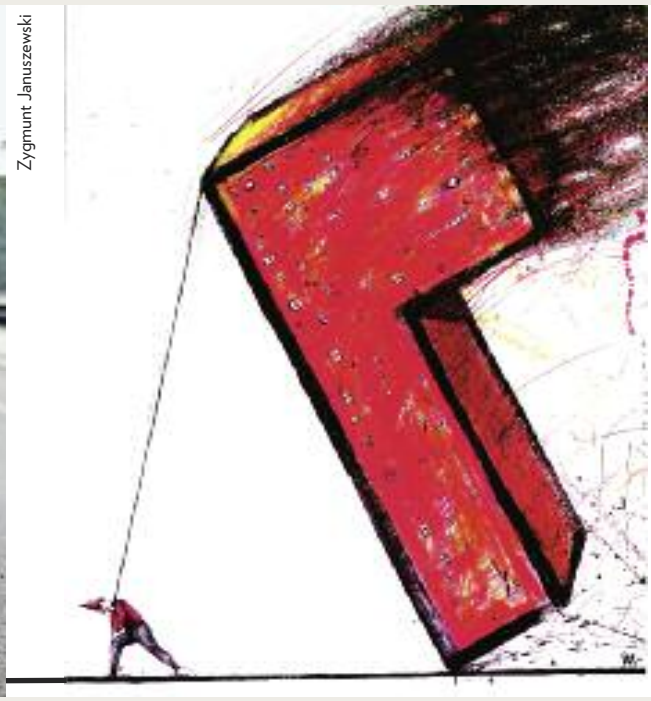

Zygmunt Januszewski

Mode – Kultur und Kommerz 8
Moda – Kultura i komercja 8

Andrzej Paczkowski
Krieg und Frieden: Neue europäische Erinnerungslandschaft 67
Wojna i pokój: Nowy europejski pejzaż pamięci 73

PANORAMA

Deutsch-polnisches Panorama 4, 77, 85
Panorama polsko-niemiecka 4, 77, 85

MODE / MODA

Ulrike Gropp
Mode und Politik: Bruchlinien unserer Zivilisation 9
Moda i polityka: Linie podziału w naszej cywilizacji 12

Angelika Taschen
Magie einer Metropole: Looks like Berlin 14
Magia metropolii: Berliński styl 18

Dorota Danielewicz
Eleganz und Avantgarde: Die Mode von EwelineB 20
Elegancja połączona z awangardą: Moda EwelineB 22

Agnieszka Drotkiewicz
Warschauer Stil: Die Jacke der Queen 25
Warszawski styl: Kurtka królowej 28

Maria Janiszewska
Mut und Extravaganz: Eine kurze Geschichte
der (polnischen) Mode 30
Odwaga i ekstrawagancja: Krótka historia (polskiej) mody 35

Marcin Kołodziejczyk
Eine polnische Legende: Mission à la Hoff 41
Polska legenda: Hoff misja 48

Magdalena Parys
Karl Otto Lagerfeld: Ein Pariser Midas 54
Karl Otto Lagerfeld: Midas paryski 60

ERINNERUNGSKULTUR/ KULTURA PAMIĘCI

Andrzej Paczkowski
Krieg und Frieden: Neue europäische Erinnerungslandschaft 67
Wojna i pokój: Nowy europejski pejzaż pamięci 73

DIALOG-PREIS / NAGRODA DIALOGU

Gunter Hofmann
Innere Nachbarn: Eine Laudatio auf Adam Krzemiński,
den Träger des DIALOG-Preises 2013 78
Wewnętrzni sąsiedzi: Laudacja dla Adama Krzemińskiego
z okazji przyznania Nagrody DIALOGU 2013 81

Ein neuer Gründungsakt Europas?
Die Europäische Union und der Nationalstaat in Zeiten der Krise 86

Nowy akt założycielski Europy?
Unia Europejska i państwa narodowe w czasach kryzysu 91

Polnische Filmkunst in Deutschland:
DIALOG-Preis 2013 für Grażyna Słomka 84
Polska sztuka filmowa w Niemczech:
Nagroda DIALOGU 2013 dla Grażyny Słomki 84

EUROPA

Ein neuer Gründungsakt Europas?
Die Europäische Union und der Nationalstaat in Zeiten der Krise.
Basil Kerski im Gespräch mit Adam Krzemiński, Dietmar Nietan
und Johann Wadephul 86
Nowy akt założycielski Europy?
Unia Europejska i państwa narodowe w czasach kryzysu.
Z Adamem Krzemińskim, Dietmarem Nietanem
i Johannem Wadephulem rozmawia Basil Kerski 91

GESELLSCHAFT / SPOŁECZEŃSTWO

Jubiläum: Das Maximilian-Kolbe-Werk wurde 40 Jahre alt 96
Jubileusz: Stowarzyszenie Maximilian-Kolbe-Werk
skończyło 40 lat 97

Unsere Partnerredaktion in Polen • Nasz partner w Polsce

PRZEGLĄD POLITYCZNY

„Przegląd Polityczny" – magazyn intelektualny. Od początku naszego istnienia zajmujemy się najszerzej pojętą sferą publiczną. Jesteśmy jednym z ostatnich czasopism „drugiego obiegu", wydawanym nieprzerwanie od pierwszej połowy lat osiemdziesiątych (pierwszy numer ukazał się w 1983 r.). Wspólnym elementem łączącym ogłaszane u nas publikacje jest krytyczny osąd rzeczywistości. Konsekwentnie rozwijając formułę magazynu intelektualnego, „Przegląd Polityczny" stał się jednym z najważniejszych czasopism w kraju – pismem intelektualnego „centrum".

www.przegladpolityczny.pl

Auswärtiges Amt

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Dem Auswärtigen Amt und der Stiftung für Deutsch-Polnische Zusammenarbeit möchten wir für die Finanzierung dieser DIALOG-Ausgabe ganz herzlich danken. * *Za finansowe wsparcie niniejszego numeru DIALOGU serdecznie dziękujemy Ministerstwu Spraw Zagranicznych RFN i Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej .*

PANORAMA

22. Kongress der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Bundesverband in Berlin • Vom 25. bis zum 27. Oktober 2013 fand in Berlin der 22. Kongress „Nachbarschaft in der Mitte Europas“ statt. Der Kongress ist das traditionelle jährliche Treffen der Deutsch-Polnischen Gesellschaften. Mit insgesamt 220 Teilnehmern konnte das Große Forum in der Konrad-Adenauer-Stiftung bis auf den letzten Platz gefüllt werden. Der Höhepunkt der Jahrestagung war die Verleihung des DIALOG-Preises, mit dem 2013 zwei Personen ausgezeichnet wurden. Zum einen erhielt die Journalistin und Regisseurin Grażyna Słomka den Preis für die Popularisierung polnischer Filmkunst in Deutschland. Zum anderen wurde Adam Krzemiński für seine publizistische Tätigkeit in Deutschland und Polen ausgezeichnet. Vertreter der Politik (u. a. Hans-Gert Pöttering, Vorsitzender der Konrad-Adenauer-Stiftung, Jerzy Margański, Botschafter der Republik Polen in Deutschland, Staatsministerin Cornelia Pieper, Staatssekretärin Hella Dunger-Löper) haben in ihren Grußworten das Engagement sowohl der beiden Preisträger als auch der Organisatoren des Jahreskongresses gewürdigt. Zwei Laudationes auf die Preisträger, gehalten von dem langjährigen Redakteur der „Zeit“, Gunter Hofmann und dem weltbekannten polnischen Regisseur Krzysztof Zanussi, haben die feierliche Eröffnung der Jahrestagung abgerundet. Der zweite Kongresstag war von Podiumsdiskussionen zu aktuellen Themen der deutsch-polnischen Beziehungen geprägt. Mit dem Thema „Kulturelle Vielfalt: junge polnische Migranten als Brückenbauer zwischen den Kulturen“ haben sich die Teilnehmer erstmalig mit Fragestellungen zu Migranten dritter Generation auseinandergesetzt. Ein weiteres Podium war der zwischen Deutschland und Polen in jüngster Vergangenheit entfachten Debatte zum ZDF-Film „Unsere Mütter, unsere Väter“ gewidmet. Mit dem provokanten Titel der Diskussion „Unsere Opfer, eure Täter? Zur deutsch-polnischen Debatte über die Vermittlung von Geschichte“ wurde der Fokus auf das Opfer-Täter-Narrativ über den Zweiten Weltkrieg gelegt. Die beiden Preisträger hatten die Möglichkeit, auch aktiv am Kongress teilzunehmen. Adam Krzemiński war neben Dietmar Nietan (Vorsitzender der DPGBV) sowie Johann Wadephul (MdB) Hauptgast der Podiumsdiskussion zum Thema „Die EU und der Nationalstaat in Zeiten der Krise“. Grażyna Słomka hielt einen kurzen Vortrag über die Popularisierung des polnischen Films in Deutschland und die Durchführung von Filmprojekten am Beispiel des von ihr organisierten Festivals FilmlandPolen. (www.dpg-bundesverband.de/veranstaltungen)

XXII Kongres Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich w Berlinie • W dniach 25–27 października 2013 odbył się w Berlinie XXII kongres pod hasłem „Sąsiedztwo w środku Europy”, doroczne tradycyjne spotkanie Towarzystw Niemiecko-Polskich. 220 uczestników zasiadło w Wielkiej Auli Fundacji Konrada Adenauera. Wręczenie Nagrody DIALOGU, którą w tym roku otrzymały dwie osoby, co roku stanowi punkt kulminacyjny kongresu. Nagrodę otrzymała dziennikarka i reżyserka Grażyna Słomka za zaangażowanie w popularyzację polskiej kinematografii w Niemczech. Drugim laureatem został Adam Krzemiński – uhonorowany za działalność publicystyczną w Polsce i Niemczech. Przedstawiciele sfery polityki (przewodniczący Fundacji Konrada Adenauera i poseł PE Hans-Gert Pöttering, ambasador Polski w Niemczech Jerzy Margański, minister stanu Cornelia Pieper, sekretarz stanu Hella Dunger-Löper) docenili zaangażowanie zarówno obojga laureatów, jak i organizatorów kongresu. Laudacje na cześć laureatów wygłosili: Gunter Hofmann, wieloletnio redaktor tygodnika „Die Zeit” oraz światowej sławy reżyser Krzysztof Zanussi. Drugi dzień zjazdu poświęcony był dyskusjom panelowym na temat aktualnych zagadnień dotyczących stosunków polsko-niemieckich. „Różnorodność kulturowa: młodzi polscy emigranci jako budowniczowie pomostu pomiędzy kulturami” to tytuł pierwszej debaty, podczas której uczestnicy po raz pierwszy zajęli się problematyką trzeciego pokolenia polskich emigrantów w Niemczech. Kolejna dyskusja skupiła się na reakcjach ze strony Polski i Niemiec wywołanych filmem telewizji ZDF „Nasze matki, nasi ojcowie”. Prowokacyjny tytuł dyskusji „Nasze ofiary, wasi oprawcy? Wokół polsko-niemieckiej debaty na temat przedstawiania historii” dotyczył narracji II wojny światowej z perspektywy ofiary i oprawcy. Laureaci nagrody mieli również okazję aktywnie uczestniczyć w obradach kongresu. Adam Krzemiński był głównym gościem na podium – zasiadł obok Dietmara Nietana (przewodniczącego FZTNP) oraz Johanna Wadephula (deputowanego do Bundestagu), biorąc udział w dyskusji „UE i państwa narodowe w dobie kryzysu”. Grażyna Słomka wygłosiła krótkie przemówienie na temat popularyzacji polskiej kinematografii w Niemczech na przykładzie organizowanego przez nią festiwalu FilmlandPolen. (www.dpg-bundesverband.de/veranstaltungen)

Stiftung „Karl-Dedecius-Literaturarchiv“ gegründet • Am 28. November hat Karl Dedecius an der Europa-Universität Viadrina die Stiftung „Karl-Dedecius-Literaturarchiv“ gegründet und der Universität einen Teil seiner Büchersammlung samt Verlagsrechten übergeben. Die Stiftung wird gemeinsam mit der Robert Bosch Stiftung und dem Deutschen Polen-Institut in Darmstadt einmal jährlich den Karl-Dedecius-Preis für deutsch-polnische Literaturübersetzer verleihen. Karl Dedecius steht der Europa-Universität Viadrina seit Jahren sehr nahe. 1999 war er der erste Träger des Viadrina-Preises, den er für seine herausragenden Verdienste um die Beziehungen zwischen Deutschland und Polen erhielt. 2011 verlieh ihm die Universität die Ehrendoktorwürde.

Powstała Fundacja Karla Dedeciusa • 28 listopada 2013 na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą Karl Dedecius zainaugurował działalność Fundacji „Archiwum Literackie Karla Dedeciusa” i przekazał Uniwersytetowi część swojego księgozbioru wraz z prawami wydawni-

czymi. Ustanowiono, że Deutsches Polen-Institut w Darmstadcie, Fundacja im. Roberta Boscha oraz nowopowstała Fundacja corocznie przyznawać będą nagrodę im. Karla Dedeciusa za polsko-niemieckie tłumaczenia literackie. Karl Dedecius jest od lat związany z Uniwersytetem Europejskim Viadrina. W 1999 r. został pierwszym laureatem przyznawanej przez uczelnię corocznej Nagrody Viadriny za szczególny wkład w rozwój relacji polsko-niemieckich, a w 2011 otrzymał tytuł doktora honoris causa tej uczelni.

20 Jahre Polnisches Institut Düsseldorf • Am 29. November fand in Düsseldorf anlässlich des 20-jährigen Jubiläums des Polnischen Instituts Düsseldorf eine feierliche Gala statt, an der der Botschafter der Republik Polen in Deutschland Jerzy Margański, die Ministerin für Bundesangelegenheiten, Europa und Medien des Landes NRW Angelica Schwall-Düren sowie Düsseldorfs Oberbürgermeister Dirk Elbers teilnahmen. Das Polnische Institut Düsseldorf nahm seine Tätigkeit am 29. November 1993 auf. Die feierliche Eröffnung fand 1993 unter Beteiligung von Johannes Rau (damals Ministerpräsident des Landes NRW, später Bundespräsident), von dem ehemaligen Botschafter Polens in Deutschland Janusz Reiter, dem Dichter Tadeusz Różewicz, Karl Dedecius und Marion Gräfin Dönhoff statt. In seiner 20-jährigen Geschichte hat das Institut mehr als 2.000 Projekte verwirklicht: Ausstellungen der Werke von Bruno Schulz, Magdalena Abakanowicz, Maria Jarema, Franciszek Starowieyski, Paweł Althamer, Leon Tarasewicz, Theaterfestivals mit Stücken von Grzegorz Jarzyna, Krystian Lupa, Krzysztof Warlikowski und die Vorstellung von 40 polnischen Autoren in 40 deutschen Städten während der Frankfurter Buchmesse im Jahr 2000 – um nur einige Beispiele zu nennen. Jan Klata arbeitet regelmäßig an Theateraufführungen mit Schauspielern des Bochumer Theaters. Ryszard Krynicki, Sylwia Chutnik und Wojciech Jagielski bieten Workshops an den Universitäten in Mainz, Dortmund, Münster und Bochum an; auf dem Beethovenfest in Bonn treten u. a. Krzysztof Penderecki und die Sinfonia Varsovia auf. Polnische Jazzmusiker zählen zu geschätzten Stammgästen der nordrhein-westfälischen Musikszene. Das Institut nimmt darüber hinaus an Initiativen deutscher Museen und Hochschulen teil, unterstützt die Programmgestaltung von Musik- und Filmfestivals und organisiert Studienfahrten nach Polen. Das Programm der Jubiläumsfeierlichkeiten umfasste Konzerte, Lesungen, einen literarischen Salon zum 19. Jahrhundert und eine von den Texten Stanisław Lems inspirierte Theaterperformance. Gekrönt wurde das Jubiläum durch die Vorpremiere des eigens aus diesem Anlass von Christian Banasik komponierten Werkes „Der Sinne Uhrwerk" zu Texten von Heinrich Heine, Wisława Szymborska und Julia Hartwig. Seit vier Jahren wird das Institut in Düsseldorf von Katarzyna Sokołowska geleitet.

20 lat Instytutu Polskiego w Düsseldorfie • 29 listopada 2013 odbyła się w Düsseldorfie gala jubileuszowa z okazji 20-lecia Instytutu Polskiego w Düsseldorfie. W uroczystości brali udział ambasador RP Jerzy Margański, minister ds. europejskich Nadrenii Północnej-Westfalli Angelica Schwall-Düren oraz nadburmistrz Düsseldorfu Dirk Elbers. Instytut w Düsseldorfie rozpoczął działalność 29 listopada 1993 r. Uroczystego otwarcia przed 20 laty dokonali Johannes Rau (wówczas premier kraju związkowego Nadrenia Północna-Westfalia, później prezydent RFN), ówczesny ambasador RP Janusz Reiter oraz Tadeusz Różewicz i Karl Dedecius. W uroczystości uczestniczyła również Marion hrabina Dönhoff. W ciągu 20 lat istnienia Instytut zrealizował ponad dwa tysiące projektów. Wystawy prac Brunona Schulza, Magdaleny Abakanowicz, Marii Jaremy, Franciszka Starowieyskiego, Pawła Althamera, Leona Tarasewicza, festiwale teatralne ze spektaklami Grzegorza Jarzyny, Krystiana Lupy, Krzysztofa Warlikowskiego, prezentacja 40 polskich autorów w 40 niemieckich miastach podczas Targów Książki we Frankfurcie w 2000 r., to tylko kilka wybranych przykładów działalności placówki. Jan Klata regularnie przygotowuje spektakle z aktorami teatru w Bochum. Ryszard Krynicki, Sylwia Chutnik i Wojciech Jagielski prowadzą warsztaty na uniwersytetach w Moguncji, Dortmundzie, Münster i Bochum, a na Festiwalu Beethovenowskim w Bonn występują m.in. Krzysztof Penderecki i Sinfonia Varsovia. Polscy jazzmani są stałymi i cenionymi gośćmi nadreńskich scen muzycznych. Ponadto, placówka bierze udział w inicjatywach niemieckich muzeów i wyższych uczelni, współtworzy program festiwali muzycznych i filmowych i organizuje podróże studyjne do Polski. Na program jubileuszowy złożyły się koncerty, wieczory autorskie, literacki salon z XIX wieku i teatralny performance wg tekstów Stanisława Lema. Galę uświetniła prapremiera skomponowanego specjalnie na tę okazję utworu Christiana Banasika „Mechanizm zmysłów" do tekstów Heinricha Heinego, Wisławy Szymborskiej i Julii Hartwig. Od czterech lat Instytutem w Düsseldorfie kieruje Katarzyna Sokołowska.

Eröffnung des Aleksander-Brückner-Zentrums für Polenstudien • Am 21. Oktober 2013 wurde in Jena in Anwesenheit der Universitätsleitung und des Botschafters der Republik Polen in Deutschland, Jerzy Margański, das Aleksander-Brückner-Zentrum für Polenstudien eröffnet. Die Leitung des neuen Zentrums übernahmen Prof. Yvonne Kleinmann und Prof. Achim Rabus. Das Aleksander-Brückner-Zentrum für Polenstudien entstand dank der Zusammenarbeit der Friedrich-Schiller-Universität Jena und der Martin-Luther-Universität Halle-Wittenberg. Die zwei neuen Professuren – für Geschichte an der Universität in Halle und für Slawistik/Polonistik in Jena – werden für den Zeitraum 2013–2018 von der Stiftung für Deutsch-Polnische Zusammenarbeit gefördert. Zusätzlich wird das Zentrum vom DAAD und der Deutsch-Polnischen Wissenschaftsstiftung mitgetragen.

Otwarcie Centrum im. Aleksandra Brücknera • 21 października 2013 w Jenie z udziałem władz uniwersyteckich i ambasadora RP Jerzego Margańskiego miało miejsce otwarcie Centrum im. Aleksandra Brücknera. Kierownctwo Centrum objęli prof. Yvonne Kleinmann i prof. Achim Rabus. Powstanie Centrum Studiów Polonoznawczych im. Aleksandra Brücknera to wynik współpracy Uniwersytetu Friedricha Schillera w Jenie i Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle. Dwie nowe profesury: historyczna na uniwersytecie w Halle i slawistyczna/polonistyczna na uniwersytecie w Jenie, zostaną sfinansowane w latach 2013–18 ze środków Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Dodatkowe środki przeznaczą DAAD i Polsko-Niemiecka Fundacja na rzecz Nauki.

20 Jahre Stiftung Genshagen • Im Schloss Genshagen feierte die Stiftung Genshagen am 3. Dezember 2013 ihr 20-jähriges Jubiläum. Eröffnet wurde die feierliche Veranstaltung durch den Ehrenpräsidenten Rudolf von Thadden. Das Wort ergriffen ebenfalls Rita Süssmuth, Bundestagspräsidentin a. D. und Ehrenmitglied des Stiftungsvorstandes, sowie Jerzy Margański, Botschafter der Republik Polen in Deutschland. Höhepunkt der Jubiläumsveranstaltung war der Vortrag des stellvertretenden Beiratsvorsitzenden der Stiftung, Prof. Wolf Lepenies. Auch Maurice Gourdault-Montagne, Botschafter der Französischen Republik in Deutschland, Dietmar Woidke, Brandenburgs Ministerpräsident, sowie Vertreter des Beauftragten der Bundesregierung für Kultur und Medien nahmen teil. Die Stiftung Genshagen verfolgt das Ziel, Europa in seiner kulturellen Vielfalt, seine politische Handlungsfähigkeit, gesellschaftlichen Zusammenhalt und sein Wirtschaftswachstum zu stärken. Die Stiftung konzentriert sich dabei insbesondere auf die deutsch-französischen und deutsch-polnischen Beziehungen sowie das Weimarer Dreieck. Das trinationale und somit europäische Profil der Stiftung spiegelt sich in der Auswahl ihrer Mitarbeiter, der Zusammensetzung der Gremien und Publikationen wider.

20-lecie Fundacji Genshagen • W Pałacu Genshagen 3 grudnia 2013 r. Fundacja Genshagen obchodziła 20-lecie powstania. Uroczystość otworzył honorowy prezydent Fundacji, Rudolf von Thadden. Okolicznościowe przemówienia wygłosili Rita Süssmuth, honorowy członek zarządu Fundacji i b. przewodnicząca Bundestagu, oraz ambasador RP Jerzy Margański. Głównym punktem programu jubileuszowego był uroczysty wykład prof. Wolfa Lepeniesa, wiceprzewodniczącego Rady Fundacji Genshagen. W obchodach uczestniczyli także ambasador Francji Maurice Gourdault-Montagne, premier Brandenburgii Dietmar Woidke i przedstawiciele Pełnomocnika Rządu Federalnego ds. Kultury i Mediów. Fundacja Genshagen ma na celu wzmacnianie Europy w jej kulturowej różnorodności, zdolności do działań politycznych, spójności społecznej i wzroście gospodarczym. Fundacja poświęca szczególną uwagę relacjom niemiecko-francuskim i niemiecko-polskim oraz Trójkątowi Weimarskiemu. Trójstronny, a zarazem europejski charakter Fundacji znajduje odzwierciedlenie w profilu pracowników, składzie gremiów i publikacjach.

Wissenschaftlicher Förderpreis des Botschafters der Republik Polen verliehen • Bereits zum sechsten Mal wurde der Wissenschaftliche Förderpreis des Botschafters der Republik Polen für die beste Dissertation und Masterarbeit verliehen. Sabine Jagodzinski und Saskia Metan erhielten den diesjährigen Preis. Die Jury des Wettbewerbs hat zudem noch drei Auszeichnungen an Claudia Schneider, Sven Jaros und Johannes Czakai vergeben. Die Preisverleihung fand im Greifswalder Wissenschaftskolleg während der Eröffnung des polnischen Kulturfestivals „polenmARkT“ im November 2013 statt. Der Preis wird seit 2008 an Studenten deutscher Universitäten für herausragende Dissertationen und Masterarbeiten aus dem Bereich der Geistes- und Sozialwissenschaften zur polnischen Geschichte und Kultur sowie zu den deutsch-polnischen Beziehungen verliehen.

Wręczenie Nagrody Naukowej Ambasadora RP • Po raz szósty wręczono Nagrody Naukowe Ambasadora RP za najlepszą pracę doktorską i magisterską. Laureatkami tegorocznej nagrody zostały Sabine Jagodzinski oraz Saskia Metan. Jury konkursu przyznało także trzy wyróżnienia: Claudii Schneider, Svenowi Jarosowi i Johannesowi Czakaiowi. Wręczenie nagród odbyło się w Wissenschaftskolleg w Greifswaldzie w trakcie inauguracji festiwalu kultury polskiej „polenmARkT” w listopadzie 2013. Nagroda przyznawana jest od 2008 r. studentom niemieckich uniwersytetów za wybitne prace doktorskie i magisterskie z dziedziny nauk humanistycznych i socjologii, poświęcone tematyce polskiej historii i kultury oraz stosunkom polsko-niemieckim.

Bundesverdienstkreuz für Dieter Bingen • Anlässlich des Tags der Deutschen Einheit hat Bundespräsident Joachim Gauck am 4. Oktober 2013 Prof. Dieter Bingen mit dem Großen Verdienstkreuz des Verdienstordens der Bundesrepublik Deutschland ausgezeichnet. Der Direktor des Deutschen Polen-Instituts wurde vom Bundespräsidenten im Schloss Bellevue im Rahmen einer Festveranstaltung geehrt. In der kurzen Vorstellung durch die Ordenskanzlei des Bundespräsidialamtes hieß es: „Der Politologe und Historiker setzt sich seit Jahrzehnten für die Pflege der deutsch-polnischen Beziehungen ein. Dieter Bingen ist einer der profiliertesten Kulturvermittler und Politikexperten in beiden Ländern. Seit 1999 leitet er das Deutsche Polen-Institut Darmstadt, eine der bedeutendsten Einrichtungen für polnische Geschichte, Kultur und Politik.“

Order Zasługi Republiki Federalnej Niemiec dla Dietera Bingena • Z okazji Dnia Zjednoczenia Niemiec prezydent Joachim Gauck 4 października odznaczył prof. Dietera Bingena Orderem Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Dyrektor Deutsches Polen-Institut został uhonorowany podczas związanych ze świętem uroczystości w pałacu Bellevue. W uzasadnieniu kancelarii urzędu prezydenckiego napisano, że „politolog i historyk od dziesięcioleci angażuje się w pielęgnację stosunków polsko-niemieckich. Dieter Bingen jest jednym z najwybitniejszych pośredników kultury i ekspertów w kwestiach politycznych w obu państwach. Od 1999 r. kieruje Deutsches Polen-Institut w Darmstadcie, jedną z najbardziej znaczących placówek, zajmujących się polską historią, kulturą i polityką”.

Deutsch-polnischer Runder Tisch zur Sicherheitspolitik • Am 22. und 23. Oktober fand in Berlin der erste deutsch-polnische Runde Tisch zur Sicherheitspolitik statt. Vertreter deutscher und polnischer Verwaltungsbehörden sowie Forschungsinstitutionen sprachen über die internationalen Rahmen der Sicherheitspolitik. An der Tagung, die auf Initiative des Büros für Nationale Sicherheit und der Bundesakademie für Sicherheitspolitik zustande kam, nahmen Parlamentsabgeordnete, Vertreter der Außenministerien, der Verteidigungsministerien, der Kanzlei des Ministerpräsidenten und des Kanzleramtes sowie Vertreter von Forschungseinrichtungen teil. Gesprochen wurde über die Ostpolitik, die bilaterale Zusammenarbeit im Hinblick auf die Sicherheitspolitik sowie über die Vorbereitungen des Gipfeltreffens des Europäischen Rats im Dezember 2013. Das Büro für Nationale Sicherheit stellte die Ergebnisse des Strategischen Berichts zur Lage der Nationalen Sicherheit sowie die Hauptaspekte des Weißen Buches der Nationalen Sicherheit der Republik Polen vor. Der kommende deutsch-polnische Runde Tisch zur Sicherheitspolitik wird 2014 in Polen stattfinden.

Polsko-niemiecki okrągły stół nt. polityki bezpieczeństwa • W Berlinie w dn. 22–23 października 2013, w trakcie pierwszego polsko-niemieckiego okrągłego stołu dotyczącego polityki bezpieczeństwa, przedstawiciele polskiej i niemieckiej administracji oraz instytucji badawczych dyskutowali nt. międzynarodowych uwarunkowań polityki bezpieczeństwa. W obradach zorganizowanych z inicjatywy Biura Bezpieczeństwa Narodowego i Federalnej Akademii Polityki Bezpieczeństwa udział wzięli parlamentarzyści, przedstawiciele Ministerstw Spraw Zagranicznych, Ministerstw Obrony Narodowej, Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Urzędu Kanclerskiego, a także instytucji badawczo-analitycznych. W trakcie spotkania omówione zostały kwestie polityki wschodniej, współpracy dwustronnej w dziedzinie polityki bezpieczeństwa oraz przygotowań do szczytu Rady Europejskiej w grudniu 2013. Biuro Bezpieczeństwa Narodowego zaprezentowało wyniki Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego oraz główne założenia Białej Księgi Bezpieczeństwa Narodowego RP. Kolejny polsko-niemiecki okrągły stół nt. polityki bezpieczeństwa odbędzie się w Polsce w 2014 r.

Polnische Kulturtage „polenmARkT“ in Greifswald • Bereits zum 16. Mal fanden in Greifswald die polnischen Kulturtage „polenmARkT“ statt. Das Festivalprogramm umfasste Konzerte (u.a. die Warschauer Gruppe Alte Zachen, die ihren eigenen Musikstil, den Jew Surf vorstellte), Autorenlesungen (u. a. mit Tadeusz Dąbrowski), polnische Märchen, Treffen mit Journalisten, Geschichts- und Literaturdiskussionen, Fotografie-Workshops, Filmvorführungen, Kunst-Workshops, Theater- und Tanzvorstellungen, Informationstreffen zum Thema Studieren in Polen sowie wissenschaftliche Vorträge. Ziel des seit 1998 stattfindenden Festivals ist die Förderung eines avantgardistischen und inspirierenden Bildes von Polen. Veranstalter des Festivals ist die Vereinigung „polenmARkT“.

Festiwal kultury „polenmARkT” w Greifswaldzie • Po raz szesnasty w Greifswaldzie odbył się festiwal kultury polskiej „polenmARkT”. Na program festiwalu złożyły się koncerty (m.in. warszawskiej grupy Alte Zachen, prezentującej własny styl muzyczny Jew Surf), wieczory autorskie (m.in. z Tadeuszem Dąbrowskim), spotkania z polską bajką, dziennikarskie, historyczne i literackie dyskusje panelowe, wystawy fotograficzne, prezentacje filmów, warsztaty artystyczne, przedstawienia teatralne i taneczne, spotkania informacyjne na temat studiów w Polsce oraz wykłady naukowe. Celem odbywającego się od 1998 r. festiwalu jest kreowanie awangardowego i inspirującego wizerunku Polski. Organizatorem festiwalu jest Stowarzyszenie „polenmARkT”.

17. Deutsch-Polnischer Journalistenpreis • Bis zum 10. Januar 2014 können noch Beiträge für den Deutsch-Polnischen Journalistenpreis eingereicht werden. Sie sollten auf differenzierte Weise über das Nachbarland berichten, die komplexen deutsch-polnischen Beziehungen erläutern oder beide Staaten aus europäischer Perspektive vorstellen und dadurch das Wissen der Polen und Deutschen übereinander fördern. Eingereicht werden können Beiträge in den Kategorien Hörfunk, Fernsehen oder Print, die bereits gesendet, gedruckt oder im Internet zwischen dem 1. Januar und 31. Dezember 2013 erstmalig verbreitet wurden. Zum ersten Mal wird ein Sonderpreis – gestiftet vom Land Brandenburg – in der Kategorie „Journalismus in der Grenzregion“ für einen Beitrag verliehen, der das Zusammenwachsen, die Veränderungen und neue Alltagsprobleme in der Grenzregion dokumentiert. Die Gewinner des Wettbewerbs werden während der 7. Deutsch-Polnischen Medientage (8.–9.05.2014) in Potsdam bekannt gegeben. Preisstifter sind die Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit, die Robert Bosch Stiftung sowie sechs Partnerregionen: die Bundesländer Brandenburg, Mecklenburg-Vorpommern und Sachsen sowie die drei Woiwodschaften Westpommern, Lebuser Land und Niederschlesien.

XVII Polsko-Niemiecka Nagroda Dziennikarska • Do 10 stycznia 2014 r. można przystąpić do konkursu o Polsko-Niemiecką Nagrodę Dziennikarską. Zgłaszane materiały powinny w zróżnicowany sposób opowiadać o kraju sąsiada, tłumaczyć złożone relacje polsko-niemieckie lub przedstawiać oba kraje z europejskiej perspektywy i przyczyniać się do poszerzania wiedzy Polaków i Niemców o sobie nawzajem. Do konkursu można zgłaszać audycje radiowe i telewizyjne oraz publikacje prasowe, które po raz pierwszy zostały opublikowane – ukazały się drukiem, zostały wyemitowane bądź udostępnione w internecie – w okresie od 1 stycznia do 31 grudnia 2013 r. Po raz pierwszy przyznana zostanie Nagroda Specjalna „Dziennikarstwo na Pograniczu”, którą za materiał dokumentujący integrację, przemiany i nowe problemy codzienności na pograniczu ufunduje gospodarz kolejnej edycji Polsko-Niemieckich Dni Mediów – kraj związkowy Brandenburgia. Nazwiska laureatów zostaną ogłoszone podczas VII Polsko-Niemieckich Dni Mediów (8–9.05.2014) w Poczdamie. Fundatorami Nagrody są Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, Fundacja Roberta Boscha i sześć regionów partnerskich – kraje związkowe: Brandenburgia, Meklemburgia-Pomorze Przednie i Saksonia oraz trzy województwa: zachodniopomorskie, lubuskie i dolnośląskie.

Mode – Kultur und Kommerz
Moda – kultura i komercja

Wiesław Smętek

Ulrike **Gropp**

Bruchlinien unserer Zivilisation

Mode und Politik

Die Erwartung, dass sich der Status Quo oder gar die Zukunft einer Gesellschaft an ihrer Kleidung ablesen lässt, macht seit jeher einen besonderen Reiz der Beschäftigung mit der Mode aus.

Das größte Modeexperiment der Welt, verordnet vom „Großen Vorsitzenden Mao Tse-tung", gilt bis heute als der am weitesten gehende Versuch der Neuzeit, Kleidung zu politischen Zwecken zu instrumentalisieren. Die Gleichheit aller Chinesinnen und Chinesen, gekleidet in eine zivile Uniform aus einheitlichen Jacken und Hosen, war das äußere Zeichen der radikalen Umerziehungsversuche der Kulturrevolution.

Solche Zeiten, in denen die Politik den Menschen durch Kleidung im wahrsten Sinne des Wortes „auf den Leib rückt", gab es auch in Europa. Das Welttheater der Politik hielt und hält auch hier Kostüme bereit – für Bühne und Publikum, Helden und Bösewichter, Arme und Reiche.

Doch meistens funktioniert das Spiel im 21. Jahrhundert eher umgekehrt: Mode ist – außerhalb totalitärer Systeme – konsumentenorientiert und nicht auf politische Bezüge fixiert. Die goldene Regel des Markenfetischismus lautet: Was sich gut verkauft, ist oder wird modern. Im Zeitalter des vermeintlichen „anything goes" sind direkt nachvollziehbare Zusammenhänge zwischen Mode und Politik kein verlässlicher Indikator mehr; und schon gar kein Seismograph für die unterirdischen Beben einer Epoche. Zu finden ist eher das Zitat, oder gleich die paradoxe Umdeutung einstiger Trends. Wenn Jugendliche Versatzstücke aus anderen (Mode-)Epochen tragen, kann dies entweder eine Sympathie mit der zitierten Epoche ausdrücken – oder das Gegenteil, nämlich eine lässige Verballhornung eines anderen Satzes: „Wes Kleid ich trag, des Lied ich sing."

Wenn es schon keine klaren Stilrichtungen mehr gibt, kein verbindliches Modediktat, dann wird die Frage, mit welcher zweiten Haut sich der Homo Sapiens umgibt, durch milieugemäße Dresscodes und den globalisierten Markenfetischismus ersetzt. Exemplarisch ist dies an Politikerinnen und Politikern, egal welcher politischen Couleur, zu beobachten. Die standardisierten Outfits von Damen und Herren unterscheiden sich kaum mehr von denjenigen der Business-Welt. Aber der Trend zur Uniformität gilt auch für die Kleiderordnungen, die sich soziale Schichten und Generationen geben. Mit aussagekräftigen Deutungsmöglichkeiten des Verhältnisses zwischen den Sphären der Mode und der Politik hat dies nichts mehr zu tun.

Es ist gerade einmal 16 Jahre her, da stellt der französische Modeschöpfer Emanuel Ungaro die These auf, alles im Leben sei Politik, das alltägliche Leben und somit auch die Mode sei immer auch eine politische Manifestation. In einem Interview am Rande der Präsentation seiner Haute-Couture-Kollektion im Jahre 1997 sprach der Modeschöpfer der Politik im Gegensatz zu früheren Zeiten jeglichen direkten Einfluss auf die Welt der Mode ab. „Im Gegenteil", urteilte Ungaro im Rückblick auf sein langes Designer-Leben, „Politik als hartes Geschäft muss heute sehr offensiv agieren. Und das bildet sich in den Kleidern der Mächtigen ab. Die Mode hingegen, so wie ich und

viele andere sie verstehen, ist zum Träumen da."

Das Statement des einstigen Stars der Mode in Frankreich und Italien klingt wie eine Botschaft aus fernen Zeiten. Wie im Zeitraffer hat sich die Welt der Mode – oder sollten wir lieber von der „Bekleidungsindustrie" sprechen? – in den vergangenen zwei Jahrzehnten verändert. Noch immer sind atemberaubende Karrieren einzelner Designer oder Newcomer-Labels möglich, doch weitaus häufiger werden die Looks von übermorgen von Marketing-Fachleuten international agierender Konzerne in Auftrag gegeben und vor der Einführung von den Strategen der Gewinnmaximierung auf ihren wahrscheinlichen Erfolg hin geprüft.

Was spätestens nach dem Fall des Eisernen Vorhangs mit der massiven Globalisierung der Märkte, dem Auswandern der nationalen Textilindustrien in immer weiter entfernte Billiglohn-Regionen begann, ließ sich in Polen und Deutschland auch ab den frühen 1990er Jahren wie unter dem Brennglas beobachten. In der Gegenwart setzt sich die Entwicklung mit dem rasant wachsenden Einfluss neuer Medien und Vermarktungsformen fort. Und beweist sich – wie andere Sektoren der Kultur- und Medienindustrie – zumindest unter ökonomischen Gesichtspunkten als ein Lehrstück über den Aufstieg und die Krise des Wachstumsmodells.

Nur wem es heutzutage gelingt, die europäische Krise zu überleben und auf den asiatischen Märkten Wachstum zu generieren, kann den Sprung zur globalen Marke packen. Und in gewisser Weise ist es mit der Mode so, wie mit der Ökonomie der Aufmerksamkeit in der Politik: Die „Wahlen" bzw. „Abstimmung der Kunden" an der Kaufhauskasse oder beim Online-Shopping kann nur gewinnen, wer sich der Medien zu bedienen weiß.

Angesichts solch weiter Deutungsszenarien ist es kein Wunder, dass die Mode als Sujet der Wissenschaften eine enorme Karriere gemacht hat. Einst mutmaßten Sozialwissenschaftler und Trendforscher bestenfalls einen Zusammenhang zwischen Konjunkturverlauf und der Länge der Damenröcke; der Philosoph Walter Benjamin verstand die Mode sogar als eine Art Orakel; jede Saison bringe „irgendwelche geheimen Flaggensignale der kommenden Dinge" und wer sie zu lesen verstünde, der wisse „im Voraus nicht nur um neue Strömungen der Kunst, sondern um neue Gesetzesbücher, Kriege und Revolutionen".

Die Erwartung, dass sich der Status Quo oder gar die Zukunft einer Gesellschaft an ihrer Kleidung ablesen lässt, macht seit jeher einen besonderen Reiz der Beschäftigung mit diesem Thema aus. Zu Benjamins Zeiten, in den Jahrzehnten vor und nach der Wende zwischen dem 19. und 20. Jahrhundert, mag dies noch gegolten haben. So war die Befreiung vom Korsett ein wichtiger und realer Modeschritt auf dem Weg zur Emanzipation der Frau. Ebenfalls galt dies noch für den Streit um die weibliche Hosenmode, der sich in zeitlicher Nähe zum Kampf um das Frauenwahlrecht abspielte. In späteren Dekaden lassen sich in den unterschiedlichen Blöcken, sowohl im Osten als auch in Westen, Parallelen aufzeigen zwischen dem prägenden Modestil der Jugend und aufkommenden Zeitströmungen. Seit je kündigte sich jugendlicher Widerstand gegen Autoritäten schon Jahre

zuvor im Aufbegehren gegen die Kleidungskonventionen der Elterngeneration an – kein Wunder also, dass in Streitereien um Haarlänge und Jeanshosen Stellvertreterkriege zwischen den Generationen geführt wurden. In den 1970er Jahren dann wurden die beiden Kleiderschichten, die die Franzosen unnachahmlich elegant „dessus" (also das „Darüber") und „dessous" (das „Darunter") nennen, zur Plakatfläche für Protestbotschaften und Buttons wie „Atomkraft nein danke", „Schwerter zu Pflugscharen" oder „Solidarność".

Großbritannien, 1976: Sicherheitsnadeln durch die Wangen gestochen, Löcher in den Hosen, Hundehalsband und Fahrradkette als Collier um den Hals gelegt – der Punk ist geboren. Ein entscheidender Mode-Impuls entsteht wieder einmal auf der Insel: Wie ein Schlag ins Gesicht wirkt nicht nur die bewusste Hässlichkeit; der Punk führt eine massive Umkehr im Design herbei, und zwar dadurch, dass es plötzlich die Ideen der jugendlichen Protestkultur sind, die die große Mode, die Haute Couture, beeinflussen. Bislang hatten sich die Trends von oben nach unten zu den Konsumenten durchgesetzt: Frauen nähten Rocksäume hoch oder ließen sie wieder heraus, Männer trugen schmale oder breite Revers an den Jacken – alles auf Geheiß der Modegötter in Paris.

Auf einmal kamen die Ideen jedoch aus London und West-Berlin, aus Hannover oder Kopenhagen. Modeschöpfer griffen den neuen Stil von der Straße nach ein paar Jahren des Erschreckens begierig auf; die Hierarchie zwischen oben und unten war auf den Kopf gestellt.

Als die Pariser Modeszene diesen Stil für ihre sehr eigenen Zwecke einspannte und salonfähig machte, wurde der Schmuddel-Look der britischen Punk-Kinder von innen heraus zerstört. Ihr Aufbegehren gegen die Gesellschaft, der Kern der Lebenshaltung des Punks und jeder späteren Protestmode, war spätestens ab diesem Zeitpunkt in Gefahr, von teuren Couturiers entschärft, ihrer Botschaft entleert und kommerzialisiert zu werden – zum Verkauf an Modeliebhaber, die ein bisschen Punk „einfach cool" fanden. Der Mythos von der Protestmode als Ausdrucksmittel der Jugend war zerbrochen, vielleicht für immer.

Und trotzdem bleibt angesichts der Konflikte um Kleider, Leute und Sitten, sei es anhand des Kopftuchs oder der Verschleierung muslimischer Frauen, der Ausdehnung der Dekolletees jugendlicher Schülerinnen im Unterricht oder der Nazisymbole jugendlicher Provokateure, genug Stoff für politische Diskussionen um Mode und Moden. „Die richtige Analyse von Mode kann Grundwahrheiten über eine Gesellschaft hervorbringen, weil jeder unbefangen über Mode kommuniziert. Wenn das Gespräch über Politik verstummt, werden die Aussagen über Mode gemacht", schrieb Mitte der 1990er der aus Slowenien stammende Philosoph Slavoj Žižek. Er geht davon aus, dass Grundwahrheiten über eine Gesellschaft in ihrem Diskurs über Mode (und nicht in ihr selbst) automatisch offengelegt werden. Seine Begründung: Menschen äußern sich durch ihre Kleidung und im Gespräch über Mode ganz unbefangen, beispielsweise auch über Politik, obwohl sie längst apolitisch seien. Deshalb stellte der Philosoph auch die These auf: „Mode ist Ideologie in Reinkultur". Solch eingängige Behauptungen klingen erst einmal verlockend, beschreiben jedoch letztlich nur eine Banalität. Interessanter ist vielleicht der nächste Denkschritt, den Žižek vorschlägt: Indem Mode Ideologien kenntlich mache und entlarve, zwinge sie die Gesellschaft, sich mit diesen Ideologien zu beschäftigen; sie stelle Menschen und Gesellschaften somit eine Art von Selbstheilungskraft gegen ideologische Überwältigungen zur Verfügung.

„Die richtige Analyse von Mode kann Grundwahrheiten über eine Gesellschaft hervorbringen, weil jeder unbefangen über Mode kommuniziert. Wenn das Gespräch über Politik verstummt, werden die Aussagen über Mode gemacht", schrieb Mitte der 1990er der aus Slowenien stammende Philosoph Slavoj Žižek. Er geht davon aus, Grundwahrheiten über eine Gesellschaft werden in ihrem Diskurs über Mode (und nicht in ihr selbst) automatisch offengelegt.

Diese fast utopisch anmutende Hoffnung einer Selbstheilung durch Diskurs erweist sich bei einem nüchternen Blick auf die Realität unserer Gegenwart als fragwürdig. Immer preisgünstigere Billigkleider-Kaufhäuser stehen im krassen Kontrast zu den vermeintlichen oder realen Edelmarken, die von ihrer Kundschaft inflationäre Preise verlangen können. Die alle zehn oder 15 Jahre wiederkehrenden Plateausohlen-Mode oder der derzeit ins Extreme getriebene Sexy-Chic junger Mädchen und Frauen und der Camouflage- oder Militär-Look männlicher Heranwachsender füllen die Spalten der Modemagazine und Laufstege der Modeschauen. Die Bilder stellen Sexualität, Machtsymbole, Krieg und Gewalt in den Fokus. Dass diese Looks dazu dienen, die Fashion-Victims von heute durch eine Katharsis vom grassierenden Gedankengut zu heilen, wie von Slavoj Žižek postuliert, erscheint abwegig.

Doch etwas bleibt: dass die von manchen Moden provozierten Auseinandersetzungen eine Gesellschaft sensibilisieren können, indem sie die Bruchlinien unserer Zivilisation markieren, scheint denkbar und möglich. Wie anders wäre es zu erklären, dass die Ausbeutungsverhältnisse im Textilsektor, die enormen sozialen, ethischen und ökologischen Kosten, zum Thema geworden sind.

Der kaum noch zu packende Spagat zwischen Emotion und Rationalität, zwischen Wissen und Handeln wider besseres Wissen, der uns in unserer Gegenwart prägt, zeigt sich kaum verhüllt in den Debatten, die heute exemplarisch am Beispiel der Modeindustrie zu führen sind: sei es die sexuelle Ausbeutung von Kindern, die über den Umweg der Erotisierung der Kleidung geführt wird; sei es der Einfluss der Medien, der durch die allzu symbiotischen Verbindungen zwischen Unterhaltungs- und Modebusiness gelegentlich sichtbar wird; sei es die Auseinandersetzung um die wirtschaftliche und ökologische Zukunft des Planeten, dargestellt an der globalen Textilwirtschaft, dem fatalen Kreislauf zwischen Altkleidertransporten aus den reichen in die Armutsländer und dem Rückfluss der billig produzierten und teuer verkauften Kleider von dort in die industrialisierten Nationen.

Wenn der Diskurs über Mode Verhaltensänderungen zur Folge haben sollte, dann hätte nicht nur Slavoj Žižek recht gehabt, sondern auch Emanuel Ungaro: Dann wäre die Mode wieder nicht nur Maßstab für politische Befindlichkeiten und Handlungsszenarien zu verstehen, als Welt des Träumens und der Visionen von einer besseren Zukunft, sondern als Ersatzöffentlichkeit eines etwas aus der Mode gekommenen demokratischen Meinungsäußerungsprozesses. Denn wenn schon ein wachsender Teil der Bevölkerung nicht mehr zur Wahl geht – etwas anziehen muss man sich in unseren Breiten allemal.

Ulrike Gropp
Freie Journalistin, lebt in Leipzig.

Ulrike **Gropp**

Linie podziałów naszej cywilizacji

Moda i polityka

Oczekiwanie, że z ubioru można odczytać stan, a nawet przyszłość społeczeństwa, od dawna stanowi o szczególnym uroku zajmowania się tym tematem mody.

Największy światowy eksperyment w dziedzinie mody, wprowadzony przez Wielkiego Przewodniczącego Mao Tse-tunga, do dziś uważany jest za najdalej idącą próbę instrumentalizacji ubioru do celów politycznych w czasach nowożytnych. Równość wszystkich Chinek i Chińczyków, ubranych w cywilne mundurki złożone z identycznych kurtek i spodni, była zewnętrzną oznaką radykalnych prób reedukacji, podjętych przez rewolucję kulturalną.

Czasy, w których polityka poprzez ubiór „dobiera się ludziom do skóry" w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa, zdarzały się i w Europie. Światowy teatr polityki także tutaj miał (i nadal ma) przygotowane kostiumy – na scenę i dla publiki, dla bohaterów i łajdaków, dla biednych i bogatych.

Jednak w XXI wieku ta gra funkcjonuje raczej odwrotnie – z wyjątkiem systemów totalitarnych moda orientuje się na konsumentów i nie jest przywiązana do odniesień politycznych. Złota reguła fetyszu marki brzmi: to, co dobrze się sprzedaje, jest albo stanie się modne. W epoce rzekomego *anything goes* bezpośrednio zauważalne związki między modą i polityką nie są niezawodnym wskaźnikiem, a już w żadnym wypadku sejsmografem, rejestrującym podziemne wstrząsy epoki. Znajduje się raczej jakiś cytat albo od razu paradoksalną reinterpretację dawniejszych trendów. Jeśli młodzi ludzie noszą stroje i akcesoria przeniesione z innych epok, może to być wyrazem sympatii dla danej epoki albo przeciwnie – nonszalanckim zniekształceniem zdania, że „czyj strój noszę, tego pieśń śpiewam".

Jeśli w modzie nie ma jasno określonych stylów, nie ma obowiązującego dyktatu, to problem, jaką drugą skórą otacza się homo sapiens zastępują odpowiadające danemu środowisku dress codes i globalny fetysz marki. Przykłady tego można zaobserwować u polityków obojga płci, niezależnie od ich przekonań politycznych. Standardowy strój kobiet i mężczyzn prawie się już nie różni od ubiorów w świecie biznesu. Ale tendencja do uniformizacji dotyczy także zasad ubioru, jakie przyjmują na swój użytek określone warstwy społeczne i dane pokolenia. Nie ma to nic wspólnego z możliwością interpretowania w sposób wiarygodny relacji między sferami mody i polityki.

Minęło właśnie 16 lat od chwili, gdy francuski projektant mody Emanuel Ungaro sformułował tezę, że wszystko w życiu jest polityką, że życie codzienne, a tym samym moda, też zawsze jest manifestacją polityczną. W wywiadzie, udzielonym przy okazji prezentacji swojej kolekcji *haute couture* w 1997 roku, projektant zaprzeczył, aby – w przeciwieństwie do przeszłości – istniał jakikolwiek bezpośredni wpływ polityki na świat mody. „Przeciwnie – ocenił Ungaro, nawiązując do swojej długiej kariery projektanta – polityka to twardy biznes, który musi dziś funkcjonować bardzo ofensywnie. Widać to po ubiorach ludzi wpływowych. Natomiast moda, tak ją rozumiem ja i wielu innych, jest po to, by marzyć".

Wypowiedź dawnego gwiazdora mody we Francji i Włoszech brzmi jak przesłanie z dawnych czasów. Świat mody – a może raczej trzeba mówić o „przemyśle odzieżowym"? – zmieniał się w ciągu ostatnich dwóch dekad, jak w szybko przewijanym filmie. Wciąż jeszcze możliwe są zapierające dech kariery indywidualnych projektantów czy nowych modowych marek, o wiele częściej jednak projektowanie mody na pojutrze zlecane jest przez fachowców od marketingu z międzynarodowych koncernów firmom zewnętrznym i przed wprowadzeniem na rynek badane przez strategów od maksymalizacji zysku pod kątem prawdopodobnego sukcesu.

To, co najpóźniej po upadku żelaznej kurtyny rozpoczęło się masową globalizacją rynków, przenoszeniem narodowych przemysłów odzieżowych do coraz dalszych regionów, oferujących tanią siłę roboczą, można było również jak w soczewce obserwować w Polsce i w Niemczech. Proces ten trwa nadal, przejawiając się gwałtownie rosnącym wpływem nowych mediów i form marketingu. I podobnie jak inne sektory przemysłu kulturalnego i medialnego sprawdza się, przynajmniej pod względem ekonomicznym, jako materiał edukacyjny na temat kariery i kryzysu modelu wzrostu.

Globalną markę zdoła stworzyć tylko ten, komu uda się dziś przetrwać europejski kryzys i wygenerować wzrost na rynkach azjatyckich. Z modą jest w pewnym sensie tak, jak „z ekonomią uwagi" w polityce – „wybory" albo „głosowanie klientów" przy kasie domu towarowego lub w sklepie internetowym może wygrać tylko ten, kto potrafi się posługiwać mediami.

Nic dziwnego, że wobec tak szerokich możliwości interpretacji moda zrobiła ogromną karierę jako przedmiot nauki. Kiedyś socjolodzy i badacze trendów w najlepszym razie snuli przypuszczenia, czy istnieje związek między przebiegiem koniunktury i długością damskich spódnic; filozof Walter Benjamin rozumiał modę nawet jako rodzaj wyroczni; każdy sezon niesie ze sobą „jakieś tajemne sygnały tego, co nadchodzi" i kto je potrafi odczytać, zna „z góry nie tylko nowe nurty w sztuce, ale i nowe kodeksy, wojny i rewolucje".

Oczekiwanie, że z ubioru można odczytać stan, a nawet przyszłość społeczeństwa, od dawna stanowi o szczególnym uroku zajmowania się tym tematem. Tak mogło być jeszcze w czasach Benjamina, w dekadach na przełomie XIX i XX wieku. Uwolnienie się od gorsetu było w dziedzinie mody ważnym i realnym krokiem na drodze emancypacji kobiet. Dotyczyło to także sporu wokół mody na damskie spodnie, który toczył się w podobnym czasie, co walka o prawa wyborcze kobiet. W późniejszych dekadach zarówno w bloku wschodnim, jak i za Zachodzie można wskazać na paralele między dominującym stylem mody młodzieżowej i nadchodzącymi nurtami. Od dawna młodzieńczy opór wobec autorytetów zapowiadał się już wiele lat wcześniej w postaci protestów przeciwko modowym konwencjom pokolenia rodziców – nic więc dziwnego, że między pokoleniami prowadzono zastępcze wojny o długość włosów czy jeansy. W latach 70. dwie warstwy ubioru, które Francuzi w niepowtarzalnie elegancki sposób nazywają „dessus" (czyli „na wierzchu") i „dessous" (czyli „pod spodem") stały się miejscem, gdzie umieszczano hasła protestacyjne i butony z nadrukami, jak na przykład „Energia atomowa – nie, dziękuję", „Miecze na lemiesze" albo „Solidarność".

Wielka Brytania, 1976 rok. Policzki przekłute agrafką, dziury w spodniach, psia obroża i łańcuch od roweru na szyi jako kolia – tak narodził się punk. Decydujący impuls dla mody znów rodzi się na Wyspach: jak cios w twarz działa nie tylko świadoma brzydota; punk dlatego powoduje radykalny zwrot w dziedzinie dizajnu, że nagle idee młodzieżowej kultury protestu wywierają

wpływ na wielką modę, na *haute couture*. Do tej pory trendy torowały sobie drogę z góry na dół do konsumentów – kobiety skracały spódnice albo z powrotem je podłużały, mężczyźni nosili marynarki z wąskimi albo z szerokimi klapami – wszystko to na rozkaz bogów mody z Paryża.

Aż tu naraz pomysły zaczęły przychodzić z Londynu i Berlina Zachodniego, z Hanoweru lub Kopenhagi. Po paru latach przerażenia kreatorzy mody łapczywie podchwycili nowy styl ulicy; hierarchia góra – dół została postawiona na głowie.

Kiedy paryski świat mody zaczął wykorzystywać ten styl do swoich własnych celów i wprowadził go na salony, niechlujny styl brytyjskich dzieci-punków został zniszczony od wewnątrz. Ich protest przeciwko społeczeństwu, będący istotą postawy życiowej punka i każdej późniejszej mody protestu, najpóźniej właśnie od tego momentu znalazł się w niebezpieczeństwie, że zostanie przez ekskluzywnych kreatorów mody stępiony, pozbawiony przesłania i skomercjalizowany – oddany na sprzedaż fanom mody, którzy uważali, że trochę punka jest „po prostu *cool*". Mit o modzie protestu jako środku wyrazu środowisk młodzieżowych rozsypał się, być może na zawsze.

A mimo to, biorąc pod uwagę konflikty wokół ubiorów, ludzi i obyczajów, pozostaje dostatecznie dużo materiału do dyskusji politycznych na temat mody i mód: czy to w kontekście noszenia chust lub zasłaniania twarzy przez muzułmanki, czy coraz większych dekoltów u uczennic lub nazistowskich symboli u młodych prowokatorów, „Prawidłowa analiza mody może ujawnić podstawowe prawdy o społeczeństwie, bo o modzie każdy wypowiada się nieskrępowanie. Kiedy milknie rozmowa o polityce, zaczyna się mówić o modzie", pisał w połowie lat 90. pochodzący ze Słowenii filozof Slavoj Žižek. Žižek wychodzi z założenia, że podstawowe prawdy o społeczeństwie automatycznie ujawniają się w jego dyskursie o modzie (a nie w modzie jako takiej). Uzasadnia to tak: poprzez swój strój i w rozmowach o modzie ludzie bez skrępowania wypowiadają się na przykład także o polityce, chociaż są akurat apolityczni. Dlatego filozof sformułował też tezę, że „moda jest ideologią w czystej kulturze". Takie chwytliwe stwierdzenia brzmią początkowo bardzo pociągająco, ale w końcu opisują jedynie banał. Ciekawszy jest może następny krok w procesie myślowym, który proponuje Žižek: moda, rozpoznając i demaskując ideologie, zmusza społeczeństwo, by się tymi ideologiami zajęło; daje ludziom i społeczeństwom do dyspozycji rodzaj samouzdrawiającej siły jako środka na obezwładnienia ideologiczne.

Ta wydająca się niemal utopią nadzieja na samouzdrowienie poprzez dyskurs, gdy trzeźwo spojrzeć na naszą dzisiejszą rzeczywistość, okazuje się być wątpliwa. Domy towarowe z coraz tańszą odzieżą jaskrawo kontrastują z rzekomymi bądź realnymi luksusowymi markami, które mogą żądać od swojej klienteli coraz wyższych cen. Powracająca co 10 czy 15 lat moda na buty na platformie albo doprowadzony dziś do skrajności sexy szyk dziewcząt i młodych kobiet oraz odzież moro czy styl militarny dla dorastających młodzieńców wypełniają szpalty modowych magazynów i wybiegi na pokazach mody. Na zdjęciach w centrum uwagi znajduje się seksualność, symbole władzy, wojna i przemoc. Sugestia Žižka, że ten styl ma służyć uzdrowieniu dzisiejszych ofiar mody, uwalniając je od grasującej ideologii poprzez *katharsis*, zdaje się być niedorzeczna.

Coś jednak pozostaje: wydaje się rzeczą wyobrażalną i możliwą, że spory, prowokowane przez niektóre mody, mogą uwrażliwiać społeczeństwo, wytyczając linie podziałów naszej cywilizacji. Jak bowiem można byłoby inaczej wytłumaczyć, że tematem debat stał się wyzysk w przemyśle tekstylnym, ogromne koszty społeczne, etyczne i ekologiczne.

Trudny do ogarnięcia szpagat między emocjami a racjonalnością, między wiedzą a postępowaniem wbrew najlepszej wiedzy, kształtujący dziś nasze postawy, ujawnia się prawie bez osłonek w debatach, jakie trzeba dziś prowadzić w kontekście przemysłu modowego: czy jest to wykorzystywanie seksualne dzieci – poprzez dyskusję o erotyzacji ubioru; czy wpływ mediów, widoczny czasem w postaci zbyt ścisłej symbiozy biznesu rozrywkowego i modowego; czy dyskusja wokół ekonomicznej i ekologicznej przyszłości naszej planety, prowadzona na przykładzie globalnego przemysłu tekstylnego, fatalnego obiegu transportów używanej odzieży z krajów bogatych do krajów biednych i odwrotnie – przesyłania z tych ostatnich tanio wyprodukowanych i drogo sprzedawanych ubiorów do krajów uprzemysłowionych.

Jeśli dyskurs na temat mody miałby prowadzić do zmiany zachowań, to rację miałby nie tylko Slavoj Žižek, ale i Emanuel Ungaro – wówczas modę znów należałoby rozumieć nie tylko jako miernik nastrojów politycznych i scenariuszy postępowania, jako świat marzeń i wizji lepszej przyszłości, ale również jako zastępcze forum dla demokratycznego procesu wyrażania poglądów, który nieco wyszedł z mody. Bo nawet jeśli coraz większa część społeczeństwa nie chodzi już na wybory, to w naszych szerokościach geograficznych coś przecież trzeba na siebie włożyć.

Z niemieckiego przełożyła Elżbieta Michałowska

Ulrike Gropp
dziennikarka, mieszka w Lipsku.

Angelika **Taschen**

Looks like Berlin

In der deutschen Hauptstadt trägt man am liebsten Jogginghose? Von wegen! Die Berlinerinnen kreieren ihren ganz eigenen Chic. Ohne auffällige Logos, mit viel Vintage und wenig Make-up. Angelika Taschen findet: Das sieht ziemlich gut aus.

Archiv

Als ich vor neun Jahren von Los Angeles nach Berlin kam, hatte ich gerade mal einen Koffer dabei. Darin befanden sich eine Jeans, zwei Paar Schuhe, eine Abendbluse und ein paar T-Shirts. Ich wohnte die erste Zeit in einer möblierten Wohnung in Mitte, die Gegend sah noch ganz anders aus als heute. In Prenzlauer Berg, wo ich später hinzog, gab es noch keine schönen Cafés mit gutem Kaffee, keine Modeboutiquen. Aber ich liebte das Freiheitsgefühl, das die Stadt ausstrahlte. Berlin hatte den Ruf, ein Zentrum für Künstler und Kreative zu sein, viele befreundete Galeristen wohnten bereits hier. Doch dass es einen eigenen Stil geben sollte, wie beispielsweise in Paris oder London? Davon konnte damals noch keine Rede sein.

Heute finde ich: Hier hat sich in den vergangenen Jahren ein Look etabliert, der anders ist als das, was man in New York, London, oder – noch extremer – in München oder Hamburg sieht. Der Berliner Stil ist eng mit dem Bezirk Mitte und dem Osten der Stadt verknüpft, weil hier nach dem Mauerfall die extremsten Veränderungen stattgefunden haben. Mitte war damals Brachland, eine offene Projektionsfläche. Hierhin kamen Menschen aus den unterschiedlichsten Orten, um etwas ganz Eigenes zu kreieren. Diese Einflüsse haben den Stil der Stadt geformt. Ich nenne es den „Berliner Anti-Chic“ – nicht „posh“, nicht etabliert, aber in sich stimmig und mit ganz bestimmten Codes. Er kultiviert das Unfertige, das Individuelle. So wie an diesem Ort ständig irgendwo gebaut wird, mag man es hier auch modisch lieber unperfekt. Anstatt sich Trends von den Modestädten Paris, London oder Mailand abzugucken, macht man sein eigenes Ding. Das sieht man auf der Straße und bei den Berliner Designern. Die Schnitte sind nie extrem sexy, die Farbkombinationen sind ungewöhnlich, ebenso das Styling: Man paart ein bedrucktes Sweatshirt mit einem langen Seidenrock. Ich denke, dass Streetstyle-Blogs hier einen viel größeren Einfluss auf die Outfits der Leute ausüben als die Laufsteglooks der großen Designer.

Auch mich hat die Stadt modisch geprägt. Seitdem ich in Berlin lebe, trage ich sehr viel Schwarz und Grau, typisch sind enge Röhrenhosen mit Stiefeletten und dazu eine Army-Jacke. Vor allem Se-

Sandra Semburg/Knesebeck Verlag

Sandra Semburg/Knesebeck Verlag

condhand- und Vintage-Mode spielen eine extrem große Rolle. Man hat hier vielleicht nicht so viel Geld, dafür viele Ideen. Also kauft man ein billiges, getragenes Kleidungsstück und bearbeitet oder stylt es auf seine Weise, macht daraus etwas Persönliches. Das Ärmliche, das kurz nach dem Mauerfall die Mode geprägt hat, wird heute kultiviert, aber auf raffinierte Weise. Der Parka ist dafür ein gutes Beispiel. Ich würde behaupten, dass heute fast jede Berlinerin einen Parka im Schrank hängen hat. Man findet gute Modelle häufig in Secondhand-Shops, möglicherweise auch Originale von den amerikanischen oder sowjetischen Militärs, die sich früher in der Stadt aufhielten. Die Berlinerin kombiniert zum Parka feminine Accessoires, wie eine Hollywood-Brille oder High Heels, damit es nicht zu sehr nach der Outdoor-Ausrüstung eines Polarforschers aussieht. Zu den Basics, die eine Berlinerin im Schrank haben sollte, gehören außerdem neben der Röhrenhose gut sitzende T-Shirts, die Bikerjacke und auch ein klassischer, perfekt geschnittener schwarzer Blazer. Mein Lieblingsblazer ist von Helmut Lang, ich habe ihn in den 1980er Jahren als Teil eines Kostüms gekauft und seitdem immer wieder getragen.

Was ich gar nicht ausstehen kann und was in Berlin generell schlecht ankommt, ist, wenn alles teuer aussieht. Im Gegensatz zu anderen Metropolen, wo ein paar wenige Menschen mit Geld den Stil der Stadt definieren, gibt es in Berlin keine verkrustete Gesellschaft, und das schätze ich sehr. Hier vermischt sich alles und man muss sich nicht mit Statussymbolen umgeben, um dazuzugehören. Eher wird man für seine Persönlichkeit, seine Talente oder für gute Ideen bewundert. In München laufen sogar Studentinnen mit einer Louis-Vuitton-Tasche herum. Hier dagegen muss man sich fast ein bisschen schämen, wenn man ein Stück trägt, das mit Logos protzt und offensichtlich vom Designer stammt. Nur mit Vintage- oder Erbstücken verhält es sich anders: Sobald die Louis-Vuitton-Tasche von der Oma stammt und eine Geschichte erzählt, passt sie wieder zum Berliner Stil. Aber neu kaufen? Ich glaube, selbst wenn die Leute das Geld hätten, würden sie es nicht tun. Das ist einfach zu unkreativ und zu platt. Absolut verboten ist der Komplett-Look vom Laufsteg, egal von welchem Label. Dann sieht man nur wie ein Fashion-Victim aus.

Aber natürlich haben auch modebegeisterte Berliner ihre Lieblingslabels. Die Menschen, die ich kenne und die etwas mehr Geld haben, kaufen sich lieber eine lässige Kaschmir-Strickjacke von Rick Owens als einen Logo-Gürtel. Luxus zeigt sich erst auf den zweiten Blick, zum Beispiel in den Materialien. Das schwedische Label Acne kommt hier sehr gut an, ebenso Maison Martin Margiela. Meiner Meinung nach trifft aber vor allem die Mode der französischen Designerin Isabel Marant den Geschmack vieler Frauen in der Hauptstadt: lässiger Streetstyle, der nicht zu chic, aber besonders ist. Diese Ästhetik passt sehr gut zum Lebensgefühl von Berlin, das stark von den künstlerischen und kreativen Berufen der Menschen geprägt ist. Man lebt hier einfach anders: klassische Bürozeiten kennen viele nicht, man arbeitet oft von zu Hause aus und an verschiedenen Projekten, es wird viel gereist. Vorschriften und Dresscodes zählen nicht mehr, und das verändert die Kleidung der Menschen. Frauen tragen oft große Shopper als Taschen, weil sie ihr Büro inklusive Laptop mit sich herumtragen. Sie gehen auch nicht mehr in einer eleganten Abendkombination aus, sondern werten ihr Tages-Outfit mit schicken Schuhen, auffälligem Schmuck oder einer besonderen Clutch auf.

Manchmal läuft es auch so: Je weniger Aufhebens man um seinen Look macht, desto wirkungsvoller ist das Ergebnis. Auf einem Fotoshooting arbeitete ich mal mit einer Stylistin zusammen, die ein schwarzes T-Shirt zu einer schwarzen Röhre, schwarze Stiefeletten und kein Make-up trug. Das sah einfach toll aus, und ich finde, das steht jeder Frau. Das Schwierige ist immer das Weglassen. Auch beim Thema Beauty mögen es die Frauen hier natürlich. Statt sich teure Markencremes und dickes Make-up ins Gesicht zu schmieren, verwendet man lieber Naturkosmetik von unbekannten Nischenlabels, die es in den kleinen Beauty-Shops der Stadt zu entdecken gibt.

Bisher hatte Berlin keinen sehr guten Ruf, wenn es um die Garderobe seiner Einwohner ging. Aber ich glaube, so wie die Hauptstadt immer mehr Menschen anzieht und fasziniert, und im Ausland immer mehr Beachtung findet, so kristallisiert sich auch ihr typischer Look immer deutlicher heraus. Er hat sicherlich noch keinen so großen Einfluss und ist nicht so berühmt wie der Pariser Chic. Aber es ist ein Prozess. In Berlin hat sich etwas Neues entwickelt. Und mich interessiert immer das Neue.

> Hier hat sich in den vergangenen Jahren ein Look etabliert, der anders ist als das, was man in New York, London, oder – noch extremer – in München oder Hamburg sieht. Der Berliner Stil ist eng mit dem Bezirk Mitte und dem Osten der Stadt verknüpft, weil hier nach dem Mauerfall die extremsten Veränderungen stattgefunden haben. Mitte war damals Brachland, eine offene Projektionsfläche. Hierhin kamen Menschen aus den unterschiedlichsten Orten, um etwas ganz Eigenes zu kreieren. Diese Einflüsse haben den Stil der Stadt geformt.

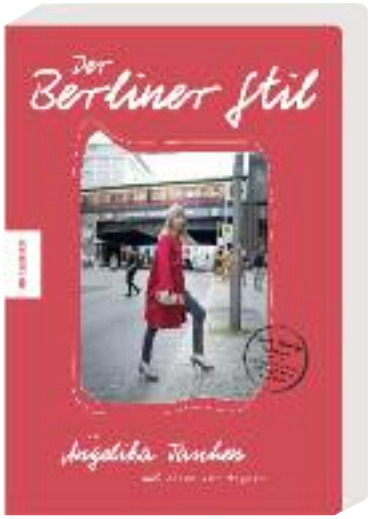

Der Berliner Stil
Angelika Taschen mit Alexa von Heyden
Fotografien von Sandra Semburg
Knesebeck-Verlag
Neonfarbene Broschur, 240 Seiten
mit ca. 300 farbigen Abbildungen

Aufgezeichnet von **Silvia Ihring**

Angelika Taschen
Kunsthistorikerin, Verlegerin, hat über 150 Bücher zu Design, Kunst, Fotografie und Architektur herausgegeben, lebt in Berlin.
Silvia Ihring
Journalistin, schreibt für „Welt am Sonntag", lebt in Berlin.

Dieser Text erschien am 11.08.2013 in der „Welt am Sonntag".

Angelika **Taschen**

Berliński styl

Czy w stolicy Niemiec nosi się najchętniej spodnie do joggingu? Ależ skąd! Berlinianki tworzą swój własny styl. Bez rzucających się w oczy metek, za to dużo stylu vintage i mało makijażu. Według Angeliki Taschen wygląda to całkiem nieźle.

Gdy dziewięć lat temu przyjechałam z Los Angeles do Berlina, miałam ze sobą zaledwie jedną walizkę. Była w niej para jeansów, dwie pary butów, wieczorowa bluzka i kilka T-shirtów. Zajmowałam początkowo umeblowane mieszkanie w śródmieściu, okolica wyglądała wtedy zupełnie inaczej niż dziś. W dzielnicy Prenzlauer Berg, do której się potem przeprowadziłam, nie było jeszcze takich ładnych kawiarni, w których podaje się dobrą kawę, nie było butików z modą. Ale lubiłam poczucie wolności, jaką emanowało miasto. Berlin miał opinię centrum dla artystów, dla osób kreatywnych, mieszkało tu już wielu zaprzyjaźnionych galerystów. Ale czy miał własny styl, jak na przykład Paryż albo Londyn? O tym wtedy jeszcze nie mogło być mowy.

Dzisiaj uważam, że w ubiegłych latach ukształtował się tutaj styl, różniący się od tego, co widzi się w Nowym Jorku, Londynie, czy – jeszcze wyraźniej – w Monachium i Hamburgu. Styl berliński jest ściśle związany ze śródmieściem Berlina i wschodnią częścią miasta, bowiem po upadku muru to tutaj miały miejsce najdalej idące zmiany. Śródmieście było wtedy ugorem, otwartą powierzchnią projekcyjną. Przybywali tu ludzie z bardzo różnych miejsc, by stworzyć coś całkiem własnego. To właśnie te wpływy ukształtowały styl miasta. Nazywam go „berlińskim antyszykiem" – nie jest on wytworny, nie jest zachowawczy, ale spójny i mający określone kody. Kultywuje to, co niedokończone, co indywidualne. Tak, jak wciąż się tutaj gdzieś coś buduje, tak i w dziedzinie mody lubiany jest raczej brak perfekcji. Zamiast podglądać trendy w stolicach mody – Paryżu, Londynie czy Mediolanie, tworzy się coś na własną modłę. Widać to na ulicy i u berlińskich projektantów. Krój ubiorów nigdy nie jest zbyt sexy, a połączenia kolorów są niezwyczajne, podobnie jak stylizacje: łączy się na przykład sportową bluzę z nadrukiem z długą jedwabną spódnicą. Myślę, że blogi o modzie ulicznej mają o wiele większy wpływ na to, jak się ludzie ubierają, niż pokazywane na wybiegach stroje wielkich projektantów.

To miasto ukształtowało także i moje poczucie mody. Od kiedy mieszkam w Berlinie, noszę bardzo dużo czerni i szarości, typowe są wąskie spodnie rurki i sztyblety, a do tego wojskowa kurtka. Ogromną rolę odgrywają przede wszystkim ciucholandy i styl vintage. Ludzie nie mają może dużo pieniędzy, za to dużo pomysłów. Dlatego kupują ubrania tanie, używane i stylizują je na własny sposób, nadając im osobisty wyraz. Ubóstwo, charakterystyczne dla mody krótko po upadku muru, jest dziś kultywowane, ale w sposób wyrafinowany. Dobrym tego przykładem jest kurtka typu parka. Powiedziałabym, że dziś prawie każda berlinianka ma w szafie parkę. W ciucholandach znajduje się często ładne modele, może nawet oryginalne, należące do stacjonujących niegdyś w mieście żołnierzy amerykańskich lub radzieckich. Aby parka nie wyglądała za bardzo jak strój wyjściowy badacza polarnego, berlinianka łączy ją z kobiecymi dodatkami, takimi jak okulary w stylu Hollywood czy wysokie obcasy. Do podstawowej garderoby, jaką berlinianka powinna mieć w szafie, należą, oprócz spodni typu rurki, dobrze leżące T-shirty, kurtka motocyklowa, a także klasyczny czarny perfekcyjnie skrojony żakiet. Mój ulubiony to żakiet od Helmuta Langa, kupiłam go w latach 80. jako część kostiumu i od tamtej pory wciąż go noszę.

Nie mogę natomiast ścierpieć, gdy wszystko wygląda drogo, co w Berlinie jest zresztą ogólnie źle przyjmowane. W przeciwieństwie do innych metropolii, w których styl miasta określa kilka osób mających pieniądze, w Berlinie społeczeństwo nie jest skostniałe – bardzo to sobie cenię. Tutaj wszystko się miesza i nie trzeba się otaczać symbolami statusu, aby do niego należeć. Jest się podziwianym raczej za osobowość, za talenty czy dobre pomysły. W Monachium nawet studentki chodzą z torbą od Louisa Vuittona. Tu natomiast trzeba się niemal trochę wstydzić, jeśli nosi się coś, co kłuje w oczy metkami i pochodzi najwyraźniej od dizajnera. Tylko z rzeczami w stylu vintage i pamiątkami rodzinnymi sprawa wygląda inaczej: jeśli torba od Louisa Vuittona należała do babci i ma swoją historię, to już pasuje do berlińskiego stylu. Ale żeby kupować nową? Myślę, że ludzie nie robiliby tego, nawet gdyby mieli pieniądze. To po prostu za mało kreatywne i za trywialne. Absolutnie zakazany jest kompletny *look* prosto z wybiegu, obojętne jakiej marki. Wygląda się wtedy jak ofiara mody.

Berlińczycy, będący entuzjastami mody, też mają oczywiście swoje ulubione marki. Ludzie, których znam i którzy mają trochę więcej pieniędzy, kupią raczej luźny kaszmirowy sweter od Ricka Owensa niż pasek z markowym logo. Luksus widać dopiero na drugi rzut oka, jest to na przykład materiał. Powodzeniem cieszy się szwedzka marka Acne, podobnie jak Maison Martin Margiela. Moim zdaniem, gustom wielu kobiet w stolicy odpowiada jed-

Styl berliński jest ściśle związany ze śródmieściem Berlina i wschodnią częścią miasta, bowiem po upadku muru to tutaj miały miejsce najdalej idące zmiany. Śródmieście było wtedy ugorem, otwartą powierzchnią projekcyjną. Przybywali tu ludzie z bardzo różnych miejsc, by stworzyć coś całkiem własnego. To właśnie te wpływy ukształtowały styl miasta.

Sandra Semburg/Knesebeck Verlag

nak przede wszystkim moda francuskiej projektantki Isabel Marant: jest to swobodna moda uliczna, nie za elegancka, ale mająca swoją specyfikę.

Ta estetyka bardzo dobrze pasuje do stylu życia Berlina, który w znacznej mierze kształtują ludzie zawodów artystycznych i kreatywnych. Tu po prostu żyje się inaczej: wiele osób nie zna klasycznych godzin urzędowania, często pracuje się w domu nad różnymi projektami, dużo się podróżuje. Nie liczą się regulaminy i *dress code*, a to sprawia, że zmienia się także ubiór. Kobiety często chodzą z dużą torbą typu shopper, bo noszą przy sobie całe biuro łącznie z laptopem. Na wieczorne wyjście nie wkładają eleganckiej wieczorowej kreacji, a „dowartościowują" swój dzienny strój poprzez eleganckie buty, zwracającą uwagę biżuterię czy ekstra kopertówkę.

Czasem bywa i tak: im mniej szumu wokół swego wyglądu, tym większe wrażenie robi rezultat. Podczas sesji zdjęciowej pracowałam kiedyś ze stylistką ubraną w czarny T-shirt, czarne rurki, czarne sztyblety, bez makijażu. Wyglądało to świetnie i sądzę, że pasowałoby każdej kobiecie. Trudność sprawia zawsze rezygnacja z czegoś. Także w sprawach urody kobiety stawiają tutaj na naturalność. Zamiast smarować się drogimi markowymi kremami i nakładać na twarz grubą warstwę make-upu, stosują raczej kosmetyki naturalne nieznanych niszowych marek, które można odkryć w małych drogeriach.

Berlin nie miał dotychczas najlepszej opinii, gdy chodzi o garderobę jego mieszkańców. Ale sądzę, że tak, jak stolica przyciąga i fascynuje coraz więcej ludzi i cieszy się coraz większym zainteresowaniem za granicą, tak samo coraz wyraźniej będzie się krystalizował jej typowy styl. Na pewno nie ma on jeszcze tak dużego wpływu i nie jest tak sławny, jak szyk paryski. Ale to proces. W Berlinie powstało coś nowego. A mnie zawsze interesuje to, co nowe.

Notowała **Silvia Ihring**

Z niemieckiego przełożyła Elżbieta Michałowska

Angelika Taschen
historyk sztuki, wydawca, ma na koncie ponad 150 tytułów dotyczących designu, sztuki, fotografii i architektury; mieszka w Berlinie.
Silvia Ihring
dziennikarka „Welt am Sonntag", mieszka w Berlinie.

Powyższy tekst ukazał się 11.08.2013 w „Welt am Sonntag".

Dorota **Danielewicz**

Eleganz und Avantgarde – die Mode von EwelineB

Ewelina Barlak und ihre Geschäftspartnerin Beata Czajkowska zogen 2007 nach Berlin. Sie folgten einer Einladung des Unternehmens Berlin Partner, das in Posen polnische Firmen anwarb. In der Tat sind die Mietpreise für eine Werkstatt oder ein Atelier in Berlin nach wie vor erschwinglicher als in Warschau, deshalb verlagerte die Firma EwelineB ihre Tätigkeit in die Hauptstadt Deutschlands. Die im Zentrum Berlins entstandenen Modelle landen später in einer polnischen Manufaktur, als Vorlage für eine ganze Kollektion.

Das Atelier von Ewelina Barlak liegt im Zentrum Berlins, in der Nähe vom Hackeschen Markt und der golden schimmernden Kuppel der Neuen Synagoge. Auf einem großen Tisch liegt ein Schnittmuster. Meine Großmutter Regina war Schneiderin, und so verbrachte ich einige Kinderjahre an einem Küchentisch, der ein ähnliches Bild bot: halbtransparentes Papier mit aufgezeichnetem Schnittmuster auf einem Stück Stoff.

Meine Oma hatte eine schwere, gusseiserne Schere zum Schneiden von Stoffen, doch bevor sie diese in Bewegung setzte, zeichnete sie die Konturen mit weißer Kreide auf. Das tut Ewelina Barlak nicht, sie legt die Schere an den Stoff und schneidet ihn sofort. Wenn ich die Modedesignerin anschaue, genieße ich die mir so vertraute Magie des Augenblicks der Schöpfung – Ewelinas Augen, hinter einer schwarzen Brillenfassung versteckt, wirken konzentriert, gleich wird sich das viereckige Stück Seide in die Verheißung eines Kleides verwandeln. Ich erkenne bereits die Rundung der Hüften, die Betonung der Taille und die Wölbung der Brüste. Die Kleider aus dem Atelier von Ewelina Barlak sind feminin und sinnlich. Selbst ein von Nadel und Faden noch unberührtes Stück Stoff trägt bereits das Versprechen eines weiblichen Körpers in sich, seiner Rundungen und Schönheit. Ich möchte wissen, wie das fertige Kleid aussehen wird, und Ewelina zeigt mir den Entwurf. „Jaaa", denke ich, die Skizze betrachtend, das würde ich anziehen, ein klares „Ja!".

Im Atelier hängen auf Bügeln einige Modelle für Kostüme, Röcke, Kleider und Pullover, alles aus ausgezeichneten Stoffen gefertigt. Es fühlt sich angenehm an, Samt, Leinen, Seide oder Wolle ohne synthetische Beimischungen anzufassen. Die im Zentrum Berlins entstandenen Modelle landen später in einer polnischen Manufaktur, als Vorlage für eine ganze Kollektion.

Ewelina Barlak und ihre Geschäftspartnerin Beata Czajkowska zogen 2007 nach Berlin. Sie folgten einer Einladung des Unternehmens Berlin Partner, das in Posen polnische Firmen anwarb. In der Tat sind die Mietpreise für eine Werkstatt oder ein Atelier in Berlin nach wie vor erschwinglicher als in Warschau, deshalb verlagerte die Firma EwelineB ihre Tätigkeit in die Hauptstadt Deutschlands. Ewelina Barlak ist Autodidaktin, denn studiert hat sie Wirtschaft. Seit sie sich jedoch zurückerinnern kann, nähte sie für sich selbst originelle Kleider, die ihren Freundinnen gut gefielen. Es waren Frauen, die ihre Individualität hervorheben, sich unkonventionell kleiden wollten, ohne dabei auf die typisch weiblichen Attribute eines Outfits verzichten zu müssen. Mit der Zeit widmete sich Ewelina ausschließlich der Mode, ihre Inspiration schöpfte sie aus der Architektur und alten Filmen. Eine ihrer Kollektionen wurde durch den Film „Vom Winde verweht" inspiriert. Mit Beata Czajkowska arbeitet sie seit elf Jahren zusammen. Die Arbeitsbereiche sind gut aufgeteilt: Ewelina entwirft Kleider, Beata dagegen verwaltet die Firma „mit unglaublichem Charisma und Intuition", wie ihre Geschäftspartnerin betont. „Ich entwerfe keine Alltagsmode", antwortet die Designerin auf meine Frage nach dem Stil ihrer Kollektionen. „Ich bin der Überzeugung, dass jede Frau es mag und will, hin und wieder außergewöhnlich auszusehen."

In den Kollektionen von EwelineB überwiegen Kleider und Röcke – Hosen gehören nicht zu den bevorzugten Kleidungsstücken der Designerin, die eine sinnliche, feminine Mode entwirft. Dennoch, es gab auch Ausnahmen von der Regel. In der Vergangenheit entwarf Barlak unter anderem Dienstkleidung, zum Beispiel für das Krakauer Restaurant „Hawełka". Am liebsten spielt sie jedoch mit typisch femininen Modellen: 2005 entstanden Kostüme für die Tanzgruppe „KS Kamion Dance" des Choreografen Piotr Galiński, und später phantasievolle Uniformen für das polnische Cheerleader-Team anlässlich der Europa- und Weltmeisterschaften in Cheerleading. Die Kleider aus der Kollektion „Woman in dress" hatten Grażyna Prawda, die Ehefrau des polnischen Botschafters bei der Europäischen Union, begeistert, sie trägt diese Stücke gern in Brüssel.

Am Anfang ihres Designer-Weges war Ewelina Barlak von der Mode Valentinos fasziniert, dessen Einfluss bei ihr auch noch heute erkennbar ist. Sowohl bei Valentino als auch bei EwelineB regieren Rüschen, Volants, klare Formen und überwiegend einfarbige, elegante Kleider. Die Entwürfe von EwelineB fielen 2009 den Organisatoren der Fashion Week NY auf, und seitdem ist die Marke auf den Modeschauen in den USA regelmäßig zu sehen. Außerdem nimmt die Firma seit Kurzem ein paar Mal im Jahr an Modeschauen in London teil, das zurzeit, neben New York, Paris und Berlin, die wichtigste Modehauptstadt ist. Die jüngste Kollektion für die Saison Frühling/Sommer wurde von

dem Film „Die fantastische Welt von Oz" inspiriert. In Anlehnung an den Film entstanden 18 originelle Kleider aus Stoffen mit eigenhändig entworfenen Dessins. Mohnblumen, saftige Kirschen, ein sonniger Strand lassen den Sommer länger in Erinnerung bleiben.

Die größte Aufmerksamkeit ihrer Kundinnen – verrät Ewelina Barlak – genießen jedoch zwei außergewöhnliche Kleider: *Summer Paradise* und *Sapphire*. Ihre traumhaften Dessins und Formen erlauben es, sich in die magische, fantastische Welt des Zauberers von Oz zu versetzen. Eine hervorragende Ergänzung der Kollektion bilden drei seidene Mäntel. Sie muten wie drei Skulpturen an, die – in drei verschiedenen Farben – mit jedem Kleid ideal harmonieren. Bei den letzten Designerstücken sind die Kunstfertigkeit und Präzision von Ewelina Barlak sowohl für die Branchenkenner als auch für die Laien sichtbar. Sie verbindet Stoffe, Dessins und Formen zu einem Kunstwerk.

Die Designerin kennt die Straßen der europäischen Hauptstädte, beobachtet ihre Einwohnerinnen und hält auch unterwegs Ausschau nach neuen Ideen. Obwohl sich bei ihr vor allem schicke Polinnen einkleiden, hält sie die Mode in den Straßen Warschaus zwar für elegant, aber dennoch etwas steif. Die Berlinerinnen schätzen vor allem praktische, locker sitzende Kleider, nicht ohne Grund ist hier die Firma Globetrotter für Sport- und Freizeitbekleidung besonders beliebt. Die Polinnen in Berlin empfingen jedoch das Design von EwelineB mit offenen Armen, der Berliner Unisex-Stil ist ihnen fremd. Die Kleider der Modedesignerin verleihen vielen Veranstaltungen in der polnischen Botschaft Glanz.

Meine Großmutter, an die ich mich – wie auch an die von ihr geschneiderten Kleider – so lebhaft erinnere, lebte in einer Kleinstadt, die über einen wahren Laufsteg verfügte, auf dem Frauen ihre Outfits präsentierten. Das Stadtzentrum von Rawicz ist von einer Parkanlage umgeben. Nach einem Kirchenbesuch stolzieren bis heute Frauen in ihrer sonntäglichen Aufmachung im Schatten der Kastanien herum. Einige von ihnen taten es einst in den von meiner Großmutter genähten Kleidern. Es waren keine wohlhabenden Frauen, denn wie man weiß, hatten die Läden im sozialistischen Polen nicht viel anzubieten. Da Polinnen aber schon immer schöne Kleidung gefiel, bestellten sie diese beim Schneider. Damals veränderte sich die Mode auch nicht so schnell wie heute. Kleider nähen zu lassen war kein Luxus, sondern es gehörte zum Alltag. Heutzutage kann es sich aber selten jemand leisten, ein Kleidungsstück bei einer Designerin zu bestellen. Gute, solide angefertigte Sachen wurden durch Klamotten ersetzt, die in den Textilfabriken des Fernen Ostens genäht und in unseren Supermärkten verkauft werden.

Fot.: EwelineB

Es lohnt sich, einen Blick auf die kunstvollen Entwürfe solcher Designerinnen wie Ewelina Barlak zu werfen. Mode ist nicht nur ein Geschäft, sondern auch Kunst, und eine ökologisch verantwortungsvolle Produktionsorganisation schont die Umwelt. Die Blumen auf den Kleidern von EwelineB symbolisieren die ökologische Nachhaltigkeit und die Schönheit der Natur. Mögen sie noch lange blühen – an den Frauen und ihren Spazierwegen.

Aus dem Polnischen von Monika Satizabal Niemeyer

Dorota Danielewicz
Literaturwissenschaftlerin, Rundfunkjournalistin und Publizistin, lebt in Berlin.

Fot.: EwelineB

Dorota **Danielewicz**

Elegancja połączona z awangardą – moda EwelineB

Ewelina Barlak wraz ze wspólniczką Beatą Czajkowską przeniosły się do Berlina w roku 2007, na zaproszenie spółki Berlin Partner werbującej w Poznaniu polskie firmy. Rzeczywiście, ceny warsztatów czy atelier w Berlinie nadal są konkurencyjne z warszawskimi i firma EwelineB zaczęła działalność w stolicy Niemiec. Prototypy powstałe w śródmieściu Berlina wędrują do polskiej manufaktury, gdzie szyje się z nich całą kolekcję.

Centrum Berlina, okolice Hackescher Markt i lśniącej złotą kopułą synagogi. W atelier Eweliny Barlak na ogromnym stole leży papierowy krój. Moja babcia Regina była krawcową, sporo dziecięcych lat spędziłam przy kuchennym stole, na którym widywałam podobne obrazki: półprzeźroczysty papier z rysunkiem kroju na sztuce sukna.

Babcia miała ciężkie żeliwne nożyce do krojenia materiału, zanim jednak zdecydowała się na ich użycie, obrysowywała kontury kroju białą kredą. Ewelina Barlak nie rysuje, od razu przykłada nożyce do materiału i tnie. Patrząc na projektantkę mody, smakuję tak dobrze mi znaną z dzieciństwa magię momentu kreacji: oczy Eweliny w czarnych oprawkach okularów są skupione, za chwilę prostokątny kawałek jedwabiu przeistoczy się w obietnicę sukienki. Rozpoznaję zaokrąglenie bioder, wcięcie talii, ponowne poszerzenie wykroju na biust. Sukienki z atelier Eweliny Barlak są kobiece, zmysłowe. Nawet ten jeszcze nietknięty igłą i nicią kawałek materiału niesie w sobie przesłanie kobiecego ciała, jego krągłości i piękna. Jestem ciekawa, jak ta sukienka ma wyglądać po uszyciu. Pytam, a Ewelina pokazuje mi szkic. Taaak, myślę patrząc na rysunek, założyłabym, zdecydowanie tak!

Na wieszakach wisi sporo pierwowzorów kostiumów, spódnic, sukienek i sweterków, wszystkie z doskonałych materiałów. Miło dotknąć aksamitu, lnu, jedwabiu czy wełny bez sztucznych dodatków. Prototypy powstałe w śródmieściu Berlina wędrują do polskiej manufaktury, gdzie szyje się z nich całą kolekcję.

Ewelina Barlak wraz ze wspólniczką Beatą Czajkowską przeniosły się do Berlina w roku 2007, na zaproszenie spółki Berlin Partner werbującej w Poznaniu polskie firmy. Rzeczywiście, ceny warsztatów czy atelier w Berlinie nadal są konkurencyjne z warszawskimi i firma EwelineB zaczęła działalność w stolicy Niemiec. Ewelina Barlak jest samoukiem, studiowała ekonomię. Od zawsze jednak szyła dla siebie oryginalne rzeczy, które podobały się koleżankom. Były to kobiety pragnące podkreślić swoją indywidualność, ubierać się w niekonwencjonalny sposób, nie rezygnując przy tym z typowo kobiecych atrybutów

stroju. Z czasem Ewelina zajęła się wyłącznie modą, znajdując motywy w architekturze i starych filmach. Jedna z jej kolekcji powstała z inspiracji filmem „Przeminęło z wiatrem". Z Beatą Czajkowską współpracują od jedenastu lat, dzieląc kompetencje: Ewelina projektuje, Beata z niezwykłą charyzmą i intuicją zarządza firmą, jak mówi o niej wspólniczka. „Nie tworzę mody codziennej – odpowiada projektantka, zapytana o styl swoich kolekcji. – Jestem przekonana, że każda kobieta lubi i chce czasami wyglądać wyjątkowo".

W kolekcjach EwelineB dominują sukienki, spódnice, spodnie nie są preferowane przez projektantkę kreującą raczej zmysłową, kobiecą modę. Ale zdarzały się wyjątki od tej reguły: Barlak w swojej historii ma także projekty strojów służbowych, na przykład dla restauracji „Hawełka". Lecz najchętniej bawi się w typowo kobiece modele: w 2005 roku powstały stroje dla zespołu „Kamion", prowadzonego przez znakomitego choreografa Piotra Galińskiego, później pomysłowe sukienki dla polskiej reprezentacji cheerleaderek na mistrzostwa Europy i świata cheerleaderowych drużyn. Sukienki z kolekcji „Woman in dress" zachwyciły panią Grażynę Prawdę, żonę ambasadora RP przy UE, która chętnie pokazuje się w tych modelach w Brukseli.

Na początku drogi projektantkę mody Ewelinę Barlak fascynowała moda Valentino. Rzeczywiście, można się dopatrzeć pewnych wpływów. Zarówno u Valentino, jak i u EwelineB królują falbany, volanty, klarowne formy i raczej jednobarwne, eleganckie stroje. Kreacje EwelineB wpadły w 2009 roku w oko organizatorom Fashion Week NY i od tego czasu marka ta regularnie gości na pokazach w Stanach Zjednoczonych. Od niedawna firma kilka razy w roku eksponuje się na pokazach mody w Londynie, aktualnie obok Nowego Jorku, Paryża i Berlina, najważniejszej stolicy mody. Ostatnia kolekcja na sezon wiosna/lato zainspirowana została filmem „Oz. Wielki i potężny" z 2013 roku. Na motywach tego filmu powstało 18 oryginalnych sukienek z materiałów własnego projektu. Polne maki, soczyste wiśnie, słoneczna plaża w połączeniu ze zwiewnymi, lekkimi sukienkami pozwolą na dłużej zachować wspomnienie lata.

Jednak największą uwagę klientek, zdradza Ewelina Barlak, przykuwają dwie wyjątkowe sukienki, *Summer Paradise* oraz *Sapphire*. Magia wzoru i formy pozwala przenieść się w magiczny, baśniowy świat Czarnoksiężnika z krainy Oz. Doskonałym uzupełnieniem kolekcji są trzy jedwabne płaszcze. Trzy rzeźby, w trzech kolorach idealnie komponują się z każdą sukienką.

Przy tych ostatnich zarówno dla znawców branży, jak i dla laików widoczny jest kunszt oraz precyzja pracy projektantki. Barlak po mistrzowsku łączy tkaniny, wzory oraz formy.

Ewelina Barlak zna ulice europejskich stolic, obserwuje ich mieszkanki, szuka pomysłów także w drodze. Mimo że najchętniej ubierają się u niej szykowne Polki, ulicę Warszawy ocenia jako elegancką, lecz sztywną. Kobiety w Berlinie cenią sobie przede wszystkim praktyczny ubiór i swobodę, nie na darmo króluje tutaj sportowa firma Globetrotter. Jednak Polki w Berlinie przyjęły kreacje EwelineB z otwartymi ramionami, daleko im do berlińskiego uniseksu. Kreacje Barlak dodają szyku niejednej imprezie w ambasadzie RP.

Wracając do moich osobistych wspomnień związanych z babcinym szyciem sukienek, to babcia mieszkała w niewielkim mieście posiadającym prawdziwy wybieg, na którym kobiety prezentowały swoje ubiory. W Rawiczu centrum miasta okalają planty i po wizycie w kościele panie do dziś paradują w niedzielnych strojach w cieniu kasztanów. Niejedna z nich przechadzała się kiedyś w sukienkach szytych przez babcię. Nie były to kobiety zamożne, jak wiadomo, w sklepach epoki socjalizmu niewiele można było zakupić, a Polki zawsze lubiły się dobrze ubrać i dlatego dużo zamawiały u krawcowej. Moda również nie zmieniała sie tak szybko, jak dziś. Szycie ubrań należało do codzienności, nie było luksusem. Dziś rzadko kto może sobie pozwolić na zamówioną u projektantki kreację, zastępując dobre, solidne rzeczy kupowanymi w marketach ciuchami z fabryk Dalekiego Wschodu. Warto przyjrzeć się kunsztowi takich projektantek, jak Ewelina Barlak. Moda to nie tylko biznes, to również sztuka, a odpowiedzialna organizacja produkcji jest częścią ekologicznego systemu i miarodajnie wpływa na środowisko naturalne. Kwiaty na sukienkach EwelineB są w pewnym sensie zwiastunami równowagi ekologicznej i piękna naturalnej przyrody. Oby jak najdłużej kwitły i na kobietach, i na drogach ich spacerów.

Fot.: EwelineB

Dorota Danielewicz
literaturoznawca, dziennikarka radiowa i publicystka, autorka książki „Berlin. Przewodnik po duszy miasta" (Warszawa 2013), mieszka w Berlinie.

Archiv

Warschau / *Warszawa*

Agnieszka **Drotkiewicz**

Die Jacke der Queen

Ich schlendere durch Warschau und höre mir an, was die Kleider des Chors der Warschauer sagen – im Bewusstsein dessen, dass auch mein Mantel und meine Stiefel unaufhörlich plaudern. Es ist sehr laut hier!

Herbst 2013, neun Uhr morgens in der Nowy-Świat-Straße (Neue Welt) in Warschau: Wäre jemand hier vor 15 Jahren eingeschlafen und gerade eben aufgewacht, hätte er große Schwierigkeiten, die Frage „Wo bin ich?“ zu beantworten. Ein nicht unbedeutender Teil der Lokale und Läden in der Straße hat sich in der Zwischenzeit (nicht selten sogar mehrmals) verändert. Auch die heutigen Passanten sehen anders aus.

Ich sah einmal in einem Opernhaus eine Aufführung der Oper „Nabucco“ – als Inspizientin, von der Bühne aus. Der Chor, der die Parts der Babylonier und Hebräer abwechselnd sang, rannte zwischen den jeweiligen Auftritten in die Garderobe, um aus den entsprechenden Kostümen in die anderen hineinzuschlüpfen. Die vorbeieilenden „babylonischen Frauen“, die einen kurzen Augenblick später als „hebräische Jungfrauen“ zurückkehrten und umgekehrt, machten auf mich einen großen Eindruck.

Mir scheint, etwas Ähnliches ist mit den Warschauern passiert: In Eile streiften sie ihre Haut ab – die 30-jährigen Frauen legten ihre weiten, knöchellangen Mäntel ab, die sie in alte Matronen verwandelten, und die Devisen-Schwarzhändler tauschten ihre unverkennbaren Jacken gegen internationale hellblaue Hemden, Trenchcoats und Barbour-Steppjacken ein. Die Warschauer haben nichts mehr vom Chor der Unterdrückten, vielmehr erinnern sie an den Chor der Freunde von Violetta Valéry aus „La Traviata“, die den Hit „Libiamo ne'lieti calici“ mit einem Glas Veuve Clicquot in der Hand singen. Auf diese Veränderungen wies Mariusz Treliński hin, als er vor einigen Jahren im Teatr Wielki bei „La Traviata“ Regie führte: Mit dem Entwurf der Kostüme für die Solisten und den Chor beauftragte er die zwei besten und renommiertesten polnischen Designer: Gosia Baczyńska und Tomasz Ossoliński.

Warschau / *Warszawa*

Agencja Gazeta

Das letzte Jahrzehnt in Warschau war zweifellos ein Jahrzehnt schicker Männer! Manchmal sind sie dermaßen ostentativ schick, dass sie an eine Computersimulation eines Menschen erinnern. Ihre hellblauen Hemden und grauen Sakkos sind wunderschön, trotzdem machen sie nicht selten den Eindruck, als wären diese Kleider eine Camouflage, eine Maskierung. Die was verbergen? Hm … Etwa alte Wunden?

„Früher, immer wenn ich nach Polen zu Besuch kam, wurde ich auf Englisch angesprochen, weil die Leute dachten, ich sei ein Ausländer“, stellt ein Freund fest, der seit zwanzig Jahren in Frankreich lebt. „Vor einigen Tagen antwortete mir die Verkäuferin in einer Boutique mit Tod's-Schuhen und Kleidern von Ralph Lauren auf eine abfällige Art, indem sie mir nahelegte, ich verfüge nicht über die nötige Kaufkraft.“ Ich möchte an dieser Stelle hinzufügen, dass mein Freund genauso aussieht wie früher, doch heute, durch den Vergleich mit dem im „Oligarchen-Stil“ gekleideten Chor, der durch den Warschauer Königsweg rast, macht er wohl einen „ärmlicheren“ Eindruck.

Was ist nun geschehen? Ist die polnische Gesellschaft reicher geworden, und haben sich dabei die sozialen Unterschiede vertieft? Das ist die eine Sache, aber da gibt es noch etwas. Im Bordmagazin der polnischen Fluggesellschaft

Agencja Gazeta

Warschau / *Warszawa (plac Zbawiciela)*

LOT „Kaleidoscope“ vom März 1999 lese ich Folgendes: „Wenn aus den neuen, metallischen Bürogebäuden mit abgerundeten Kanten, wie etwa im Stadtviertel Służewiec Przemysłowy, einige Hundert gut gekleidete Frauen herauskommen, um in die Damenautos wie Daewoo Tico oder Fiat Cinquecento einzusteigen, spürt man den sich in Polen vollziehenden Wandel.“ Die Autorin des Beitrags (Beata Modrzejewska) vergleicht das neue Image einer Angestellten mit dem Bild einer „Bürokraft in einem typischen Übergangsmantel“ aus dem Jahr 1989. In der Tat, die 1990er Jahre waren die Zeit, in der ein gewöhnlicher Mantel gegen einen gut sitzenden von Deni Cler eingetauscht wurde. Aber auch nur von den Auserwählten – dem Rest blieben nur der Basar am Kultur- und Wissenschaftspalast und die eigenen Träume. Die wahre Revolution begann jedoch um das Jahr 2003, mit der Eröffnung der ersten H&M-Filiale in Warschau. H&M sowie andere Ketten veränderten die Bekleidungslandschaft in Polen radikal, insbesondere in den polnischen Großstädten. Wenn wir heute die nächste Kette betreten – den Starbucks in der Nowy-Świat-Straße – mit Musik in den Kopfhörern (sodass wir die Sprache um uns herum nicht hören können), wie sollen wir da bloß erraten, in welchem Land Europas oder Nordamerikas wir sind? Den Handtaschen von Longchamp, Brillen von Ray Ban sowie T-Shirts von Lacoste, die diejenigen anhaben, die einen Pumpkin Spice Latte tall bestellen, sieht man nicht an, wo sie gekauft worden sind. Vielleicht in einem Geschäft an einem Flughafen? Diese Kleider erinnern an exterritoriale Enklaven und sollen ein Zeichen dafür sein, dass man von „überall“ und „nirgendwo“ herkommt.

„Die war meine Schrift, meine Kleidung“, gesteht Jackie Kennedy in Elfriede Jelineks Drama „Jackie. Der Tod und das Mädchen IV“. „In meinem vorsprachli-

chen Stadium, das man auch das Kleider-Stadium nennen könnte, also in der Form, in der noch nicht gesprochen wird, die aber schon da ist und auf ihre Aussage vor dem Gericht der Menge wartet, sprachen die Kommentatoren unaufhörlich hinein. Über meine Kleidung hat man geredet, fast noch mehr als über mich, und das heißt was! Die war meine Schrift, meine Kleidung. Meine Kleider waren individueller als meine Sprache."

Was sagen nun die Kleider des Chors der Warschauer aus? Oftmals scheinen sie sagen zu wollen: „Ich bin irgendwo anders." Insbesondere kommunizieren das Kleider, die die Rolle von Insignien spielen: „Gerade eile ich auf einen Aperitif zu den Grimaldis" (Louis Vuitton, Hermès). Die noch knisternden Barbour-Jacken, die samstags vormittags in der Nowy-Świat-Straße zusammen mit den Gummistiefeln von Hunter und Reithosen getragen werden, berichten: „Ich bin in der Heide, ich gehe auf die Jagd, vielleicht treffe ich auf Queen Elizabeth II., sie hat die gleiche Jacke wie ich!" Nur knistert die Jacke der Queen nicht mehr. Da haben wir den Unterschied. Uns fehlt also doch etwas – die Nonchalance! Der Chor der Einwohner Warschaus sieht in der Regel toll aus, aber so toll, als hätte er die Kulissen verwechselt – die Marszałkowska- oder die Nowy-Świat-Straße sind am Ende doch keine Heidelandschaft. Achtung: Genauso wenig sind sie eine Yacht in Monte Carlo!

Schauen wir uns Warschau noch einmal etwas genauer an – reichen Lacoste, Ray Ban und Starbucks aus, um die Kulisse „mondänes Großstädtertum" zu erschaffen? „Jedes Mal, wenn ich nach Warschau komme, verblüfft es mich, dass die Straßen so weiß sind!", sagte einmal eine schwedische Schriftstellerin zu mir, die in einem multikulturellen Viertel Stockholms lebte. Sie meinte nicht den Schnee, das ist klar, sondern die mangelnde ethnische Vielfalt der Warschauer. Ha! Da haben wir den Unterschied, den die internationalen Marken nicht zu verdecken vermögen.

Gibt es noch etwas, was sich mit Kleidern nicht verdecken lässt? „Warschau ist auch ein Körper, das habe ich erst später begriffen", erklärt in einem Interview für das Online-Magazin „Dwutygodnik" Marcin Cecko, Dichter und Autor des Dramas „Kamienne niebo zamiast gwiazd" (Ein steinerner Himmel statt Sterne), in dem er erzählt, der Warschauer Aufstand sei in Warschau immer noch präsent. „Mit einem T-Shirt von Lacoste wird jedoch ein angeschlagener, tätowierter Körper angekleidet. Vielleicht ist es sogar der Körper eines Penners, der mit einem Feuchttuch abgewischt wurde, mit dem man für gewöhnlich Make-Up entfernt – ein parfümierter Körper."

Der Körper eines Penners, der mit einem parfümierten Feuchttuch abgewischt wurde (oder auch nicht) – das ist auch Realität. Herbst 2013, Warschau, die Nowy-Świat-Straße, elf Uhr morgens: In der Milchbar „Familijny" ist Zeit für ein frühes Mittagessen. Diese Milchbar ist einer der wenigen Orte in der Nowy-Świat-Straße, die aus der alten Zeit erhalten geblieben sind. Für ein Drittel des Preises eines Pumpkin Spice Latte tall kann man hier zu Mittag essen. Ich esse einen ukrainischen Borschtsch, vor mir stehen Pfannkuchen mit Quark. Ein Mann tritt an mich heran und fragt, ob ich die Suppe aufessen werde, denn falls nicht, würde er sie gern übernehmen. Ich schaue ihn mir an: Er ist dünn, hat langes Haar, eine Mütze auf und trägt ein Jackett über einem Kapuzensweatshirt. Sein ganzes Hab und Gut befindet sich in einer Plastiktüte mit der Aufschrift „Isabel Marant for H&M". Er sieht wie ein Hipster aus, der sich zu Hause vor dem Spiegel lange und sorgfältig darauf vorbereitet hat, auf die Straße zu treten. Wäre da nicht sein Geruch, könnte dieser Obdachlose im Café „Charlotte" am Plac Zbawiciela oder an einem anderen angesagten Ort sitzen – im Verhältnis zu anderen Besuchern wäre sein Kleidercode nicht dissonant!

Ich bin dabei, meine Pfannkuchen mit Quark in der „Familijny"-Milchbar zu Ende zu essen und schaue mir durch das Fenster die „Neue Welt" an. Was fällt am Chor der Warschauer noch auf? Es ist ein Männerchor. Das letzte Jahrzehnt in Warschau war zweifellos ein Jahrzehnt schicker Männer! Manchmal sind sie dermaßen ostentativ schick, dass sie an eine Computersimulation eines Menschen erinnern. Ihre hellblauen Hemden und grauen Sakkos sind wunderschön, trotzdem machen sie nicht selten den Eindruck, als wären diese Kleider eine Camouflage, eine Maskierung. Die was verbergen? Hm ... Etwa alte Wunden?

In seinem Buch „Das Reich der Zeichen" schrieb Roland Barthes, in Japan werde nicht nur mithilfe der Stimme kommuniziert: „Der ganze Körper (die Augen, das Lächeln, eine Haarsträhne, eine Geste, die Kleidung) unterhält mit Ihnen eine Art kindlicher Plauderei." Ich schlendere also durch Warschau und höre mir an, was die Kleider des Chors der Warschauer sagen – im Bewusstsein dessen, dass auch mein Mantel und meine Stiefel unaufhörlich plaudern. Es ist sehr laut hier!

Aus dem Polnischen von Monika Satizabal Niemeyer

Agnieszka Drotkiewicz
Kulturwissenschaftlerin, Autorin von Romanen und Gesprächssammlungen, lebt in Warschau.

Archiv

Warschau / *Warszawa (plac Zbawiciela)*

Agnieszka **Drotkiewicz**

Kurtka królowej

Chodzę po Warszawie, słucham tego, co mówią ubrania chóru warszawiaków, świadoma, że mój płaszcz i moje kozaki też paplają jak najęte. Jest tutaj bardzo głośno!

Jesień 2013, godzina dziewiąta rano, ulica Nowy Świat w Warszawie: gdyby ktoś zasnął tutaj piętnaście lat temu i teraz się obudził, miałby duże problemy z odpowiedzią na pytanie: „Gdzie jestem?". Zdecydowana większość lokali i sklepów przy tej ulicy zdążyła się zmienić (i to czasem kilkakrotnie) przez ten czas. Zmienił się także wygląd przechodniów.

Byłam kiedyś w operze na „Nabucco", które to przedstawienie oglądałam ze sceny, ze stanowiska inspicjentki. Chór, który w tym przedstawieniu raz śpiewa partie Babilończyków, a raz partie Żydów, biegał pomiędzy swoimi wejściami do garderób, żeby w pośpiechu przebierać się z jednych strojów w drugie. Mknące *kobiety babilońskie*, wracające po chwili jako *dziewice żydowskie* i odwrotnie, zrobiły na mnie wielkie wrażenie.

Wydaje mi się, że coś podobnego stało się z warszawiakami – w biegu zrzucili wylinki obszernych płaszczy do kostek (które z trzydziestolatek czyniły matrony), kurtki cinkciarzy zamienili na międzynarodowe błękitne koszule, trencze i pikowane kurtki Barbour. Warszawiacy to już nie jest chór uciemiężonych, to jest chór przyjaciół Violetty Valéry z „Traviaty", śpiewający przebój „Libiamo ne'lieti calici" z kieliszkami Veuve Clicquot w ręce. Przemiany te pokazał Mariusz Treliński, kiedy reżyserując kilka lat temu „Traviatę" w Teatrze Wielkim poprosił o zaprojektowanie strojów dla solistów i chóru dwójkę najbardziej sławnych i najlepszych polskich projektantów: Gosię Baczyńską i Tomasza Ossolińskiego.

„Kiedyś, kiedy przyjeżdżałem do Polski, ludzie mówili do mnie po angielsku, bo myśleli, że jestem cudzoziemcem – mówi mój kolega, który od dwudziestu lat mieszka we Francji. – Kilka dni temu ekspedientka w butiku z butami Tods'a i ubraniami Ralpha Laurena na placu Trzech Krzyży odpowiadała mi pogardliwie, sugerując, że nie posiadam odpowiedniej siły nabywczej". Dodam, że mój kolega wygląda tak samo jak kiedyś, ale może dziś, przez porównanie z pędzącym Traktem Królewskim chórem ubranym „na oligarchów", wydaje się, że „biedniej"?

Co się stało? Polskie społeczeństwo wzbogaciło się, a zarazem rozwarstwiło? To jedno, ale jest coś jeszcze. W magazynie pokładowym LOT-u „Kaleidoscope" z marca 1999 roku czytam: „Kiedy z nowych biurowców, choćby na Służewcu Przemysłowym, metalicznych, z modnie wyokrąglonymi kantami, wychodzi kilkaset dobrze ubranych kobiet i wsiada do damskich samochodzików typu Tico czy Cinquecento, czuje się zachodzące w Polsce przemiany". Autorka (Beata Modrzejewska) porównuje ten nowy *image* urzędniczki z obrazem „biuralistki w jesionce" z roku 1989. Faktycznie, lata 90. to był czas zamiany jesionki na płaszcz Deni Cler, ale jednak dla mniejszości społeczeństwa – dla reszty pozostawał bazar pod Pałacem Kultury i marzenia. Prawdziwa rewolucja przyszła około 2003 roku wraz z otwarciem w Warszawie pierwszego sklepu H&M. H&M i inne sieciówki odzieżowe zmieniły radykalnie westymentarny krajobraz Polski, a szczególnie dużych miast. Jeśli dziś wejdziemy do Starbucks'a na Nowym Świecie (kolejna sieciówka), a w uszach będziemy mieć słuchawki z muzyką (nie słyszymy więc języka wokół nas), jak zgadniemy w jakim kraju Europy albo Ameryki Północnej się znajdujemy? Po torebkach Longchamp, okularach Ray Bana, koszulkach Lacoste, które mają na sobie zamawiający „tall Pumpkin Spice Latte" nie widać, gdzie zostały kupione. Może na którymś lotnisku? Te ubrania to kostiumy eksterytorialnych enklaw – bycia „zewsząd" i zarazem „znikąd".

„One były moim pismem, moje ubrania – mówi Jackie Kennedy w dramacie Elfriede Jelinek „Śmierć i dziewczyna. Jackie". – W moim przedjęzykowym stadium, które równie dobrze można nazwać stadium ubrania, a więc w formie, kiedy jeszcze się nie mówi, ale która już jest i czeka na swoją wypowiedź przed trybunałem tłumu, mówili bez przerwy komentatorzy. O moich ubraniach mówili, bodaj nawet więcej niż o mnie samej, i to coś znaczyło! One były moim pismem, moje ubrania. Moje ubrania odznaczały się większą indywidualnością niż moje wypowiedzi".

Co mówią ubrania chóru warszawiaków? Często zdają się mówić: „Jestem gdzie indziej". Szczególnie komunikują to ubrania-insygnia: „Właśnie biegnę na aperitif do Grimaldich" (Louis Vuitton, Hermès). Trzeszczące nowością kurtki Barbour noszone razem z kaloszami firmy Hunter i spodniami do jazdy konnej w sobotnie przedpołudnie na Nowym Świecie mówią: „Jestem na wrzosowisku, idę na polowanie, może spotkam królową Elżbietę II, ona ma taką samą kurtkę jak ja!". Tyle że kurtka królowej nie trzeszczy z nowości. Oto różnica. A więc czegoś nam jednak brakuje – nonszalancji! Chór mieszkańców Warszawy wygląda zazwyczaj świetnie, ale tak świetnie, jakby pomyliły mu się dekoracje – Marszałkowska czy Nowy Świat to jednak nie jest wrzosowisko. Uwaga: to także nie jest jacht w Monte Carlo!

Przyjrzyjmy się jeszcze raz Warszawie – czy naprawdę Lacoste, Ray Ban i Starbucks wystarczą za dekorację „światowa wielkomiejskość"? „Za każdym razem, gdy przyjeżdżam do Warszawy, uderza mnie, że na ulicach jest tak biało!" – powiedziała mi kiedyś szwedzka pisarka mieszkająca w wielokulturowej dzielnicy Sztokholmu. Nie miała na myśli śniegu, rzecz jasna, lecz brak zróżnicowania etnicznego mieszkańców. Ha! A więc mamy różnicę, coś czego nie zakryją międzynarodowe marki.

Czy jest jeszcze coś, czego nie da się zakryć ubraniem? „Warszawa to też ciało, to dotarło do mnie dopiero później – mówi w wywiadzie dla „Dwutygodnika" Marcin Cecko, poeta, autor dramatu „Kamienne niebo zamiast gwiazd", opowiadającego o tym, jak powstanie warszawskie „wciąż żyje" w Warszawie – Koszulka Lacoste założona jest na ciało jednak nadszarpnięte, wytatuowane. Może nawet ciało żula. Wytarte mokrą chusteczką, którą zwykle zmywa się makijaż, wyperfumowane".

Ciało żula wytarte pachnącą wilgotną chusteczką, w koszulce Lacoste – to dobra metafora: stare rany, nowe pieniądze.

Ciało bezdomnego wytarte pachnącą chusteczką (albo i nie) to także rzeczywistość. Jesień 2013, Warszawa, ulica Nowy Świat, godzina jedenasta – w barze mlecznym „Familijny" pora wczesnego obiadu. „Familijny" to jedno z niewielu miejsc na Nowym Świecie, które pozostały tu od lat. Za jedną trzecią ceny „tall Pumpkin Spice Latte" można tu zjeść obiad. Jem barszcz ukraiński, przede mną stoją naleśniki z białym serem. Podchodzi do mnie mężczyzna i pyta, czy zjem całą zupę, bo jeśli nie, on chętnie ją dokończy. Patrzę na niego – jest chudy, ma długie włosy, czapkę, marynarkę włożoną na bluzę z kapturem, cały swój dobytek trzyma w reklamówce „Isabel Marant for H&M". Wygląda jak hipster, który długo szykował się przed lustrem do wyjścia z domu. Gdyby nie zapach, ten bezdomny mógłby siedzieć w kawiarni „Charlotte" na placu Zbawiciela, czy innym modnym miejscu – nie stwarzałby żadnego dysonansu w kodzie westymentarnym w stosunku do innych bywalców!

Kończę jeść naleśniki z serem w barze „Familijny", wyglądam przez okno na Nowy Świat. Co jeszcze zwraca uwagę w chórze warszawiaków? Chór męski. Ostatnia dekada w Warszawie jest zdecydowanie dekadą szykownych mężczyzn! Czasem tak ostentacyjnie szykownych, że wyglądają jak komputerowa symulacja człowieka. Błękitne koszule, szare marynarki są piękne, sprawiają jednak czasami wrażenie odzieży kamuflującej, maski. Kamuflującej co? Hm. Stare rany?

Archiv

Roland Barthes w „Imperium znaków" pisał o tym, że w Japonii komunikuje nie głos, „ale całe ciało (oczy, uśmiech, kosmyk włosów, gest, ubranie), ustanawiając między wami coś w rodzaju paplaniny." Chodzę po Warszawie, słucham tego, co mówią ubrania chóru warszawiaków, świadoma, że mój płaszcz i moje kozaki też paplają jak najęte. Jest tutaj bardzo głośno!

Agnieszka Drotkiewicz
autorka powieści i zbiorów rozmów, mieszka w Warszawie.

Archiv

Maria **Janiszewska**

MUT UND EXTRAVAGANZ

EINE KURZE GESCHICHTE DER (POLNISCHEN) MODE

Schriftsteller Leopold Tyrmand, Ex-Ehemann von Barbara Hoff / *pisarz Leopold Tyrmand, były mąż Barbary Hoff*

Als ein Grieche zum allerersten Mal einen ionischen anstelle eines dorischen Chitons anzog, stand er da unter dem Einfluss einer neuen Epoche oder protestierte er gegen die alte? Beide Chitons waren aus zwei rechteckigen Tuchstücken gemacht, an den Seiten zusammengenäht oder -geheftet, nur war der dorische enger geschnitten, während der ionische leichte Falten schlug. Letzterer konnte auch in den Grundfarben getragen werden.

Oder die reiche römische Patriziertochter, die ihrer *ornatrix*, einer ausschließlich für ihre Frisur zuständigen Sklavin, von einem Tag auf den ihre Haare neu zu färben befahl, – unterstützte sie so ihren Bruder, der gegen das erste Triumvirat protestierte? Cicero nannte den jungen Mann voller Verachtung einen „bärtigen Jüngling", denn in der Römischen Republik galt jemand, der sich nicht rasierte, als leichtfertig. Vielleicht war er wenigstens noch bereit, sich die Sandalen anzuziehen, wenn er vor die Tür ging?

Wie wir wissen, konnte im Mittelalter die Kleidung zu einer Form von Askese werden. Die Heiligen Hieronymus von Stridon (5. Jahrhundert), Benedikt von Nursia (6. Jahrhundert) und lange vor ihnen der zum Christentum bekehrte Terulian (2. Jahrhundert) sprachen von der teuflischen Versuchung, die in den weiten Ärmeln der Frauenkleider lauerte, in blondierten Haaren, Cremes oder Perücken. Der heilige Benedikt ermahnte die Ordensleute, ihnen sollte zur Arbeit eine bescheidene Tunika reichen, im Winter durfte dazu eine wollene *cuculla* getragen werden (als Oberkleidung, weit geschnitten, mit einer langen Kapuze und weiten Ärmeln). Aber trotz solcher Anweisungen ließen die Frauen ihrer Phantasie freien Lauf, trugen Kleider mit vielen Zwickeln, die ihre Reize betonten, rote, orangene, auch sich farblich beißende Zusammenstellungen von Grün und Rosa, dazu Schuhe mit langen Spitzen. Denn was sollte ein Kirchenmann schon gegen die Mode ausrichten? Soviel ist bekannt, dass gerade damals das erste Korsett aufkam, von dem sich die Frau erst im 20. Jahrhundert endgültig befreite, aber für die Männerwelt gab es ohnehin viel zu bestaunen. Entgegen der verbreiteten Meinung war das Mittelalter an denselben Stellen dunkel und schmutzig wie unsere Zeit. Kaum vorstellbar, dass Pierre Abélard seine Eloïse mit ungewaschenem Haar aufsuchte, was heute unter Wissenschaftlern, Literaten oder Hipstern durchaus nichts ungewöhnliches mehr ist.

Wieso begann der Pole bei Hofe, als die Männer im übrigen Europa im Wams gewandet gingen, einem Jäckchen, das bis zum Gürtel reichte, weite Ärmel und kurze Schöße hatte, den *żupan* zu bevorzugen [ein über die Knie reichendes, kaftanartiges Gewand, A. d. Ü.]. War er ein Individualist oder ein Rebell? Wie im darauffolgenden Jahrhundert der adelige *kontusz* [ein bis zu den Knöcheln reichender Mantel, oft ärmellos, A. d. Ü.], der mit einem Sluzker Gürtel gebunden wurde, war der *żupan* aus dem Osten eingewandert – so stark war der orientalische Einfluss. Der Adelige umwand ihn mit einem Seidengürtel, schnallte sich einen Gurt um und hängte daran den krummen Säbel auf, der ihm in den nächsten beiden Jahrhunderten zu Diensten sein würde.

Als die Kriege gegen die Türken und die Schweden zu Ende gingen, kam die Zeit für eine neue Männermode. Und sie war viel ausgeschmückter als die der Frauen, sie ließ die Männer geradezu weiblich aussehen: Hosen aus karminrotem Tuch, Stehkragen, ein *żupan* aus farbigem Brokat, Samt oder Seide, darüber ein reichverzierter *kontusz*, eine mit Pelz gefütterte Schaube aus Wolfs- oder Bärenpelz (oder auch aus Biber oder Zobel). Die Männerbärte lang, wenn das Haar kurz getragen wurde, und umgekehrt. Die Frauenkleidung des Barocks richtete sich hauptsächlich nach der der Männer.

Gegen derlei Vorlieben empörten sich die Frauen des Zeitalters der Aufklärung. Sie setzten auf Liebreiz, Zartheit und milchigen Teint. Über die Unterhosen zogen sie eine *rogówka*, auch genannt *panier*, also ein mit einer Stellage aus mit Bändern verbundenen weiten Reifen verstärktes Kleid, und den vorne gebildeten Keil verzierten sie mit Kronen, Rüschen und Plissees. Während die Frauen hochaufragende Perücken trugen, hatten die der Männer hinten einen kleinen Zopf, den sogenannten *harcap* [entlehnt aus „Haarzopf", A. d. Ü.], der mit einer Schleife umbunden war. Da-

PAP

gegen ließ sich protestieren mit einer Schleife, die mal auf die linke, mal die rechte Schulter geworfen wurde, im Takt der Musik und der Drehung des Kopfes nach den tanzenden Damen, auf deren Gesichtern ein Schönheitsfleck prangte, ein geheimes Zeichen: Im Mundwinkel bedeutete es Verliebtheit, auf der Nase Verwegenheit, auf der Wange Geneigtheit ...

Jedoch wurde die Aufmerksamkeit der Männer von den Schöhnheitsflecken von in ernstem Ton gehaltenen Briefen abgelenkt, verfasst von dem jungen Werther, dessen bevorzugte Kleidung der Habit war. Der Habit oder Frack dominierte die Männerkleidung in der Empfindsamkeit und der Romantik, in seine Tasche passte hervorragend eine Uhr. Während zum Männerkopf der Zylinder gehörte und in ihren Händen Handschuhe sowie ein Stöckchen Platz fanden, ließen sich die Frauen schon in neuen, den Körper nicht mehr so einengenden Kleidern bewundern. Nicht ganz dazu passte der Turban, der die Frauen an den „Giaur" des Lords Byron erinnern sollte. Sie lasen die Einleitung des Werks, eine leidenschaftliche Anrufung Griechenlands, das damals den Kampf gegen die osmanische Besatzung begann, und meinten, symbolisch die Griechinnen (obwohl die Heldin des Romans Leila doch Georgierin war) sowie den Philhellenismus zu unterstützen, und hatten die Tracht der antiken Griechin im Sinn ...

2

Nach dem Scheitern des Januaraufstands im Oktober 1864 galt noch unverändert die drei Jahre zuvor von den Kirchenoberen verkündete Volkstrauer zum 30. Jahrestag der Niederschlagung des Novemberaufstands. Die Männer trugen vollständige Trauer, alles in Schwarz, ausgenommen das Hemd, die Frauen vergaßen die Farbe ganz, nur weiße Manschetten und kleine Kragen wurden geduldet. Die Frauen trugen das Haar zu Zöpfen geflochten oder auf dem Hals zu einem Knoten gelegt. Selbst die Kinder und ihre Puppen wurden schwarz gekleidet. Aber gegen Ende des Jahrhunderts änderte sich die Mode, obwohl doch Bolesław Prus, davon überzeugt, dass die Mode nicht so sehr eine Frage der Kleidung als vielmehr der Weltanschauung sei, sich beschwerte, es gebe „auf der Welt immer weniger gute Ladengehilfen und kluge Politiker, denn alle richten sich nach der Mode" („Die Puppe", 1890).

Wenig später sah Prus die Pelerinen des Jungen Polen, unter denen bereits Naturalismus, Impressionismus, Expressionismus und Symbolismus hervorschauten. Diese Kunstrichtungen definierten Frauen- und Männerkleidung von Grund auf neu. Das 20. Jahrhundert brach an, in dem die Mode, die sich bislang im Rhythmus der Epochen geändert hatte, ein in der Geschichte unerhörtes Tempo annahm.

Zuerst einmal veränderte der Erste Weltkrieg den Begriff, denn die Frauen mussten die Männer an ihren Arbeitsplätzen vertreten: Die Mode hatte funktionell zu

sein. Die größte Veränderung: die ersten Damenhosen oder besser gesagt, die Akzeptanz dafür. Auch die Röcke wurden kürzer. Die Kleider wurden einfach, und zwar so, dass man sie zuhause nähen konnte! Gleich darauf begannen die verrückten, tanzwütigen 1920er Jahre (Tango, Samba, Foxtrott, Charleston), deshalb mussten die Kleider bequem sein. Vorbei war es mit den langen Locken, Zöpfen und Dutts – die Bobfrisur war angesagt. In den 1930er Jahren kleideten sich, trotz Weltwirtschaftskrise, selbst die ungelernten Arbeiter (und tanzten in den Tanzhallen) genauso wie die Aristokraten (die in den Ballsälen tanzten). Vor dem Zweiten Weltkrieg wurde den Frauen noch die Liebe zu den Falten eingeflößt, was die Silhouette weicher machte. Alle waren zufrieden, niemand empörte sich dagegen. In den ersten drei Jahrzehnten des 20. Jahrhunderts vergaß man gründlich, dass nicht lange zuvor noch dieselben Kleider, ohne aus der Mode zu kommen, zuerst von der Urgroßmutter, dann der Großmutter, der Mutter und schließlich der Tochter hätten getragen werden können ...

3 Nach dem Zweiten Weltkrieg teilte sich Europa in zwei verschiedene Kleiderschnitte auf.

Für die Frau im Westen erschuf Dior den New Look, gleichbedeutend mit Phantasie, Leichtigkeit und Freizügigkeit nach den entbehrungsreichen Kriegsjahren. Unter einem auf Taille geschnittenen Jackett ein Glockenrock (manchmal wurden zehn Meter Stoff für einen Rock gebraucht), auf dem Kopf ein Hut mit meterweiter Krempe. Gelegentlich gefielen sich die Frauen in geometrischen Spielereien in Trapezform. Coco Chanel führte das sogenannte Kleine Schwarze ein, also ein Kleidungsstück, das sich im Schrank einer jeden Frau finden sollte – bei Austausch der Accessoires entstand so aus dem Alltagskleid, das über das Knie reichte, eine Version für den Abend. Das LBD (*little black dress*) wurde bei der Gelegenheit zum Symbol der Emanzipationsbewegung. In allgemeinen Gebrauch wurde auch das gewöhnliche Armeeunterhemd genommen, will sagen das T-Shirt. Die jungen Männer trugen lange Jacken, schmale Krawatten und zwängten sich in enge Röhrenhosen.

Der zweite Kleidungsstil, identisch für Frauen und Männer, war gedacht als Kleidung zum Führen eines Traktors, zum Melken von Kühen, zur Arbeit in der Fabrik oder auf dem Bau – und er war einheitlich auch für die Freizeit. Er war auf seine Tauglichkeit geprüft, seit 30 Jahren bereits in der Sowjetunion in Gebrauch, und kam mit der kommunistischen Ideologie; er obsiegte in allen sogenannten volksdemokratischen Ländern. Weil alles geplant wurde, konnte ein für die Volksmassen so wichtiges Gebiet wie die Mode nicht dem Individuum überlassen bleiben, denn sogar diese war Teil der geplanten Entwicklung der Gesellschaft. Das Regime betonte die Existenz von Klassenunterschieden, was sich darauf auswirkte, wie zum Beispiel die Polen aussahen. Zu den importierten Modeartikeln gehörten: weite Männerhosen, wattierte Jacken, Mützen im Lenin-Stil, Kopftücher, Arbeitsschürzen, gestrickte Kleider, kurze Kleidchen, Pullover, Mäntel und Morgenröcke (was sie auszeichnete, war ihre Elastizität – sie ließen sich in alle Richtungen ziehen, der Wind wehte durch und die Größen waren irgendwie unbestimmt). All das bestenfalls in „abgetönten" Farben. Im Vorteil war, wer stricken konnte, denn eine Strickweste ließ sich auftrennen, das Material waschen und aufs Neue zu einem Schal stricken. Überhaupt war Autarkie empfehlenswert, dann waren nicht einmal Schuhe ein Problem: „Die aus (Roggen-) Stroh gefertigte Sohle befestigen wir vor dem Annähen des Bandes mit Gummi, mit langen Nägeln, deren oben herausstehende Enden wir umbiegen. In das Innere des Pantoffels legen wir eine dicke Einlage, damit Stroh und Nägel nicht mehr zu spüren sind."

4 In Polen treffen derartige Modeartikel, trifft dieser Stil auf Widerstand.

Die Polinnen tragen die Wattejacken nicht, denn sie lehnen es ab, wie eine Kolchosenarbeiterin auszusehen, oder im Falle der Männer wie ein Landarbeiter, und selbst vor leeren Ladenregalen oder ohne Material, sind sie mit der grauen egal-wie's-aussieht-Mode nicht einverstanden. Ganz im Gegenteil, jede hat eine Bekannte auf dem Markt, die mit „Klamotten" handelt, eine gute Seele oder Familie im Westen (im äußersten Fall hat wenigsten die Kollegin Beziehungen), die zusehen, dass die potentielle Filzstiefelträgerin etwas zum Anziehen im Schrank hat. In den 1950er Jahren ist es besonders schwer, jedes Paket mit „Klamotten" wird schließlich vom Klassenfeind geschickt.

„Es kommt vor, dass Mode und Politik zueinander in Beziehung treten", sagt der Soziologe Mirosław Pęczak. „Wenn die Bevölkerung die Regierung ablehnt und ihre politische Gesinnung durch ihren Kleidungsstil zum Ausdruck bringt. Dann handelt es sich um eine Revolte. Diese ist nicht ästhetischer, sondern politischer Art." Das erste Anzeichen für die Revolte in Volkspolen sind die Dandys: Sie tragen „amerikanische" karierte Jacken in zu großen Größen, mit Zeitungspapier ausgestopftes Barrett oder Mütze, achten sehr auf ihre Frisur, den sogenannten Entensteiß. Lächelnd erinnert sich der Schriftsteller Janusz Głowacki daran, damals eine Felljacke aus dem Koreakrieg mit dem Aufnäher „Sgt. Henderson Jr." besessen zu haben. Und fügt ganz ernst hinzu, dass beispielsweise nach dem März 1968, der politischen Krise, die mit Studentendemonstrationen begann, es als Achtungsbezeigung gegenüber den Studenten gut angesehen war, sich eine Studentenmütze aufzusetzen.

Aus den Ideen des Klassenfeindes, der auch hinter den Kollektionen der berühmten Couturiers steckt, bedient sich in vollen Zügen Barbara Hoff, bestärkt von dem Glauben an die „Sendung der Intelligenz, an den Patriotismus, der darin besteht, das uns nur Mögliche für das Land zu tun". Sie glaubt auch, nicht alle würden sich „von der europäischen Kultur, von unseren Wurzeln" abschneiden lassen. Sie passt westliche Trends an die Realitäten im Lande an, formt sie um, und voller Inspiration geht sie zur Offensive über: Sie bringt den Polen modische Experimente, Extravaganz, bringt sie zur Verwegenheit. Sie beginnt mit den *pepegi* (was sich von der Vorkriegs-Aktiengesellschaft „Polski Przemysł Gumowy" – Polnische Kautschukindustrie – ableitet; mit anderen Worten: Sportschuhe); davon soll man den Teil mit den Schnürsenkeln abschneiden, den Rest mit Tusche färben, das Ergebnis: eine polnische Variante schwarzer Ballettschuhe. Gemeinsam mit Janina Ipohorska führt Barbara Hoff Begriffe wie *wdzianko* (eine Jackenform), *lejba* (ein weiter Rock) und *kufajka* (eine gefütterte Winterjacke) ein. In der Wochenzeitschrift „Przekrój" etabliert sie ab 1954 eine Moderubrik, für die sie 48 Jahre lang schreibt. Der nächste Schritt ist in den 1970er Jahren die Marke „Hoffland". Die Firma, der Name, vor allem aber die Entwürfe, die Modekollektionen, die Ladengeschäfte und die dantesken Szenen davor sind bis heute legendär. Hoff meint dazu: „modisch gekleidete Menschen in Volkspolen wurden von der Staatsmacht und der kommunistischen Partei verfolgt". Bitter fügt sie an, die Miliz habe sich elegant gekleidete Menschen vorgeknüpft, aber es sei auch vorgekommen, dass diese von ganz gewöhnlichen Leuten angeschubst und beschimpft worden seien, die doch niemand dazu beauftragt habe. Gar nicht so selten kam es vor, dass jemand wegen modischer Kleidung von der Uni flog.

Was die Eleganz betrifft: In den 1960er Jahren betont die rebellische Polin ihre Reize vor allem mit Pfennigabsätzen, was ihrer Hüfte ungemeine Grazie verleiht, und damit, dass sie mit einer grazilen Bewegung die Zigarette von der einen in die andere Hand wechseln lässt. Die Zigarette kommt besonders zustatten, denn auf den Straßen mit Katzenkopfpflaster tritt Frau sich die hohen Absätze ab oder verliert sie.

Barbara Hoff arbeitet in Opposition zu dem offiziellen volkspolnischen Konzern „Moda Polska“ (Polnische Mode), dessen Geschäfte den, wie er heute genannt wird, „Stil des neuen sozialistischen Bürgers, der mit dem politischen System einverstanden, zufrieden und satt ist“, lancieren. Offiziell ist Aufgabe des Unternehmens, in der staatlichen Kleidungsindustrie die aktuellen Moderichtungen zu propagieren. Jerzy Antkowiak, ein herausragender polnischer Modedesigner und seit 1961 viele Jahre Mitarbeiter von „Moda Polska“, sieht die damalige Zeit mit großer Distanz und Humor: „Gegen Ende der Saison gab es Sonderangebote, für die sich die Ministerfrauen anstellten … In der besten Zeit hatten wir 60 Salons, aber unsere Kapazitäten reichten nur für 15 bis 20, deshalb beschäftigten wir Heimarbeiter.“ Doch ist Hoff schwer zu widersprechen. Was die Leistungen des Meisters nicht mindert, den verfeinerten Geschmack der Polinnen kreiert zu haben, den die um „Moda Polska“ verdiente, langjährige Direktorin Jadwiga Grabowska, eine wahre Dame aus der Vorkriegszeit, „entdeckte“.

In jenen Jahren tritt noch eine dritte wichtige Persönlichkeit des polnischen Modedesigns in Erscheinung, Grażyna Hase, deren Debüt sogar die britische „Sunday Times“ vermerkt, als sie auf der eigenen Schau 1967 in einem Anzug à la Lenin auftritt. („Ich bekam sofort Einladungen zu weiteren Modeschauen in der Gesellschaft für Polnisch-Sowjetische Freundschaft.“) Hase ist bis heute als Designerin aktiv und führt in Warschau eine eigene Galerie.

Die Entwürfe Antkowiaks, Hases und Hoffs blieben jedoch weitgehend auf dem Papier. Der volkspolnische Modealltag war geprägt (von Montag bis Samstag, seit den 1970ern bis Freitag) von Schuluniformen, dunkelblau, erst aus Baumwolle, später aus Kunstfaser, mit einem abknöpfbaren weißen Krägelchen, ein ästhetischer Sack für Schlappen zur Schule, an den Tornister gehängt, und am Sonntag ein gelbes Kleidchen aus Georgette. Die Mutter im Hosenanzug aus pflaumenblauer Crepeline, passend zum Vater im kirschroten Anzug. Und alle träumen von Schuhen aus der DDR. (Am Rande bemerkt: in der DDR erscheint die Zeitschrift „Sybille“, die zwar unablässig vom Zentralkomitee überwacht wird, aber doch eine von der sozialistischen Monotonie weit entfernte Modewelt vorführt.)

In den 1980er Jahren, kurz bevor Katherine Hammnett ihre überbordenden Ideen hat, indem sie auf T-Shirts Slogans für den Weltfrieden oder Umweltschutz drucken lässt, protestieren die Polen in Massen gegen die Einführung des Kriegszustands. Sie drehen aus alten Radiogeräten die kleinen Elektrowiderstände heraus, um sie anstelle der verbotenen Solidarność-Abzeichen am Revers zu tragen. Sehr wahrscheinlich bringt mit einem solchen Widerstand in Posen der neunzehnjährige Piotr Majchrzak die Polizisten von der Sondereinheit ZOMO in Rage, die ihn zu Tode prügeln. (Es war 2006 ein schlechter Witz des niederschlesischen Bündnisses der Demokratischen Linken SLD vorzuschlagen, zum Zeichen des Protestes gegen die Vierte Republik die allseits bekannten Widerstände anzustecken.)

Auch kam der Punk auf, der international war, jedoch seine jeweiligen nationalen Ausprägungen hatte.

Später, 1989, wurde all das über Nacht zum Retrolook.

PAP

Das polnische Supermodel Anja Rubik / *polska supermodelka Anja Rubik*

5 Unsere kleine Geschichte der Mode in der Volksrepublik Polen wäre jedoch einseitig, wenn wir unerwähnt ließen, woran Marcin Różyc stets erinnert, der Chefredakteur des Magazins „AFF“, der zurzeit im In- und Ausland geschätzteste Modekommentator, nämlich die ungehobenen und auch vergessenen Schätze jener Zeit. Sie bestehen aus den Sammlungen der Fotografen Aleksander Błoński, Krzysztof Gierałtowski, Wojciech Plewiński und Tadeusz Rolke. Sie bestehen aus den Jahrbänden des „Przekrój“ von Marian Eile und der Zeitschrift „Ty i ja“ von Teresa Kuczyńska. Und die heute jederzeit zu sehenden Filme, wie diejenigen Janusz Morgensterns aus den 1960ern („Auf Wiedersehen, bis morgen“, „Der Morgen des Premiers“, „Adams zwei Rippen“, „Das Leben noch einmal“, „Jowita“). Marcin Różyc hält fest, dass „die Volksrepublik einen der stilbewusstesten Momente in der Geschichte der polnischen visuellen Kultur darstellte. Wir sollten anfangen, diesen zu schätzen und sorgfältig zu erforschen.“

Zentraleuropa ist schon bei sich angekommen. Eigentlich kann es also ohne Hindernisse auf die Absatzmärkte von Textilherstellern und Modekonzernen gelangen. Vielleicht sammelt es seine Kraft vor der neuen Rebellion? Denn vorerst exportiert Zentraleuropa ausschließlich Models in den Westen.

Heute, in postmoderner Zeit, in der alles Neo-, Trans-, Post- und Meta- ist, sollte man vielleicht in jenen Jahren, auch in jener Modewelt und ihren Sitten, nach kreativer Inspiration suchen, aber auch nach der Möglichkeit der Rebellion. Und sie ergründen. Denn wie Jerzy Pilch sagt, „die Mode ist wie die Dummheit auch eine Gabe Gottes – nur eine geringere“.

Aus dem Polnischen von Andreas R. Hofmann

Maria Janiszewska
Freie Journalistin, lebt in Lodz.

Jadwiga Grabowska und / *i* Jerzy Antkowiak

PAP

Maria **Janiszewska**

ODWAGA I EKSTRAWAGANCJA

KRÓTKA HISTORIA (POLSKIEJ) MODY

Grek, zakładając po raz pierwszy chiton joński zamiast doryckiego, ulega tylko wpływowi nowej epoki, czy protestuje przeciwko starej? Oba chitony tworzą dwa prostokątne kawałki wełnianej tkaniny, zszyte lub spięte po bokach, lecz dorycki był węższy, a joński może ułożyć w delikatne fale. Ten nowy można też nosić w barwach podstawowych.

Czy rzymska, bogata córka patrycjuszka, która z dnia na dzień nakazuje zmienić swojej *ornatrix*, niewolnicy zajmującej się tylko jej fryzurą, kolor włosów, popiera brata, protestującego przeciwko pierwszemu triumwiratowi? Cyceron określa chłopaka pogardliwym epitetem „młodziniec z bródką", bo w republikańskim Rzymie ktoś nieogolony jest nieodpowiedzialny. Może on jeszcze, wychodząc z domu na ulicę, gotów założyć sandały?

Średniowiecze uznaje, że ubranie może być formą ascezy, tak nas uczono. Święci: Hieronim ze Strydonu (V wiek), Benedykt z Nursji (VI wiek), a wcześniej jeszcze nawrócony na chrześcijaństwo Tertulian (II wiek), głoszą o diabelskich pokusach czyhających w powiewnych rękawach kobiecych sukni, tlenionych włosach, kremach czy perukach. Święty Benedykt przypomina zakonnym osobom, że do ich pracy wystarczy skromna tunika, w zimie może to być wełniana *kukulla* (wierzchnia, szeroka, z długim kapturem i szerokimi rękawami), nawet znoszona. Lecz wbrew tym opiniom, kobiety fantazjują, wkładają suknie z wieloma klinami, co podkreśla ich wdzięki, noszą czerwienie, pomarańcze, także gryzące zestawienia zieleni z różem, zakładają buty z długimi szpicami. Bo czy teolog na dłuższą metę wygra z modą? Owszem, przypomnijmy, powstaje wtedy pierwszy gorset, z którego uwolni kobietę dopiero XX wiek, ale mężczyzna ma i tak wiele do podziwiania. Wbrew powszechnym opiniom, średniowiecze jest w tych samym miejscach „ciemne i brudne", co czasy nam współczesne. Trudno sobie wyobrazić, że Piotr Abelard odwiedza Heloizę z nieumytymi włosami, co dzisiaj, w sferach naukowych,

literackich czy kręgach hipsterów można przecież często zobaczyć.

Dlaczego w epoce renesansu, kiedy męska Europa chodzi przyodziana w sajan (kaftan sięgający pasa, ma szerokie rękawy i krótką spódniczkę), dworski Polak zaczyna preferować żupany? Indywidualista czy buntownik? Jak wiek później szlachecki kontusz (przewiązany słuckim pasem kontuszowym), żupan przywędrował ze Wschodu – tak silne są tamtejsze wpływy. Szlachcic przewiąże go jedwabnym pasem, dopnie rapcie i zawiesi na nich karabelę, która służyć mu będzie dwa następne wieki.

Kiedy końca dobiegają tureckie i szwedzkie wojny, przychodzi czas na odnowienie męskiej mody. A jest bardziej ozdobna niż kobieca, nadając mężczyznom wygląd wręcz niewieści: spodnie z sukna karmazynowego, kołnierz podniesiony w górę, żupan z barwnego brokatu, aksamitu lub jedwabiu, na to bogato zdobiny kontusz i szuba podbita futrem z wilków czy niedźwiedzi (także bobrowym lub sobolim). Męskie brody są długie, gdy włosy są krótkie, i odwrotnie. Kobiece odzienie barokowe wzoruje się głównie na konwencji ubioru męskiego.

PAP

Grażyna Hase

Marcin Różyc twierdzi, że „PRL to jeden z najbardziej stylowych momentów w historii polskiej kultury wizualnej. Powinniśmy go zacząć doceniać i rzetelnie badać".

Buntują się przeciwko takich preferencjom kobiety epoki oświecenia. Stawiają na wdzięk, delikatność i mleczną cerę. Na pantalony nakładają rogówkę, inaczej panier, czyli suknię umocowaną na stelażu z połączonych taśmami szerokich obręczy, a powstały z przodu klin bogato zdobią koronkami, falbankami, plisami. Na kobiece wielopiętrowe peruki mężczyźni szybko odpowiadają peruczką w warkoczem z tyłu, tak zwanym harcapem, przewiązanym kokardą. Przeciwko czemu można się buntować kokardą, rzucaną raz na lewe, raz na prawe ramię, w takt muzyki i kręcenia głową za tańczącymi paniami, na twarzach których przyklejona jest kropeczka, sekretny znak: w kącikach ust oznacza rozkochanie, na nosie – śmiałość, a na policzku – przychylność...

Zaraz jednak męską uwagę odwracają od kokieteryjnych kropek poważne listy. Ich autorem jest młody Werter, a jego ulubionym strojem frak. Frak dominuje w męskim ubiorze w epoce preromantyzmu i romantyzmu – w jego kieszonce świetnie mieści się zegarek. Gdy głowę przyozdabia cylinder, a w rękach są rękawiczki i laseczka, można podziwiać nowe, niekrępujące już ciała stroje pań. Nienaturalne są jednak turbany, które sugeruje kobietom „Giaur" George'a Byrona. Czytają otwierającą utwór żarliwą inwokację do Grecji, która w tamtym czasie podejmuje pierwsze walki z turecką okupacją, i uznają, że symbolicznie wesprą Greczynki (mimo że Leila, bohaterka powieści jest Gruzinką) i filhellenizm, a pośrednio nawiążą do stroju antycznej Greczynki...

2

Po upadku powstania styczniowego (październik 1864) cały czas obowiązuje ogłoszona trzy lata wcześniej przez władze kościelne powszechna żałoba narodowa (w 30-lecie upadku powstania listopadowego). Mężczyźni noszą pełną żałobę, cały ubiór w kolorze czarnym, za wyjątkiem koszul, kobiety zapominają o kolorze, toleruje się jedynie białe mankiety i kołnierzyki. Ich włosy są zaplecione w warkocze lub ułożone na karku w węzeł. Nawet dzieci i ich lalki ubierane są na czarno. Jednak już pod koniec wieku trend ulega zmianie, choć Bolesław Prus, przekonany, że moda łączy się nie tyle z kwestią stroju, co postawą wobec świata, narzeka, że „na świecie jest coraz mniej dobrych subiektów i rozumnych polityków, bo wszyscy stosują się do mody" („Lalka", 1890).

Za chwilę Prus zobaczy młodopolskie peleryny, spod których wyglądają już naturalizm, impresjonizm, ekspresjonizm, symbolizm. Te kierunki artystyczne na nowo definiują kobiece i męskie ubiory. Rozpoczyna się wiek XX, w którym moda, do tej pory zmieniająca się epokami, nabiera niespotykanego w dziejach tempa.

Najpierw pierwsza wojna światowa zmienia pojęcia, bo kobiety muszą zastąpić mężczyzn w opuszczonych przez nich miejscach pracy: moda stać się musi funkcjonalna. Największa zmiana: pierwsze damskie spodnie, a właściwie akceptacja dla nich. Skraca się też spódnice. Suknie stają się proste, aż tak, że można je szyć w domu! Zaraz potem rozpoczynają się szalone, taneczne lata dwudzieste (tango, samba, fokstrot, charleston), więc suknie

muszą być wygodne. W kąt idą też długie loki, warkocze, koki – strzyżenie na „chłopczycę" jest obowiązkowe. W latach trzydziestych, mimo światowego kryzysu, tak samo ubierają się niewykwalifikowani robotnicy (i tańczą w salach tanecznych), jak i arystokraci (tańczą w salach balowych). Kobietom przed II wojną światową zdążono jeszcze zaszczepić miłość do fałdek, co czyni sylwetkę bardziej miękką. Wszyscy są zadowoleni, nikt się nie buntuje. Przez trzy pierwsze dekady XX wieku doszczętnie się zapomina, że jeszcze niedawno tę samą suknię, bez nazywania jej niemodną, mogły nosić najpierw prababka, potem babka, matka i wreszcie córka...

3 Europa po II wojnie światowej budzi się w dwóch wykrojach.

Pierwszy tworzy dla Zachodniej Dior, to linia New Look, co oznacza fantazję, lekkość i rozpasanie po oszczędnych latach wojennych. Pod dopasowanym żakietem, podkreślającym talię, rozkloszowana spódnica (czasem to 10 metrów materiału na jedną spódnicę), a na głowie kapelusz z rondem o średnicy metra. Przy okazji kobiety przypominają sobie z geometrii, czym jest trapez. Coco Chanel wprowadza tak zwaną małą czarną, czyli element garderoby, który powinien się znaleźć w szafie każdej kobiety – przy zmianie dodatków z sukienki na co dzień (sięgającej za kolano) powstaje wersja wieczorowa. LBD (*little black dress*) staje się przy okazji symbolem ruchu emancypacyjnego. Do powszechnego użytku wchodzi także zwykły wojskowy podkoszulek, czyli T-shirt. Młodzi mężczyźni zakładają długie marynarki, cienkie krawaty i wskakują w wąskie spodnie, tak zwane rury.

Drugi wykrój kobiecie i mężczyźnie w Europie Środkowej proponuje ubiór do prowadzenie traktora, dojenia krów, pracy w fabryce, murarce – i zunifikowany na ulicę. Jest sprawdzony, od 30 lat wdrażany w Związku Radzieckim, przywieziony z ideologią komunistyczną, zwycięża we wszystkich krajach tak zwanej demokracji ludowej. Ponieważ wszystko jest planowane, tak ważnej dla mas ludowych dziedziny jak moda nie można zostawić poszczególnym jednostkom, bo nawet moda jest częścią planowanego rozwoju społeczeństwa. Władza podkreśla istnienie podziału klasowego, który rzutuje na to, jak wyglądają na przykład Polacy. Na przywiezione propozycje składają się: szerokie męskie spodnie, waciaki, czapki „leninówki", chustki na głowę, fartuchy robocze, wykonane z dzianiny suknie, sukienki, sweterki, płaszcze i podomki (bo charakteryzują się dużą elastycznością, rozciągliwością we wszystkich kierunkach, przewiewnością i małą stabilnością wymiarów). Wszystko to w kolorach, najlepiej, „stonowanych". Dobrze jest umieć robić na drutach, bo zrobioną w ten sposób wełnianą kamizelkę zawsze można spruć, uprać nić, i wykorzystać do zrobienia szala. W ogóle samowystarczalność jest polecana, wtedy nawet buty nie są problemem: „Przygotowaną podeszwę ze słomy (żytniej), podbijamy przed przyszyciem taśmy, gumą, długimi gwoździami, zaginając od góry wystające końce. Do wewnątrz pantofelka wkładamy grubą wkładkę, aby słoma i gwoździe nie gniotły".

4 W Polsce te propozycje i ten styl napotykają na opór.

Polki nie założą waciaka, odrzucają estetykę kołchoźnicy i chłoporobotnika (dla męża), i nawet gdy widzą puste półki sklepowe czy męczy je niedobór materiałów, nie zgadzają się na modę pełną szarości i bylejakości. Przeciwnie, każda z nich ma znajomą na bazarze, która handluje „ciuchami", dobre dusze albo rodzinę na Zachodzie (w ostateczności takim łączem dysponuje koleżanka), dbające o uzupełnienie szafy potencjalnej nosicielki walonek. W latach 50. sytuacja jest szczególnie trudna, każda paczka z „ciuchami" jest przecież wysłana przez klasowego wroga.

„Zdarza się, że moda wchodzi w relacje z polityką – mówi socjolog Mirosław Pęczak. – Kiedy obywatele nie zgadzają się z władzą i poprzez jakąś realizację wzoru mody, manifestują. Wtedy mamy do czynienia z buntem. Nie ma on charakteru estetycznego, jest polityczny". Pierwszym objawem buntu w PRL są bikiniarze: noszą „amerykańskie" marynarki w kratkę w za dużym rozmiarze, beret lub czapkę

PAP

Das polnische Supermodel Anja Rubik / *polska supermodelka Anja Rubik*

wypchane gazetą, bardzo dbają o fryzury (tak zwany kaczy kuper). Pisarz Janusz Głowacki wspomina z uśmiechem, że miał wtedy skórzaną kurtkę z wojny w Korei z naszywką „Sgt. Henderson Jr.". I dodaje poważnie, że na przykład po Marcu '68, kryzysie politycznym zapoczątkowanym demonstracjami studenckimi, z szacunku dla studentów pożądanym atrybutem na głowie była studencka czapka.

Z porad klasowego wroga, czyhającego także w kolekcjach słynnych projektantów, pełną garścią, wzmocniona wiarą w „posłannictwo inteligentów, w patriotyzm polegający na tym, żeby robić dla kraju, co tylko możemy", czerpie Barbara Hoff. Wierzy też, że wszyscy nie dadzą się „oderwać od kultury europejskiej, od naszych korzeni". Do krajowych realiów dostosowuje zachodnie trendy, przetwarza je, a zainspirowana, rusza do ataku: nakazuje Polkom eksperymenty, ekstrawagancję, zmusza do odwagi. Zaczyna od pepegów (od PPG, przedwojennej spółki akcyjnej Polski Przemysł Gumowy; inaczej: tenisówki), w których każe wyciąć część ze sznurowadłami, a buty zafarbować tuszem, tworząc krajowy wariant czarnych balerin. Wprowadza (razem z Janiną Ipohorską) m.in. takie nazwy jak wdzianko, lejba czy kufajka. W tygodniku „Przekrój" prowadzi dział mody (od 1954), robi to przez 48 lat. Kolejnym krokiem (w latach 70.) jest więc Hoffland (marka zastrzeżona). Firma, nazwa, ale przede wszystkim projekty, uszyte kolekcje, sklepy i dantejskie sceny przed nimi, są do dziś legendą. Hoff uważa, że „modnie ubrani ludzie w PRL byli prześladowani i przez władzę, i przez partię komunistyczną". Gorzko dorzuca, że elegantów lubiła zaczepić milicja, a zdarzało się szturchanie i wyzywanie przez szarych obywateli, których przecież nikt do tego nie zmuszał. I że nie było wyjątkiem za modny strój wylecieć z uczelni.

À propos elegancji: w latach 60. zbuntowana Polka swój powab podkreśla przede wszystkim szpilkami, co jej biodrom nadaje wyjątkowej gracji, oraz zgrabnym przekładaniem papierosa z jednej do drugiej ręki. Papieros przydaje się szczególnie, gdy na ulicach wybrukowanych kocimi głowami łamie się i gubi obcasy.

Barbara Hoff pracuje w opozycji do oficjalnego koncernu PRL pod nazwą Moda Polska, którego sklepy lansują, jak dziś mówi, „styl nowego socjalistycznego mieszczanina, pogodzonego z ustrojem, zadowolonego, sytego". Oficjalnie przedsiębiorstwo ma za zadanie promować w państwowym przemyśle odzieżowym aktualne kierunki mody światowej. Jerzy Antkowiak, wybitny polski projektant, długoletni pracownik Mody Polskiej (od 1961), z dużym dystansem i poczuciem humoru opowiada o tamtych latach („Pod koniec sezonu była przecena, do której ustawiały się żony ministrów...", „W najlepszym okresie mieliśmy 60 salonów, a nasza wytrzymałość produkcyjna była na 15–20, dlatego zatrudnialiśmy 'chałupników'"), ale trudno Hoff nie przyznać racji. Co nie umniejsza osiągnięć Mistrza w kreowaniu wysublimowanego gustu Polek, którego „odkrywa" zasłużona dla Mody Polskiej, jej długoletnia dyrektorka, przedwojenna dama, Jadwiga Grabowska.

W tych latach pojawi się jeszcze trzecia ważna postać polskiego wzornictwa, Grażyna Hase, której debiut odnotuje nawet brytyjski „Sunday Times", gdy na własnym pokazie w 1967 roku wystąpi w stroju à la Lenin („Od razu dostałam propozycję kolejnych pokazów, w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej"). Hase jest do dziś aktywną projektantką, prowadzi w Warszawie własną galerię.

Propozycje Antkowiaka, Hase i Hoff to jednak w dużej mierze postulaty. Codzienność peerelowskiej mody to są (od poniedziałku do soboty, od lat 70. do piątku) szkolne mundurki, granatowe, najpierw bawełniane, potem stilonowe, z odczepianym białym kołnierzykiem, to estetyczny worek na kapcie do szkoły, przyczepiony do tornistra, a w niedzielę żółta żorżetowa sukieneczka. To matka w kremplinowej garsonce w kolorze śliwki, wymiennie z ojcem w garniturze o barwie wiśni. I wszyscy marzący o enerdowskich butach. (Na marginesie: w NRD ukazuje się pismo „Sybille", stale co prawda podlegające inwigilacji Komitetu Centralnego, ale propagujące świat całkowicie odległy od socjalistycznej monotonii).

W latach 80., na chwilę przed erupcją pomysłów Katherine Hammnett, nadrukowującej na T-shirtach slogany nawołujące do pokoju na świecie czy ochrony środowiska, Polacy masowo protestują przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Wykręcają ze starych radioodbiorników małe oporniki, by zamiast zakazanych znaczków Solidarności, nosić je w klapie. Najprawdopodobniej takim opornikiem irytuje zomowców w Poznaniu 19-letni Piotr Majchrzak, którego śmiertelnie biją. (W 2006 roku na żart zakrawa propozycja dolnośląskich działaczy SLD, by na znak protestu przeciwko IV RP nosić znane wszystkim oporniki).

Rodzi się także punk, który, międzynarodowy, ma jednak różne krajowe oblicza.

A potem, w 1989 roku, wszystko to z dnia na dzień staje się retro.

5

Obraz mody w PRL byłby jednak jednostronny, gdyby nie wspomnieć, co zawsze przypomina Marcin Różyc, redaktor naczelny magazynu „AFF", najbardziej obecnie szanowany komentator krajowego (i nie tylko) świata mody, o nieodkrytych, ale też zapomnianych skarbach tamtej epoki. Stanowią je zbiory fotografów Aleksandra Błońskiego, Krzysztofa Gierałtowskiego, Wojciecha Plewińskiego, Tadeusza Rolkego. Stanowią je roczniki „Przekroju" Mariana Eilego i magazynu „Ty i Ja" Teresy Kuczyńskiej. I dostępne dziś w każdej chwili filmy, na przykład Janusza Morgensterna z lat 60. („Do widzenia, do jutra", „Jutro premiera", „Dwa żebra Adama", „Życie raz jeszcze", „Jowita"). Marcin Różyc twierdzi, że „PRL to jeden z najbardziej stylowych momentów w historii polskiej kultury wizualnej. Powinniśmy go zacząć doceniać i rzetelnie badać".

Europa Środkowa doszła już do siebie. Polegało to przede wszystkim na bezkolizyjnym wejściu na te rynki zbytu wszystkich firm odzieżowych i koncernów modowych. Może nabiera sił przed buntem? Na razie Europa Środkowa eksportuje na Zachód wyłącznie modelki.

Europa Środkowa doszła już do siebie. Polegało to przede wszystkim na bezkolizyjnym wejściu na te rynki zbytu wszystkich firm odzieżowych i koncernów modowych. Może nabiera sił przed buntem? Na razie Europa Środkowa eksportuje na Zachód wyłącznie modelki.

Dziś, w czasach ponowoczesnych, kiedy wszystko jest neo-, trans-, post-, i meta-, może to w tamtych latach, także w tamtejszym świecie mody i jej obyczajowości, szukać trzeba twórczych inspiracji, ale też możliwości buntu. I rzetelnie badać. Bo jak twierdzi Jerzy Pilch, „moda podobnie jak głupota też jest darem Boga – tyle że mniejszym".

Maria Janiszewska
dziennikarka, mieszka w Łodzi.

Agencja Gazeta

Marcin **Kołodziejczyk**

Mission à la Hoff

Dies ist eine Geschichte von einer jungen Frau aus einem wohlsituierten Hause, die die Modewelt eher durch einen Zufall revolutionierte. Alles nahm seinen Lauf in einem Café, unmittelbar vor der Aufnahmeprüfung an der Hochschule für Filmregie.

Barbara Hoff (ein rechtlich geschützter Name) stand 35 Jahre lang im sozialistischen und 18 Jahre lang im demokratischen Polen an der Spitze einer beinahe zivilisatorischen Missionsbewegung: Sie gab vor, was die Leute zu tragen hatten, damit sie in ihrem Erscheinungsbild weder einem Kolchosbauer noch einem kitschig eleganten Währungsspekulant gleichkamen.

Familiennester

Beim Spaziergang wagte Basia einmal einen Blick aus ihrem Kinderwagen und schaute sich kurz in Kattowitz um. Das reichte ihr, um sogleich von hier wegzuwollen. So behauptet sie es jedenfalls heute. Es war dunkel, scheusslich, die Luft voller wintziger Rußfetzen – nichts wie weg von hier. Kattowitz der Vorkriegszeit galt zwar als eine reiche Stadt voller Glanz, doch es war eher ein Scheinglanz. Wenige Schritte weiter weg vom Zentrum prägten schon ziegelrote Mehrfamilienhäuser für Arbeiter das Stadtbild und es ging hier echt armselig zu – so zumindest erzählte es Papa. Barbara Hoff konnte Kattowitz nicht leiden, war stets auf der Flucht von hier. Aber sie kam immer wieder zurück, denn es war doch ihr Zuhause.

Papa lernte Mama an einer Ruderanlegestelle kennen, die dem studentischen Sportverband in Krakau gehörte. Drei Tage später waren sie sich einig, dass sie nach dem Abitur heiraten. Sie hielten ihr Wort. Er, Herr Hoff, pendelte täglich nach Krakau zum Studium. Später gründete er in Kattowitz eine Anwaltskanzlei, stellte eine Bürokraft und einen Boten an. Frau Hoff führte Haushalt und ließ sich dabei von Hausboten aushelfen. Sie mochte es über alle Maße, an Kreuzworträtseln, die sie in den Zeitungen fand, herumzugrübeln. Selbst komplizierte matematische Berechnungen konnte sie ohne kleinste Gedächtnisstütze meistern, sie war auch eine begabte Brigdespielerin. Ihre Mutter, Großmutter Sikorska, Ehegattin eines Richters aus Sosnowiec, entstieg dem Zug in Zakopane, wohlgekleidet und in einem Hut mit Federn; dabei sah sie auf die vielen Kurgäste herab, die sie neugierig musterten. Großmutter Hoff erhielt in Wien, wo sie damals wohnte, einen Preis für die zuverlässigste Stammkundin, den ein Wiener Modehaus vergab. Und die Großmutter Sikorska nähte für Basias Puppe wintzige, altmodische Kleider.

In Basias Anwesenheit unterhielten sich die Eltern über Themen, die eigentlich nur Erwachsene etwas angingen – am Mittagstisch wurde es gelegentlich auch politisch, denn der Papa mochte keine Sanacja-Anhänger, später konnte er auch keine Kommunisten leiden. Man tauschte sich aber auch fachmännisch über Filme aus, denn die Eltern unterließen es nicht, sich jeden neuen Film anzuschauen. Man diskutierte über die Handlung und pfiff die Melodie populärer Filmlieder vergnügt vor sich hin. Manchmal musste Papa der Mutti ihre fixe Idee ausreden, bei polnischen Bridgemeisterschaften teilzunehmen. Einfach aus Angst, dass er sie dann verlieren würde. Bekannte dagegen

flüsterten ihr zu: „Janka, du musst hin, du bist die geborene Meisterin aus Kattowitz.“ Basia pflegte zu sagen, ihre Mutti würde es im Wilden Westen bis zu einem gewieften Falschspieler bringen. Aber zuletzt ließ sich Mutti von ihren Ideen immer wieder abbringen. Basias Eltern waren zeitlebens in sich verliebt und übten abends in ihrem Salon Tanzschritte, die gerade „in“ waren. So war es vor dem Krieg und so blieb es nach dem Krieg.

Die jungen Hoffs gaben ihre Kleider an eine renomierte Krakauer Schneiderei von Herrn Dyczek in Auftrag. Mehrere Jahrzehnte später sollte der alte Herr Dyczek Barbara Hoff gebeichtet haben, er habe vor ihr Angst gehabt, als sie noch Kind gewesen sei. Sie setzte sich, machte ein verdrießliches Gesicht und schwieg, während er von den Eltern Maß nahm. Dabei beäugte sie argwöhnisch jede seiner Bewegungen und setzte einen kindfremden Gesichtsausdruck auf.

Freundinnen

Zeit ist hier überhaupt kein Gesprächsthema, keiner weiß so recht, wann Barbara Hoff geboren wurde. Selbst im Internet wird man nicht fündig, denn die Betroffene gibt keine privaten Informationen frei. Man scherzt, eine in die Jahre gekommene Modedesignerin ist nicht gerade das, wofür die Jugend schwärmt. Aber vor einigen Tagen meldeten sich bei Frau Hoff junge Mädchen und wollten sie für eine Veranstaltung gewinnen. Sie sollte etwas über Umzüge anlässlich des Frauentages berichten, wie sie in der Volksrepublik Polen üblich gewesen sein sollen. Es habe keine Umzüge gegeben, stellte sie in einem ruhigen Ton klar. Hoff ist eine vorzügliche, einfühlsame Gesprächspartnerin per Telefon. Selbst ein Fotograf, der für einen Zeitungsbericht von ihr ein paar Bilder haben wollte und dem sie eine Absage erteilte, war entzückt – sie unterhielten sich eine Stunde lang. Die Mädchen, die etwas von den Umzügen wissen wollten, versprachen, der Frage auf den Grund zu gehen und sich nochmals zu melden.

Doch wenn es um Rysia geht, verlief nicht alles so glatt. Sie trafen sich das letzte Mal vor gut 66 Jahren. Rysia schickte ihrer Freundin aus der Kindheit einen Brief. Sie lebe wohlauf, es sei alles in bester Ordnung, sie wohne in Posen und arbeite als Psychiaterin, hieß es darin.

Beide wohnten sie im gleichen Bürgerhaus in Krakau und besuchten die gleiche Schule. Herr Hoff schmiss die Sache mit der Volksliste, deshalb mussten sie ins besetzte Krakau ziehen. Anfangs wohnte Basia mit ihrem Hund bei einer Tante, Mutti konnte bei einer Freundin unterkommen, Papa bei einem Kumpel und die Möbel fanden Unterschlupf in irgendeiner Scheune. Papa fand dann eine Wohnung, doch schon bald nahmen die Deutschen das gesamte Stadtviertel ein und ließen die Polen wieder umsiedeln. Die Hoffs wurden in ein Haus nahe dem Ghetto einquartiert. Es kam vor, dass es lediglich Kraut mit Kartoffeln zu essen gab, aber es fehlte niemals an einer Hausdienerin. Alles nach Krakauer Art, wenn man so will. Im gleichen Haus wohnten ein paar jüdische Familien, man half ihnen, keiner hat sie verpfiffen. Die Söhne einer Nachbarin waren im Untergrund tätig und so kleideten sie sich auch: Jodhpurhose, Reitstiefel, Sakkos. Die Mode kennt keine Friedens- und keine Kriegszeiten.

Im Haus ging es grausam zu, als die Deutschen das Ghetto liquidierten, es war ihr schlimmstes Kriegserlebnis. Die Menschen schrien, weinten, man sah sie nicht, aber die Phantasie des Kindes arbeitete auf Hochtouren. Manchmal steigen diese Bilder unerwartet wie von selbst auf. Sogar Gegenstände aus der Vergangenheit tauchen dann vor eigenen Augen auf. Neulich hängten Barbara Hoff und ihr Mann Hochzeitsbilder der Großeltern Sikorski zu Hause auf. Ein wandernder Portraitmaler hat sie einmal nach alten Bildern gezeichnet, aber den Großeltern haben sie nie gefallen. Immer standen sie jemand im Wege, lagen verachtet und vergessen in der Rumpelkammer, aber keiner fand soviel Kraft, um sie wegzuwerfen. Während der deutschen Besatzung zog man von einer Wohnung in die andere um, sieben Mal, alles ging irgendwann verloren außer diesen Bildern. Ähnlich ist es nun mit Rysia, sie schreibt aus einer verlorenen Zeit. Es ist wunderbar, einen solchen Brief zu bekommen.

Ansätze einer Normalität

Nach dem Krieg, wieder in Kattowitz, erzählte Herr Hoff von seiner Arbeit in der Kanzlei. Über einem Suppenteller gebeugt, ließ er sich über die Praktiken der Bolschewisten aus. Er beschäftigte sich mit zivilrechtlichen Fragen, aber er wusste sehr wohl, dass die neuen Machthaber die Finger der Verhörten in den Schubladen einklemmten. Fingenägel wurden weggerissen, Menschen gewaltsam auf Schemelbeine gesetzt. Herr Hoff berichtete darüber offen, ohne auf das Kind zu achten. Er war der Meinung, man müsse trotz der Kommunisten normal leben. Bei den Hoffs stand eine Ausreise aus Polen niemals zur Debatte.

Es ging immer noch relativ normal zu. Papa kaufte einen alten DKW und wurde zu einem selbstvergessenen Automobilfahrer. Gemeinsam mit der Mutti besuchte er abends Krakauer Theater. Sie kamen dann nachts an, nach der Vorführung, eine Strecke von 83 Kilometern zurückgelegt. Man brauchte zwar einen Passierschein, aber Herr Hoff kannte sich in Feldwegen aus. Die Eltern tanzten im Salon wieder ihren Jive-Tanz, die eingeübten Tanschritte konnten sie dann auf Dancings vorführen. Sie besuchten *five o'clock-Events* und sangen Filmmelodien vor sich hin. In den Sommerferien weilte damals die Intelligenz der Vorkriegszeit, darunter Künstler und Selbständige, in den Kurorten. Man feierte gemeinsam. Papa lieferte

Barbara Hoff • *wurde in Katowice/Kattowitz geboren. Sie ist die herausragendste Modedesignerin Polens. Hoff absolvierte Kunstgeschichte an der Jagiellonen-Universität Krakau und war bereits als Studentin Mitarbeiterin des Wochenmagazins „Przekrój“, wo sie in den Jahren 1954–2002 die Rubrik „Mode“ leitete. Die Modeschöpferin entwarf ebenfalls Kostüme für Filmproduktionen (Andrzej Wajdas „Rollkuchen“ und „Das Spiel“ von Jerzy Kawalerowicz, die beide 1968 in die Kinos kamen) und schrieb für die Satire-Wochenzeitschrift „Szpilki“. In den 1970er Jahren begann sie Mode für die Massenproduktion zu entwerfen und gründete die Firma „Hoffland“ – das einzige Unternehmen dieser Art in Mittelosteuropa, dessen Name aus dem Namen der Designerin bestand. Die Firma arbeitete u. a. eng mit der staatlichen Ladenkette Warenhaus „Centrum“ zusammen. Barbara Hoff entwarf ihre Kollektionen in den ersten 13 Jahren umsonst und lebte von ihrem Gehalt als Journalistin beim „Przekrój“. Erst später erhielt sie eine halbe Stelle im Warenhaus „Centrum“. Ihre Entwürfe erfreuten sich unter Polinnen großer Beliebtheit. Barbara Hoff gilt als Autorin der gewonnenen Revolution, deren Ziel ein Sieg über die vom Kommunismus aufoktroyierte stillose Mode war.*

Agencja Gazeta

Sakkos an Herrn Dyczek, um sie nach den neusten Trends designen zu lassen.

Barbara kam in eine Gymnasialklasse, in die nur begabte Schülerinnen Eingang fanden. Alle wollten studieren und schafften es. Sie betrachteten sich als schulische Bohème und schwebten deswegen im Begeisterungstaumel. Während der großen Pause durften sie in der Klasse bleiben, rauchten und fluchten wie ein Bierkutscher. Sie diskutierten dabei über Literatur und Theater. Wenn eine mal an der Tafel Rede und Antwort stehen musste, richtete sie ihren Blick auf einen Schrank, wo ein Porträt von Tadeusz Łomnicki versteckt lag, als ob von dort die rettende Eingebung kommen sollte. Der Angebetete ließ sie selten im Stich. Aber im Grunde wussten sie sich selber zu helfen, weil sie fleißig waren. Diese sorgfältig zusammengestellte Klasse sollte sich später für Barbara Hoff als ein fruchtbarer Nährboden erweisen.

Doch zunächst studierte sie Jura, ganz wie ihr Papa es zuvor getan hatte. Wenn einer aus Kattowitz kommt, gehört es sich einfach, Medizin, Pharmazie, Bergbauwesen oder Jura zu studieren. Wenn man aus Kattowitz flüchtet und an die Universität nach Krakau geht, weiß man gar nicht, dass es auch andere Studiengänge gibt. Dafür, dass Barbaras Papa Anwalt war und sie lediglich eine „unerwünschte“ soziale Herkunft vorweisen konnte, wurde sie von der Juristischen Fakultät in Krakau ordentlich gemaßregelt. Bei den Aufnahmeprüfungen erhielt jeder Kandidat in der Regel drei Fragen, die junge Hoff musste aber 27 Fragen beantworten. Sie tat es, aber es half nichts, sie scheiterte bei der Prüfung. Ihr Vater konnte sich nicht darüber hinwegsetzen, dass die Alma Mater seine Tochter so ungerecht behandelt hatte. Schließlich ließ man sie doch studieren, nachdem einer der Professoren sich beim Ministerium beschwert hatte. Doch Barbaras Interesse für Jura war zu diesem Zeitpunkt bereits erloschen. Sie entdeckte gerade Kunstge-

Agencja Gazeta

schichte für sich. Sie ließ es sich nur noch nicht nehmen, es an der Juristischen Fakultät so richtig knallen zu lassen. Sie schloss die mehrere Meter hohe Tür dicht vor der Nase des Kollegen Kogutek, Vorsitzenden des Verbandes Sozialistischer Jugend, der sich als ein mieser Typ erwiesen hatte. Nach vielen Jahren ersuchte Kogutek als Direktor von Vistula, einer bekannten, aber heruntergekommenen Kleiderfabrik, Barbara Hoff um Hilfe. Sie war bereits zur bedeutendsten Modedesignerin in Polen geworden. Das Gespäch leitete er selbst ein: Liebe Kollegin, wir kennen uns doch.

Café und Kunst

Jerzy Antkowiak, ein großer Modedesigner, ruft an. „Basia, ich liebe dich“ sagt er. Sie kennen sich seit Jahren. Auch die jungen Mädchen melden sich wieder und geben zu, es habe in der Volksrepublik Polen tatsächlich keine Frauentag-Umzüge gegeben. Aber die Einladung zu einer Veranstaltung gelte immer noch. Barbara Hoff scherzt, sie lebe auf, sobald ein Mikrophon in Sicht sei. Selbst die schlimmsten Tage würden sie nicht daran hindern, vor dem Mikrophon sinnvoll zu reden. Vor einem Jahr berichtete sie gemeinsam mit den polnischen Jazz-Klassikern über die Jazz-Kultur im kommunistischen Polen. Sie sprachen über das Café in der Straße des Heiligen Markus in Krakau, wo sich Jazz-Begeisterte regelmäßig trafen, über das unterirdisch anmutende Musikmilieu, das Festival in Zopott, über das synkopische Gehör, das man der volksrepublikanischen Gesellschaft einzutrichten versuchte, die sowieso schon an schnelle Walzer und Massenlieder gewöhnt war. Der Saal war voll, es wurde geklatscht. Aber sie höre den heutigen Jazz nicht mehr, weil er sie langweile. Nur Radio im Auto gehe noch, oder

manch merkwürdige Klänge. Etwa die Pygmäen-Chöre.

Am ersten Tag ihres Studiums in Krakau kannte sie noch keinen. Am zweiten Tag lernte sie Halszka Banachowa kennen. Diese Muse der Künstler nahm Basia zum Café Warszawianka mit, wo alle vorbeischauten. In den Cafés verbrachte man so seine Zeit. Es kamen Berühmtheiten und Anwärter künstlerischer Berufe, sie alle kamen miteinander ins Gespräch, auch mit Barbara Hoff. Sie berichtete etwa von einem fantastischen Theater in Kattowitz. Holoubek leite es, erklärte sie, und spiele auch selbst – das solle man sich unbedingt anschauen. Die gutbürgerlichen Krakauer lehnten sich darauf selbstzufrieden zurück, schnalzten mit der Zunge und schüttelten die Köpfe. Was, nach Kattowitz fahren? Das ließ Barbara immer Blut zu Kopf steigen, denn in solchen Momenten verspürte sie einen lokalen Patriotismus, der ihr eigentlich fremd war. Sie legte sich für Holoubek ins Zeug, empfahl ihn sogar dem Regisseur Wojciech J. Has als Hauptdarsteller in „Die Schlinge" nach der Erzählung von Marek Hłasko. Aber auch Has schnalzte mit der Zunge, denn was sollte es in Kattowitz noch geben außer Kohle? Barbara ließ nicht locker und führte Gustaw Holoubek ihren Bekannten vor. Bald war in den Krakauer Cafés von einem großen Schauspieler die Rede. Er bekam seine Rolle in „Die Schlinge".

Wo war es? In Krakau oder doch in Jastarnia? Das Gedächtnis kann sie nicht mehr darüber aufklären. Fest steht nur, dass Marian Eile, Chefredakteur der Wochenzeitschrift „Przekrój", einmal in einem Café auf sie zukam. Allgemeines Gespräch, wie üblich – auch über die Mode: Barbara Hoff meinte, das System in Polen habe den Menschen den Modegeschmack versaut und ihnen stattdessen eine Arbeiterkleidung verpasst, die düstere Gesichter umso deutlicher hervortreten lasse. Eile war der gleichen Meinung. Hoff antwortete darauf, sie hätte vielleicht ein paar Ideen. Was, wenn „Przekrój" ein paar Bilder drucken könnte, damit Leute was sehen? Darauf er: „Dann los, zeichne was." Sie: „Ich könnte nicht einmal eine Kuh fertigbringen." Er: „Ich will keine Kuh, zeichne einfach Mode." Das erste Bild, das Barbara Hoff für „Przekrój" anfertigte, entstand am kleinen Cafétisch. Die Revolution Nr. 1 erfasst die Schuhe: Aus Turnschuhen, die im Handel verfügbar sind, sollten Lasche und Schnürsenkel herausgeschnitten, danach an die freigewordene Stelle eine Borte eingenähnt und am Ende mit einer Tusche eingefärbt werden. Die so gestylten Turnschuhe erinnerten an Tanzschuhe einer Pariser Ballerina. „Przekrój" druckte die Bilder, die Leute gaben den Schuhen den spezifischen Kosenamen „trumniaki" (poln. *trumna* – Sarg, A. d. Ü.) und waren verrückt danach. Man schrieb das Jahr 1954, alle schmachteten nach Mode.

Und so nahm alles seinen Lauf. Barbara Hoff arbeitete damals als Verkäuferin bei der DESA in Kattowitz, einem staatlichen Unternehmen, das mit Kunstwerken handelte und sich dabei von einer eigenen Absatztheorie leiten ließ. Danach sollte jeder, der vorbeikommt und eigentlich nur nach der Uhrzeit fragen will, etwas Kleines und Preiswertes davontragen. Auf der Suche nach einem kleinen Geschenk stößt man dann auf ein großes und schnappt zu. Es hat immer funktioniert. Als Barbara den Job schmeissen wollte, kam der DESA-Direktor persönlich zu ihr und bot eine Gehaltserhöhung an. Sie aber war schon mit Freunden zu einem Skiurlaub verabredet. Sie stattete immer mal eine Stippvisite ab, ging mit den Arbeitskolleginnen Wetten ein, sie könne selbst Unverkäufliches loswerden. Wie etwa diesen großen Ziegenbock aus Messing mitten im wilden Sprung. Der erstbeste Kunde kaufte ihn. Doch Barbara Hoff ließ sich nicht mehr überreden, beim Unternehmen zu bleiben. Einige Tage danach, als sie die Turnschuhe neu erfunden hatte, meldeten sich bei ihr drei Zeitungen und ein Rundfunk. Sie willigte ein, jeweils Mode-Ecken zu leiten. So ein wenig nebenher, denn sie war fest entschlossen, Filmregisseurin zu werden.

Mit Tyrmand

Seine Bekanntschaft mit Barbara Hoff machte Leopold Tyrmand auf eine ziemlich unglückliche Art. Irgendein Café, er selbst war schon für seinen Roman „Der Böse" bekannt, Barbara fiel ihm auf, er fragte aber „Przekrój"-Mitarbeiterin Janina Ipohorska: „Ist das diese Hoff? Alle behaupten, sie sei so schön, aber mir kommt sie wie eine Kuh vor." Beim zweiten Mal ging es etwas besser, wenn auch recht neutral zu. Sie begegneten sich 1956 in Zopott beim ersten Jazz-Festival. Hoffs Eltern, die gerade die Ostseeküste entlang reisten, hatten die beiden zusammen gesehen. Mama sprach zu Barbara: „Du gefällst ihm." „Ach was", entgegnete diese. Kurz danach gestand Leopold Barbara, er habe eine Liste der besten Frauen in Polen erstellt und sie stehe an ihrer Spitze. Er hatte sie zu einem Abendessen in Warschau eingeladen und während sie aßen, erzählte er, er könne sich nicht vorstellen, mit einer kranken Frau zusammenzusein. Das Pech wollte es, dass Barbara gerade unter schrecklichen Magenbeschwerden litt und kaum etwas zu sich nehmen konnte, aber der Schriftsteller bemerkte nichts. Als er später nach Kattowitz kam, um ihr einen Heiratsantrag zu machen, wurde er abgewiesen. Barbara Hoff war sich sicher, sie würde keine Ehefrau abgeben können, denn sie habe nicht vor, zu Hause sauber zu machen oder zu kochen. Tyrmand gab aber nicht nach und versprach, dies selber zu übernehmen. Das hat geholfen. Und er war es dann derjenige, der kochte.

Es war 1958. Beide waren schon berühmt, aber sie hatten kein Geld. Tyrmand scherzte: „Wir sehen aus wie ein Ehepaar, das wegen Geld geheiratet hat; du dachtest, ich hätte welches, ich dachte, du hättest es." Er hasste Parteigenossen und den Kommunismus. Als er mit einem Druckverbot belegt wurde, durfte er nicht einmal als Kellner arbeiten, in einem Beruf, den er im Krieg erlernt hatte. Ähnlich wie die Familie Hoff schien er die Volksrepublik nicht einmal wahrzunehmen. Barbara hatte ihre eigene Mission gegen das System: Mithilfe von Mode, die ja Elemente von Soziologie, Psychologie, Geschichte und Sexualität in sich trägt, wollte sie gegen die sozialistische Misere ankämpfen. Sie trat dem russischen Kolchosbauer im Aussehen und im Weltbild ihres Umfelds entgegen. Damals aber galt die moderne Mode als verpönt – Marian Eile, Chefredakteur des „Przekrój", musste für die imperialistisch anmutenden Abweichungen, wie sie Hoffs Mode-Ideen angeblich eigen waren, vor manch wichtigem Parteibonzen geradestehen. Später wurde die umstrittene Designerin selber für Erklärungen bemüht – so konnte etwa passieren, dass sie zu einer Versammlung der Direktoren von staatlichen Schubetrieben herbeigerufen wurde, um auf dem Präsidiumstisch einen von ihr lancierten Schuhtyp vorzufinden und sogleich die Frage zu hören: Was soll das sein? Tyrmand riet ihr zu, sich dem Schreiben zu widmen, denn, so sein Argument, sie habe das Zeug dafür. Aber zu Hause fühlte sie sich stets bespitzelt. Tyrmand geriet in Wut: „Bist du übergeschnappt? Welches Abhören?"

1962 wurde Herr Hoff, der Anwalt, von Staatssicherheitsbeamten abgeholt. Er ließ es geschehen, auch wenn sie ihm keinen Haftbefehl vorgezeigt hatten. Seine Ehefrau rief die Tochter an. Der Vater habe seit Langem gespürt, dass ihnen jeder Vorwand lieb war, um ihn dichtzumachen. Deshalb wurden seine Kunden verhört. Er sei mit ihnen gegangen, weil er die Sache

mit dem Staatsanwalt klären wollte. Drei Tage nach der Verhaftung kamen sie wieder und teilten mit, Herr Hoff habe sich am eigenen Hemd erhängt, das er zuvor in Streifen gerissen haben soll. Er war 56. Barbara Hoff fuhr mit Tyrmand nach Kattowitz. Er hat alle Behörden abgeklappert und überall darum gebeten, diesen Tod aufzuklären. Man mochte ihn für seinen Roman „Der Böse", deshalb beschwichtigte man ihn überall, man würde sich morgen etwas einfallen lassen. Doch daraus wurde nie etwas. Schließlich riet man Tyrmand zu, die ganze Sache zu vergessen – er sei doch so begabt, seine Frau so jung … Vor ein paar Jahren wandte sich Barbara Hoff an das Institut für Nationales Gedenken, eine Behörde zur Aufklärung kommunistischer Verbrechen, um Vaters Geheimunterlagen in Augenschein zu nehmen. Aber es fehlten jegliche Unterlagen zum Kattowitzer Vorfall von 1962. Im Barbaras Schrank hängt bis heute das Hemd des Anwalts Hoff. In unversehrtem Zustand.

Tyrmand reiste 1965 nach Amerika aus, in dieses mythische Land voller Jazzklänge. Seine Ehefrau unterstützte diese Idee. Heute sagt sie, ihr gemeinsamer Abschied hätte einer Filmszene aus einer amerikanischen Komödie geglichen. Sie kam gerade aus New York zurück, wusste sehr wohl, was dort alles getragen wird, und packte ihm die Koffer. Er beugte sich aufgeregt daüber und schleuderte die Sachen an die Decke – er fahre doch nur für zwei Monate weg! Er machte selbst einen Frucht-Likör, mit dem er seine Rückkehr feiern wollte. Seine amerikanischen Studenten klärte er über kommunistische Verbrechen auf, doch sie waren ganz Flamme für Guevara und Castro und schenkten ihm keinen Glauben. Er kam nicht mehr zurück, Barbara schickte ihm über Bekannte seine zurückgelassenen Sachen nach, die er damals aus dem Koffer wegschmiss. Ihre Scheidung ließen sie von Juristen regeln. Barbara Hoff heiratete den bildenden Künstler Robert Kulesza. Bei einer Renovierung der Wohnung stieß Herr Kulesza auf alte Abhörkabel. Sie steckten in der Wand.

Von Hoffland auf in die Freiheit

Was für eine nette Verkäuferin – lobten Kundinnen von Hoffland (geschützter Markenname), einem Geschäft im Warschauer Warenhaus, Barbara Hoff. Sie sah höchstpersönlich zu, dass ihre Kollektionen makellos arrangiert waren. Sie beriet Kunden, die keine Ahnung davon hatten, wer sie ist. Jeden Freitag konnte man ihr dabei zusehen, wie sie ihre Schaufensterpuppen selbst bekleidete. Die Änfänge von Hoffland reichen in die späten 1960er Jahre zurück. Damals besuchte Hoff gemeinsam mit dem Direktor des Warenhauses die Kleiderfabrik Cora im Warschauer Stadtviertel Praga. Sie kannte dort niemanden und brachte ganz einfach eigene Projekte mit. Die Verantwortlichen wollten nicht einmal etwas sehen, sondern scherzten: „Wenn Frau Basia dafür einsteht, nehmen wir alles, wie es kommt." Cora produzierte das gesamte Sortiment von 11.000 Kleidern, das Warenhaus stellte Frau Basia dafür eine ganze Etage bereit. Sie konnte es kaum fassen: „Wie konnten sie es wagen, sie kannten mich nicht einmal." Wie schon früher für den „Przekrój" posierten auch hier Schauspieler Pszoniak, Olbrychski, Karolak, Gruza. Tyrmand stellte seinen Ellenbogen, Mrożek sein Bein zur Verfügung – eine freundschaftliche Geste, kostenlos. Bei einer Premiereausstellung des Hofflands traten Grażyna Hase (Modedesignerin) und Gerard Wilk (Tänzer, Solist des Ballets am Großen Staatstheater) auf. Der Ansturm der Kunden begann noch vor der Eröffnung des Geschäftes. Die Leute drangen ins Innere ein, schmissen Fenster ein, nahmen Kleider von Puppen-Modellen an sich. Man musste rasch einen Milizeinsatz einfordern. Solche Aktionen waren damals sogar in Fleischgeschäften selten zu bestaunen. Die Redaktion des „Przekrój", die in einer Ausgabe einen Kupon zur Einlösung beim Kauf von Hoffs Kleidung drucken ließ, wurde mit Tausenden von Briefen überflutet, manche enthielten Geldscheine in polnischer, amerikanischer und russischer Währung. Gegen Mittag kam die Designerin Barbara Hoff ins Geschäft, um zu sehen, wie es läuft. Die Verkäuferinnen fielen im Hinterraum über sie her, machten ihr die Hölle heiß und ließen sie schwören, sie komme nie wieder auf die Idee, irgendein Kleidungsstück zu entwerfen.

Die zweite Kollektion zeichnete sich durch Spitzenelemente aus. Auch hier wurde alles auf Anhieb verkauft und so ging es weiter, Jahre lang. Die Spitzen wurden aus dem Beskidenort Istebna geliefert, was echtes Talent erforderte. Man fand heraus, dass der Förster von Istebna auf seine amerikanischen Fichten stolz war. Er freute sich, als die „Przekrój"-Journalistin Hoff bei ihm anrief und nach den Fichten fragte. Als sie ihn später besuchte, erzählte er von seinen Bäumen und zeigte auch eine Sammlung von Volksinstrumenten. Schließlich begab man sich, durch den knietiefen Schnee stapfend, in ein Haus der Spitzenklöpplerinnen, aber die Frauen verbarrikadierten sich von innen. Der Schultheiss schrie: „Frau Wojtaszek, nur keine Angst, es ist keine Kontrolle!" Darauf wurde die Tür geöffnet, man sprach ein wenig miteinander. So erfuhr Barbara Hoff, dass es ein Problem gab – die Bushaltestelle befand sich in der Nähe der Dorfkneipe und nach der Arbeit gingen die Bauer dorthin und soffen, statt heimzugehen. Barbara holte die Bauern aus der Kneipe und sicherte sich mit diesem Einsatz eine jahrelange Lieferung von Spitzen für Hoffland.

In den ersten 13 Jahren hat Barbara Hoff mit ihren Kollektionen nicht einmal einen Groschen verdient. Eine Zeit lang kooperierte sie mit 46 Fabriken und war in ganz Polen mit ihrem eigenen Auto unterwegs. Sie selbst schulterte alle möglichen Lasten – Transport, Magazine, Rohstoffe, Zahlungen – es war eine durch und durch kapitalistische Tätigkeit im Sozialismus, wie im heutigen China. Sie hatte nicht mal einen eigenen Schreibtisch in den Büros des Warenhauses. Erst nach mehreren Jahren, als der Erfolg auf der Hand lag, stellte die Leitung ihr ein eigenes Zimmer bereit mit dem Türschild „Sektion Hoffland". Hoffland war niemals ein privates Unternehmen. Auf den Verkaufsständen wurden kleine Kämpfe mit den Mitarbeitern des Warenhauses ausgefochten, weil sie Hoffs Modelle immer wieder in andere Abteilungen verbrachten. Es war gewissermaßen ein psychologischer Krieg zwischen den Etagen. Hinzu kam, dass „Przekrój" für ihre Feuilletons wenig zahlte, denn in der Redaktion ging man davon aus, die Hoff würde echtes Geld mit der Firma machen. 1991, in der Nacht von Samstag auf Sonntag, machte sich Barbara Hoff wie gewöhnlich an ihren Text und erlitt einen Herzinfarkt. Sie lag dann, angeschlossen an irgendwelche Röhrchen und Schläuche, im Krankenhaus. Auf einmal wurde ihr klar, dass dies ihr erster freier Tag seit elf Jahren war. Aber die Kollektion, fiel ihr ebenso schnell ein, wird nicht einfach so von alleine fertig. Schon bald machte sie sich gemeinsam mit ihrem Mann Robert daran, die Kleider an den hübscher geratenen Krankenschwestern zu erproben.

Barbara Hoff schreibt immer noch, jetzt hat sie ihre eigene Feuilleton-Ecke in einer Branchenzeitschrift „Rynek Mody". Filmregisseurin ist sie nie geworden, nur zwei Mal durfte sie Filmkostüme entwerfen. Dabei wurde ihr bewusst, dass Filmregisseure nicht zu beneiden sind. Sie ste-

cken wochenlang am Drehort im brusthohen Schnee fest. Oder saufen mit ihrem Team Wodka – manchmal mag es angenehm sein, aber sicher nicht immer. Also schrieb sie und entwarf ihre Kleider wie eine Arbeitssüchtige – eine Eigenschaft, die sie von ihren Eltern geerbt hatte. Als ihre Mutti nach einem Schlaganfall in einem Krankenhaus gelandet war, wurde ihr dort so langweilig, dass sie Kreuzworträtsel löste. Barbara Hoff mag es, in ihrem Laptop Patiencen zu spielen, aber sie hat oft Gewissensbisse, dadurch ihre Zeit sinnlos zu vertreiben. Dann kommt ihr Mann auf sie zu und sagt: Mach, was du willst, du bist frei.“ Er dreht sich dann um und geht in die Küche, um Mittagessen zu machen. Das ist etwas, womit er sie einmal für sich einnahm – aus einem halbleeren Kühlschrank konnte er immer einen kleinen Imbiss hervorzaubern.

Jahrzehnte lang gingen bei ihr zu Hause Gesandte von Modekonzernen aus der ganzen Welt ein und aus. Sie waren bereit, in Hoffland zu investieren. Sie stellten Blankoschecks bereit, sie konnte einen beliebigen Betrag eintragen. Sie gingen dann unverrichteter Dinge weg und schüttelten dabei verständnislos die Köpfe: „Sie wollen keine Millionärin werden?“ 2002 streichte „Przekrój“ Hoffs Stelle, eine Woche zuvor traf es Stanisław Lem. Fünf Jahre später wurde man auch Hoffland los. Es sah danach aus, als ob Barbara geistigen Zusammenbruch erleiden würde. Was dann aber kam, war Freiheit. Manchmal rufen Journalisten bei ihr an, weil sie wissen wollen, was aus Hoffland wird. Barbara Hoff entgegnet dann: Nichts.

Aus dem Polnischen von Marcin Wiatr

Marcin Kołodziejczyk
Journalist der Wochenzeitschrift „Polityka“, Autor von Dokumentarfilmen.

Fotos: Tadeusz Rolke, polnische Mode der 1970er Jahre

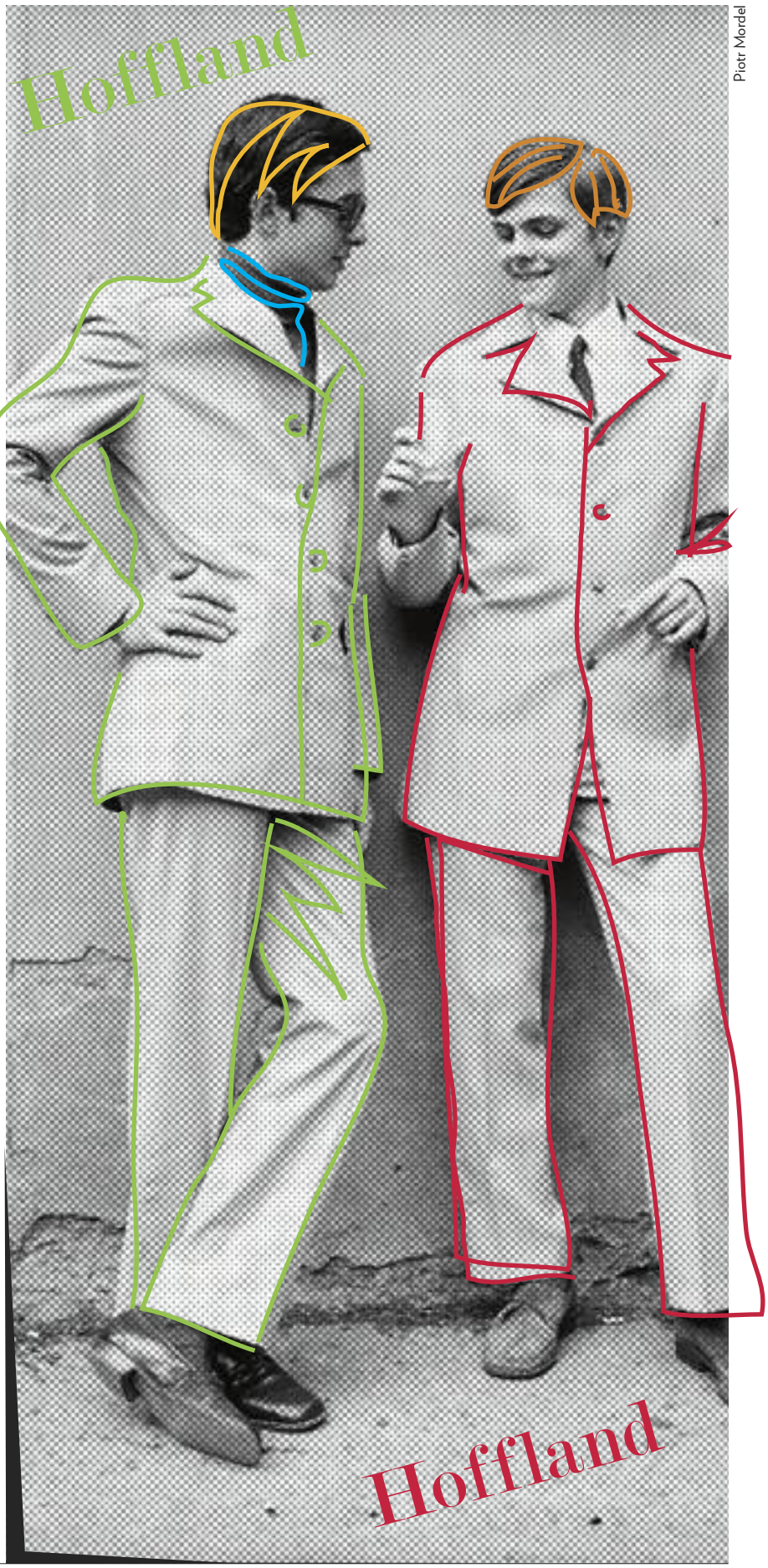

Piotr Mordel

Dieser Text erschien in der „Polityka“, Nr. 5/2011

Agencja Gazeta

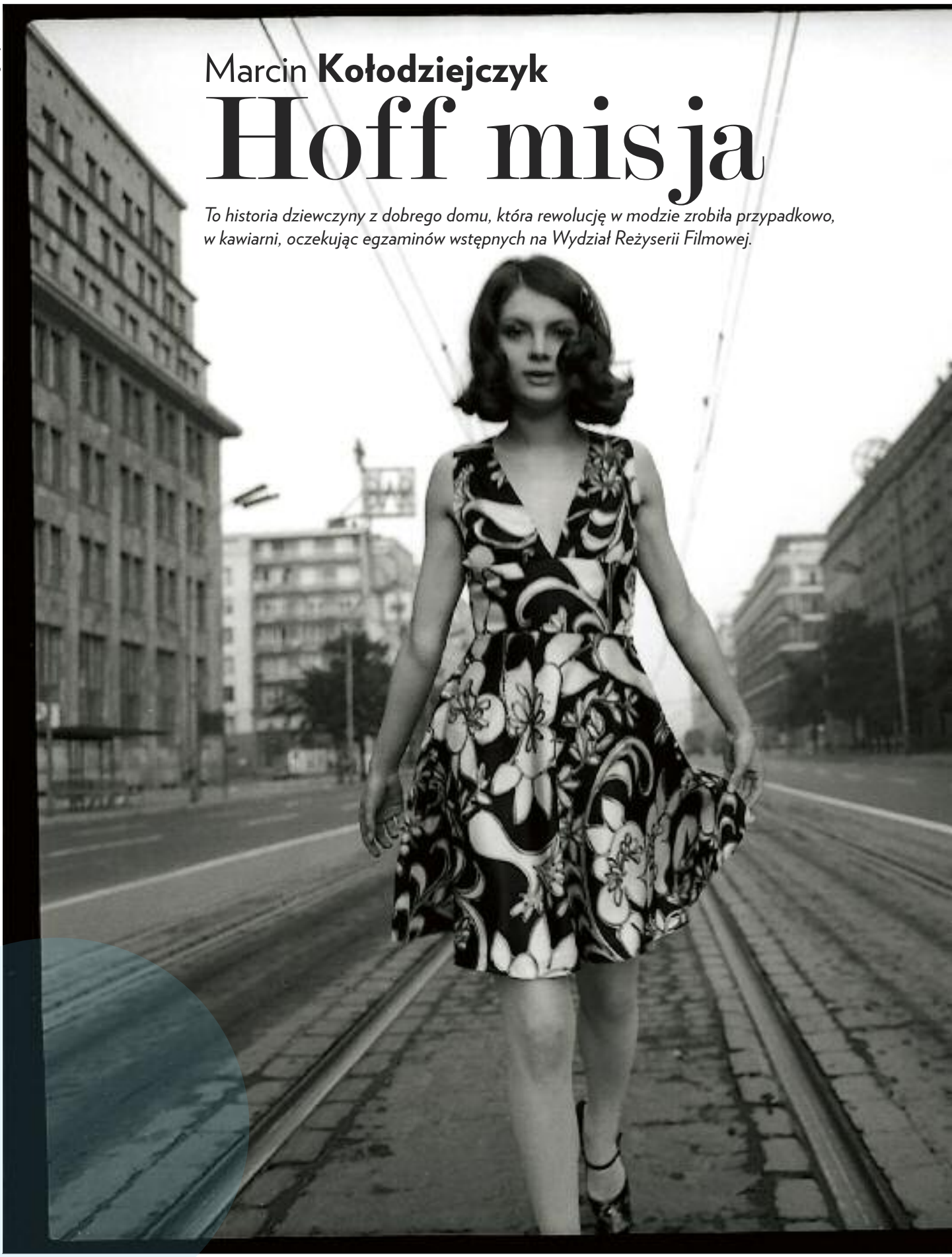

Marcin **Kołodziejczyk**

Hoff misja

To historia dziewczyny z dobrego domu, która rewolucję w modzie zrobiła przypadkowo, w kawiarni, oczekując egzaminów wstępnych na Wydział Reżyserii Filmowej.

Barbara Hoff (imię i nazwisko opatentowane) przez 35 lat socjalizmu i 18 lat nowego ustroju pełniła w Polsce misję cywilizacyjną: podpowiadała ludziom, w co się ubierać, żeby nie wyglądać najpierw jak ruski kołchoźnik, a potem jak elegancki cinkciarz.

Domy rodzinne

Na spacerze Basia wystawiła głowę z wózka, rozejrzała się po Katowicach i od razu chciała wiać. Tak mówi. Ciemno, paskudnie, sadze latają – do dupy. Przedwojenne Katowice niby takie bogate, blichtrowe, ale tylko w centrum. Dalej już familoki, bieda – opowiadał Tatuś. Barbara Hoff nigdy nie lubiła Katowic, zawsze uciekała. A potem wracała, bo tam jednak dom.

Tatuś z Mamusią poznali się na wioślarskiej przystani AZS w Krakowie, trzy dni później ustalili, że po maturze biorą ślub, i wzięli. On, pan Hoff, co dzień dojeżdżał do Krakowa studiować. Później otworzył w Katowicach kancelarię adwokacką, zatrudniał sekretarkę i gońca. Pani Hoffowa prowadziła dom przy pomocy służby. Uwielbiała krzyżówki gazetowe, nawet skomplikowane matematyczne operacje wykonywała w pamięci i była zdolną brydżystką. Jej mama, babcia Sikorska, małżonka sędziego z Sosnowca, na stacji w Zakopanem wysiadała z pociągu w sukni i kapeluszu z piórami; lekce sobie ważąc spojrzenia letniskowego tłumu. Babcia Hoff, mieszkając w Wiedniu, zdobyła nagrodę domu mody dla najwierniejszej klientki. A babcia Sikorska szyła malutkie, staromodne stroje Basinej lalce.

Rodzice rozmawiali przy Basi na dorosłe tematy – przy obiedzie bywało politycznie, bo Tatuś nie lubił sanacji, a potem jeszcze bardziej nie lubił komunistów. Bywało też kinomańsko, bo rodzice nie przegapiali żadnego nowego filmu – dyskutowali o akcji, gwizdali szlagiery. Czasem też Tatuś musiał prosić Mamusię, żeby nie jechała na mistrzostwa Polski w brydżu, bo się bał, że ją straci. Znajomi szeptali: Janka, musisz jechać, będziesz mistrzem z Katowic. Basia mówiła, że na Dzikim Zachodzie Mamusia pewnie byłaby szulerem. W końcu Mamusia nie jechała. Basia miała zakochanych w sobie rodziców, którzy wieczorami ćwiczyli w salonie kroki modnych tańców. Tak było przed wojną i po wojnie.

A ubrania młodzi Hoffowie stalowali w renomowanym zakładzie krawieckim pana Dyczka w Krakowie. Kilkadziesiąt lat później stary pan Dyczek powiedział Barbarze Hoff, że bał się jej, gdy była dzieckiem. Siadywała naburmuszona i milcząca podczas zdejmowania miary, z wcale niedziecięcą powagą obserwowała każdy jego ruch.

Koleżanki

O czasie w ogóle tu się nie gada, nikt nie wie, kiedy Barbara Hoff się urodziła. Nie ma tego nawet w internecie, bo ona sobie nie życzy, żeby było. Żartuje się, że projektant mody w wieku podeszłym to nie jest coś, co młodzież lubi najbardziej. Kilka dni temu dzwoniły młode dziewczyny zaprosić panią Hoff na spotkanie z publicznością, miała opowiadać o peerelowskich pochodach w Dniu Kobiet. Nie było pochodów – spokojnie im tłumaczyła. Jest świetną telefoniczną rozmówczynią, bardzo miłą. Nawet fotograf, któremu odmówiła zdjęć do artykułu, był zachwycony – gadali z godzinę. Dziewczyny w kwestii pochodów obiecały, że sprawdzą i oddzwonią.

Ale w sprawie Rysi trzeba to powiedzieć: ostatnio widziały się z Rysią 66 lat temu.

Barbara Hoff • *urodziła się w Katowicach. Jest najwybitniejszą polską projektantką mody. Ukończyła historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim, jako studentka podjęła stałą współpracę z tygodnikiem „Przekrój", gdzie w latach 1954–2002 prowadziła rubrykę „Moda". Projektowała także kostiumy do filmów („Przekładaniec" Andrzeja Wajdy i „Gra" Jerzego Kawalerowicza, oba w 1968 r.), pisała do satyrycznego tygodnika „Szpilki". W latach 70. rozpoczęła projektowanie kolekcji odzieżowych produkowanych na masową skalę, założyła „Hoffland", jedyną tego typu firmę w Europie Środkowo-Wschodniej, zawierającą w nazwie nazwisko projektantki. Firma na stałe współpracowała m.in. z Domami Towarowymi Centrum, a Barbara Hoff przez pierwszych 13 lat swoje kolekcje przygotowywała za darmo, utrzymując się z pensji dziennikarki „Przekroju", dopiero potem otrzymała pół etatu w DT Centrum. Jej kolekcje znalazły wielkie uznanie Polek, a ich autorka uchodzi ze autorkę wygranej rewolucji, mającej na celu pokonanie narzucanego przez komunistyczne władze PRL bezstylu mody.*

Rysia przysłała koleżance z dzieciństwa list, że żyje, wszystko u niej dobrze, mieszka w Poznaniu, jest psychiatrą.

Mieszkały z Rysią w tej samej kamienicy w Krakowie, chodziły do jednej szkoły. Pan Hoff plunął na volkslistę, musieli w okupację jechać do Krakowa. Na początku Basia i pies mieszkali u cioci, Mamusia u przyjaciółki, Tatuś u kolegi, a meble były w czyjejś stodole. Tatuś znalazł mieszkanie, ale zaraz Niemcy zajmowali całą dzielnicę i Polaków znowu przesiedlali. Hoffowie trafili do kamienicy niedaleko getta. Jadało się czasem kapustę z ziemniakami, ale nigdy nie było tak, żeby nie było służącej. Taki krakowski sznyt. W kamienicy mieszkało kilka żydowskich rodzin, ludzie im pomagali, nikt nie sypnął. Synowie sąsiadki byli w podziemiu i tak też się ubierali: bryczesy, oficerki, marynarki. Moda nie rozróżnia pokojów od wojen, zawsze jest jakaś.

Strasznie było w kamienicy, kiedy Niemcy getto likwidowali, najgorsze wspomnienie z wojny: ludzie krzyczą, płaczą, nie widać ich, ale wyobraźnia dziecka pracuje. Czasem to się niechciane wydobywa na wierzch. Nawet rzeczy wracają z przeszłości. Nie tak dawno Barbara Hoff z mężem powiesili w domu monidła dziadków Sikorskich. Malował je ze zdjęć wędrowny portrecista, ale dziadkom się nie spodobały. Ciągle ktoś się o nie potykał, leżały wzgardzone w rupieciarni, nikt nie miał siły wyrzucić. W okupację było siedem przeprowadzek, wszystko poginęło, a te portrety zostały jako jedyne pamiątki. Tak samo Rysia, pisze trochę spoza czasu. Wspaniale dostać taki list.

Próba normalności

Po wojnie, znowu w Katowicach, pan Hoff po powrocie z kancelarii opowiadał przy zupie o poczynaniach bolszewików. Pracował w sprawach cywilnych, ale dobrze wiedział, że na przesłuchaniach nowa władza przycina ludziom palce szufladami biurek. Paznokcie rwie, sadza na odwróconych taboretach. Pan Hoff o tym głośno i przy dziecku. Uważał, że trzeba żyć normalnie, mimo komunistów. O wyjeździe z Polski nie mówiło się u Hoffów nigdy.

Poza tym jeszcze było w miarę normalnie. Tatuś kupił stare DKW i został oszalałym automobilistą. Robili z Mamusią wieczorne wypady do teatrów krakowskich, wracali nocą, po spektaklu, 83 kilometry. Niby konieczne były przepustki na wyjazdy, ale pan Hoff znał polne objazdy. Rodzice znowu tańczyli jive'a w salonie, wypróbowane kroki prezentowali na dancingach, bywali na fajfach, nucili kinowe melodie. Na wakacjach w kurortach wtedy wspólnie bawiła się przedwojenna inteligencja, artyści i prywaciarze. Tatuś woził marynarki panu Dyczkowi do przerobienia według nowych trendów.

Barbara w gimnazjum trafiła do klasy dobieranej z samych zdolnych dziewczyn. Na studia poszły potem wszystkie i się podostawały. Były szkolną cyganerią i przeżywały z tego powodu uświęcające uniesienia. Na dużej przerwie wolno im było nie wychodzić z klasy, paliły papierosy, klęły szewsko. I dyskutowały o literaturze i teatrze. Dziewczyny wywoływane do odpowiedzi oczy wznosiły po natchnienie do ukrytego w szafie portretu Tadeusza Łomnickiego. Boski ów pomagał im w odpowiedzi. Albo raczej wszystko umiały, bo się uczyły. Ferment klasy dobieranej był świetny dla przyszłego reżysera filmowego, czyli Barbary Hoff.

A poszła na prawo, jak Tatuś. Bo to się studiuje, jak się jest z Katowic: medycynę, farmację, górnictwo albo prawo. Uciekając z Katowic do Krakowa na uniwersytet nie wie się, że istnieją inne kierunki. Krakowski Wydział Prawa Barbarę ukarał za tatę adwokata, niewłaściwe pochodzenie społeczne. Na egzaminach każdy kandydat dostał trzy pytania, a Hoff dostała 27. Na wszystkie odpowiedziała, ale się nie dostała. Ojciec przeżywał, że Alma Mater tak potraktowała jego córkę. Przyjęto ją dopiero, gdy jeden z profesorów złożył protest w ministerstwie. Barbary już wtedy prawo nie obchodziło, bo odkryła historię sztuki. Poszła jeszcze tylko trzasnąć drzwiami na Wydziale Prawa. Kilkumetrowe drzwi zamknęła przed nosem przewodniczącego ZMP kolegi Kogutka, który okazał się bardzo niemiły. Po wielu latach Kogutek, dyrektor Vistuli, znanej, lecz dołującej wtedy fabryki odzieżowej, prosił o pomoc Barbarę Hoff, największą projektantkę mody w Polsce. Rozmowę zagaił z uśmiechem: koleżanko, my się znamy.

Kawiarnia i sztuka

Dzwoni Jerzy Antkowiak, wielki projektant mody. Basiu, kocham cię – mówi, bo znają się od lat. Dzwonią dziewczyny, że rzeczywiście nie było pochodów z okazji 8 marca w PRL. Ale i tak bardzo proszą panią Hoff o przyjście na spotkanie z publicznością. Barbara Hoff żartuje, że wzbudza się, kiedy widzi mikrofon. Może mieć najgorszy dzień, a widząc mikrofon – mówić będzie z sensem. Przed rokiem, wraz z klasykami polskiego jazzu, mówiła o kulturze jazzowej w PRL – krakowska kawiarnia u jazzmanów na św. Marka, katakumby, festiwal w Sopocie, wyrabianie w peerelowskim narodzie, przyzwyczajonym do walczyków i pieśni masowych, słuchu synkopowego – pełna sala, ludzie bili brawo. A współczesny jazz ją nudzi, nie słucha. Słucha radia w aucie albo dziwnych dźwięków. Chóru Pigmejów.

Pierwszego dnia studiów nie znała w Krakowie nikogo. A drugiego dnia już znała. Koleżanka Halszka Banachowa, muza artystów, zabrała ją do kawiarni Warszawianki, gdzie bywali wszyscy. W kawiarni się spędzało życie. Przychodzili luminarze i aspiranci zawodów artystycznych, siadali porozmawiać i Barbara Hoff mówiła im na przykład, że jest świetny teatr w Katowicach. Holoubek dyrektoruje i gra – trzeba koniecznie jechać zobaczyć. Krakówek cmokał i kręcił głową, że jakie Katowice? To Barbara się wściekała, jak katowicka lokalna patriotka, którą nie była. Holoubka chwaliła w środowisku, wpierała go nawet reżyserowi Hasowi do głównej roli w filmie „Pętla" według Hłaski. Ale on też cmokał, bo co mogło być w Katowicach, jeśli nie sam węgiel? Ciągnęła znajomych na Gustawa Holoubka. Niedługo krakowskie kawiarnie mówiły: wielki aktor. Dostał rolę w „Pętli".

W pamięci się zatarło, czy to było w Krakowie, czy raczej w Jastarni – przysiadł się Marian Eile, naczelny „Przekroju". Gadka o wszystkim, jak to w kawiarni – o modzie też: Barbara Hoff, że ustrój ludzi w Polsce wywatował po robotniczemu. Za ubraniami ludziom już twarze poszarzały. Eile, że to wszystko prawda. Hoff, że miałaby kilka pomysłów – jakby tak w „Przekroju" wydrukować, ludzie by zobaczyli. On: to narysuj. Ona: nie umiem nawet krowy narysować. On: krowy nie rysuj, tylko modę. Pierwszy rysunek Barbary Hoff dla „Przekroju" powstał przy kawiarnianym stoliku. Rewolucja numer jeden dotyczyła obuwia: z dostępnych w handlu pepegów należało wyciąć język i sznurowadła, w uzyskane miejsce wszyć lamówkę i zafarbować tuszem. Pepeg po liftingu niepokojąco przypominał paryską balerinkę. „Przekrój" wydrukował, naród nazwał buty trumniakami i oszalał na ich punkcie. Był 1954 rok , był głód mody.

Zaczęło się. Barbara Hoff pracowała wtedy jako ekspedientka w katowickiej Desie. Z własną teorią zbytu: jak ktoś przychodzi do sklepu spytać o godzinę, wyjść musi z czymś małym i niedrogim. Poszukując małego prezentu, wychodzi z dużym. Zawsze działało. Kiedy Barbara odchodziła z posady, osobiście przyjechał dyrektor przedsiębiorstwa z propozycją podwyżki. Ale musiała na narty z przyjaciółmi. Wpadała z wizytami, zakładała się

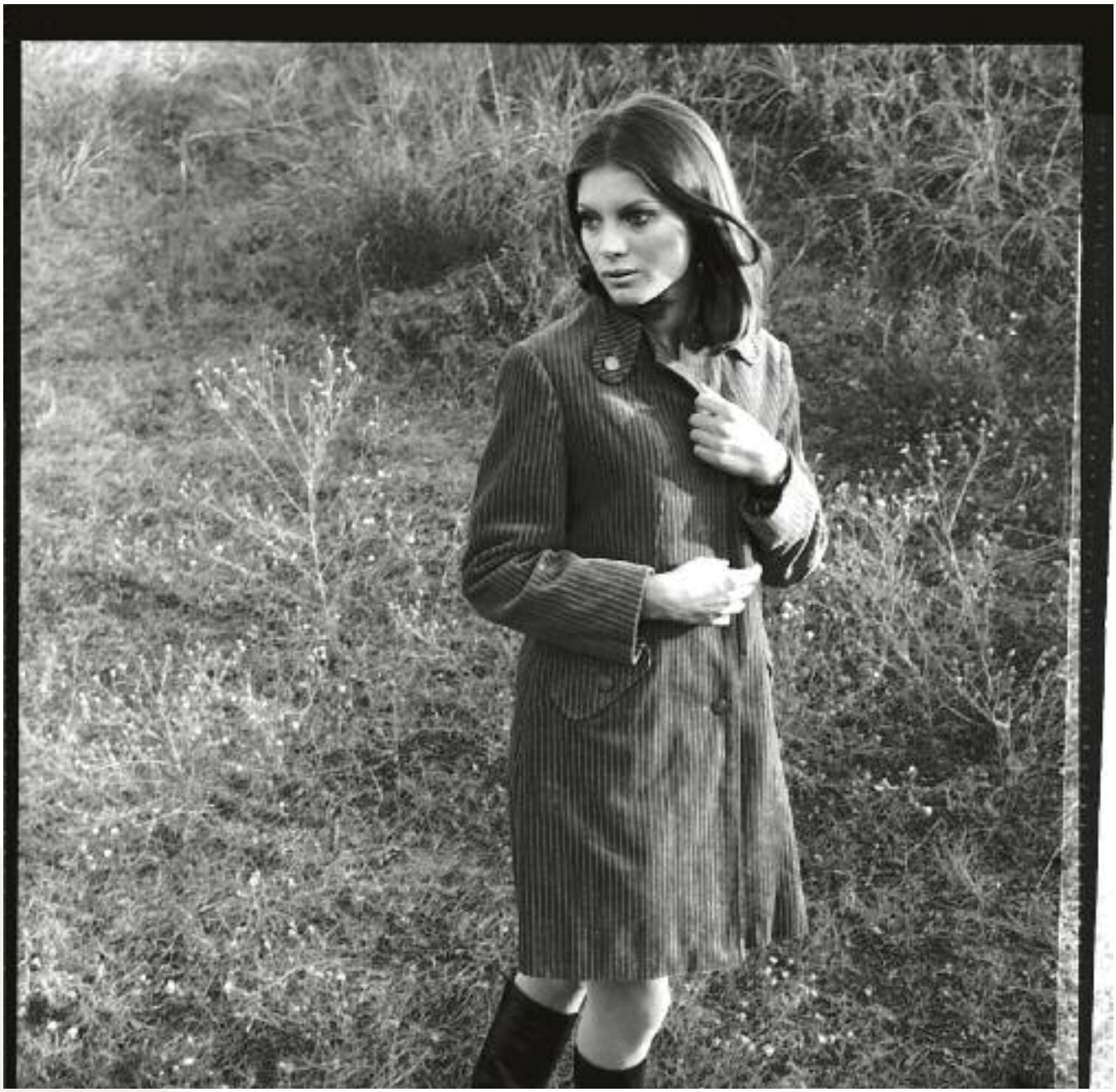

Agencja Gazeta

z koleżankami, że sprzeda niesprzedawalne. Raz stał wielki mosiężny kozioł w dzikim wyskoku. Od dwóch lat stanowił dominantę sklepu. Pierwszy klient, który wszedł, kozła kupił. Ale do Desy nie wróciła. Kilka dni po wynalezieniu trumniaków dzwoniły do Hoff trzy gazety i radio. Zgodziła się prowadzić im kąciki mody. Od niechcenia, bo przecież zostanie reżyserem filmowym.

Z Tyrmandem

Znajomość z Barbarą Hoff rozpoczął Leopold Tyrmand niefortunnie. Sytuacja kawiarniana, on już sławny po wydaniu „Złego", Barbarę zauważył, ale zapytał Janinę Ipohorską z „Przekroju": to jest ta Hoff? Wszyscy mówią, że taka ładna, a to krowa jakaś. Drugie podejście miał lepsze, nienarzucające. Spotkali się w Sopocie, na pierwszym jazz festiwalu w 1956 roku. Rodzice Hoff, którzy podróżowali po Wybrzeżu, widzieli ich razem. Mama mówiła Barbarze: ty mu się podobasz. E tam – odpowiedziała córka. Wkrótce Leopold wyjawił Barbarze, że zrobił sobie listę najlepszych dziewczyn w kraju, a numerem jeden jest ona. Zaprosił ją na kolację w Warszawie: jadł ze smakiem robiąc wykład, jak to nie mógłby być z kobietą chorą. A Barbara była akurat cholernie chora na żołądek, wcale nie mogła jeść, czego pisarz nie dostrzegł. Przyjechał się oświadczyć do Katowic i został odrzucony. Barbara Hoff twierdziła, że nie będzie z niej żony, bo nie ma zamiaru sprzątać ani gotować. Gdy Tyrmand ponownie się proponował, obiecał, że sam będzie gotował. Wtedy został przyjęty. Gotował.

Rok był 1958, oboje byli sławni, oboje bez pieniędzy. Tyrmand żartował: wyglądamy jak małżeństwo dla pieniędzy, ty myślałaś, że ja mam pieniądze, a ja, że ty masz. Komunizmu i towarzyszy nienawidził. Kiedy miał zakaz druku, nie pozwolili mu pracować nawet w wyuczonym podczas wojny zawodzie kelnera. Podobnie

Agencja Gazeta

jak rodzina Hoffów zachowywał się, jakby nie zauważał Polski Ludowej. Barbara miała misję antyustrojową: modą, na którą przecież składają się także socjologia, psychologia, historia i seksualność człowieka, walczyć z tym socjalistycznym udupieniem. Z ruskim kołchoźnikiem w wyglądzie i światopoglądzie. A czasy były niemodowe – Marian Eile, naczelny „Przekroju", musiał tłumaczyć się na ważnych dywanikach za imperialne odchylenia pomysłów Hoff od linii partyjnej. Z czasem zaczęto wzywać do wyjaśnień samą projektantkę – na przykład na zebraniu dyrektorów zakładów obuwniczych zastawała lansowany przez siebie model buta na stole prezydialnym i padało pytanie: co to jest? Tyrmand jej mówił, żeby wzięła się za pisanie, bo ma talent. W domu czuła się podsłuchiwana. Tyrmand się wściekał: idiotka jesteś, jakie podsłuchy?

W 1962 roku po pana Hoffa, adwokata, przyszli ubecy. Poszedł z nimi, choć nie mieli nakazu aresztowania. Roztrzęsiona pani Hoffowa dzwoniła do córki. Ojciec od dawna czuł, że zbierają haki, przesłuchiwali jego klientów. Poszedł, bo chciał to wyjaśnić z prokuratorem. Trzeciego dnia przyszli funkcjonariusze zawiadomić, że powiesił się w celi na własnej koszuli, którą podarł. Miał 56 lat. Przyjechała do Katowic Barbara Hoff z Tyrmandem, Tyrmand chodził po urzędach, prosił o wyjaśnienie tej śmierci. Lubili go wszędzie za „Złego", obiecywali, że jutro. Jutro się okazywało, że nigdy. W końcu poradzili się sprawą nie interesować – pan taki zdolny, żona taka młoda... Kilka lat temu Barbara Hoff wystąpiła do IPN o teczki ojca. Katowickiego 1962 roku w aktach brak. Nienaruszona koszula mecenasa Hoffa wisi u córki w szafie.

Tyrmand wyjechał do swojej mitycznej, jazzowej Ameryki w 1965 roku. Żona popierała ten wyjazd. Mówi, że ostatnia ich wspólna scena była jak z amerykańskiej komedii. Ona wróciła z Nowego Jorku, wie, co tam się nosi, pakuje mu walizkę. On pochyla się nad tą walizką i zdenerwowany wyrzuca rzeczy pod sufit – po co mu tyle na dwa miesiące! Robił sobie w domu nalewkę, która dojrzeje na jego powrót. Studentom w Ameryce wykładał o zbrodniach komunizmu, a oni – rozkochani w Guevarze i Castro – nie wierzyli mu. Nie wrócił, Barbara posyłała mu wyrzucone z walizki rzeczy przez znajomych. Rozwodzili się przez prawników. Barbara Hoff wyszła za Roberta Kuleszę, plastyka. Podczas remontu mieszkania pan Kulesza znalazł w ścianie salonu stare kable podsłuchowe.

Z Hofflandu na wolność

Co za uprzejma ekspedientka – chwaliły Barbarę Hoff klientki stoiska Hofflandu (marka opatentowana) w warszawskim Domu Towarowym. Swoich kolekcji doglądała sama. Doradzała klientom, a oni nie mieli pojęcia, kim jest. Co piątek można ją było zobaczyć przebierającą manekiny. Początki Hofflandu to druga połowa lat 60. – Hoff pojechała z dyrektorem DT na warszawską Pragę, do fabryki odzieży Cora. Nie znała wcześniej żadnego z tych panów – po prostu poszła z projektami. A oni nawet nie chcieli oglądać, tylko żartowali: jak pani Basia bierze wszystko na siebie, to my zamówimy. Cora wyprodukowała 11 tysięcy sztuk konfekcji, DT oddał pani Basi całe piętro. Nie mogła uwierzyć: jak oni mogli, nawet mnie nie znali? Jak wcześniej do „Przekroju" pozowali Pszoniak, Olbrychski, Karolak, Gruza, łokieć Tyrmanda i noga Mrożka – po koleżeńsku, za darmo – na premierowej wystawie Hofflandu wystąpili Grażyna Hase (projektantka mody) i Gerard Wilk (tancerz, solista baletu Teatru Wielkiego). Szturm ludności rozpoczął się jeszcze przed otwarciem sklepu, klienci wdarli się do środka, wybili szybę, okradli manekiny, trzeba było wzywać milicję. Takie akcje nie zdarzały się nawet w mięsnym. Do redakcji „Przekroju", który zamieścił kupon na zakup ciucha Hoff, przyszło tysiące listów, niektóre z pieniędzmi w środku – złotówki, dolary i ruble. Koło południa przyszła do sklepu projektantka Barbara Hoff zobaczyć, jak idzie. Ekspedientki ją zaaresztowały na zapleczu, zrobiły piekło i kazały przysięgać, że nigdy więcej nic nie zaprojektuje.

Druga kolekcja zawierała elementy koronkowe. Też sprzedała się szturmem i tak było przez lata. Koronka pochodziła z Istebnej, jej zdobycie wymagało sprytu. Udało się ustalić, że leśniczy z Istebnej jest dumny ze świerków amerykańskich. Dzwoniła do niego dziennikarka Hoff z „Przekroju" w sprawie świerków, ucieszył się. Gdy przyjechała, opowiedział o drzewach, było także podziwianie zbioru instrumentów ludowych. Wreszcie poszli do chałupy koronczarek, w śniegu po kolana, ale kobiety zabarykadowały się w środku. Sołtys krzyczał: Wojtaszkowa, nie bójcie się, to nie kontrola! Otworzyły, pogadały. Okazało się, że jest kłopot – przystanek PKS sąsiaduje z knajpą i chłopi z Istebnej, zamiast z roboty do domu, idą codziennie pić. Barbara Hoff poszła wyciągnąć chłopa i za to były koronki dla Hofflandu przez lata.

Przez pierwsze 13 lat Barbara Hoff nie zarobiła na swoich kolekcjach nawet złotówki. Był moment, kiedy współpracowała z 46 fabrykami, jeździła po Polsce własnym samochodem. Miała na głowie wszystko – transport, magazyny, surowce, płatności – całkiem kapitalistyczna działalność w ramach socjalizmu, coś jak dzisiejsze Chiny. Nie miała nawet biurka w DT. Po latach, w uznaniu sukcesów, dyrekcja przydzieliła pokój z napisem „Sekcja Hoffland" na drzwiach. Hoffland nigdy nie był prywatną firmą. Na stoiskach trwała walka z pracownikami DT, którzy przenosili modele Hoff do innych działów. Psychologiczna wojna piętrowa. W dodatku „Przekrój" płacił za felietony grosze, bo w redakcji myśleli, że Hoff zarabia na firmie. W 1991 roku, w nocy z soboty na niedzielę, Barbara Hoff jak zwykle siadła do pisania i dostała zawału serca. Leżąc podłączona do jakichś rurek w szpitalu zdała sobie sprawę, że to jej pierwszy wolny dzień od 11 lat. Ale kolekcja sama się nie zrobi. Mierzyli z Robertem ciuchy na co zgrabniejszych salowych.

Barbara Hoff ciągle pisze, teraz ma stałe felietony w „Rynku Mody". Reżyserem nie została, dwa razy robiła kostiumy filmowe i przestała zazdrościć reżyserom. Stoją na planie tygodniami w śniegu po pachy. Albo piją wódkę z całą ekipą – jest to czasem przyjemne, ale nie cały czas. Więc w życiu pisała i projektowała, pracoholicznie – ma to po rodzicach. Mamusia nawet zawieziona do szpitala z wylewem nudziła się tak dalece, że rozwiązała krzyżówkę. Barbara Hoff lubi układać pasjansa w laptopie, ale ma wyrzuty sumienia, że trwoni czas. Przychodzi mąż, mówi: rób, na co masz ochotę, jesteś wolna. I idzie do kuchni robić obiad. Tym ją kiedyś ujął – zrobił przegryzki korzystając z zawartości pustej lodówki.

Przez dziesięciolecia w drzwiach ich mieszkania mijały się delegacje koncernów modowych ze świata, gotowe zainwestować w Hoffland. Dawali czeki *in blanco*, można było wpisać dowolną sumę. Odchodzili nic nie rozumiejąc: pani nie chce być milionerką? W 2002 roku „Przekrój" zwolnił Hoff, w tydzień po zwolnieniu Stanisława Lema. W 2007 roku prywatne domy Centrum wyrzuciły Hoffland. Zanosiło się na upadek ducha, a jest wolność. Od czasu do czasu zadzwonią dziennikarze pytać, co dalej z Hofflandem. A Hoff im odpowie: nic.

Marcin Kołodziejczyk
dziennikarz związany z tygodnikiem „Polityka", dokumentalista filmowy.

Fotografie: Tadeusz Rolke, polska moda lata 70.

Powyższy tekst ukazał się w „Polityce",nr 5/2011.

PAP

Karl Lagerfeld

Magdalena **Parys**

Ein Pariser Midas – Karl Otto Lagerfeld

Modedesigner, Fotograf, Sammler und Kurzsichtiger – immer hinter einer dunklen Brille versteckt. Er sagt, Menschen mit einem solchen Sehfehler würden ohne eine Brille wie süße, kleine Hunde aussehen, die auf eine Adoption warten. Er hasst dumme Fragen, liebt die Provokation und Bücher, geht nicht zum Psychoanalytiker, da er ja Interviews gibt. Was er auch anfasst, es verwandelt sich in Gold. Er selbst ist seriös, man sollte ihn aber nicht allzu ernst nehmen. Mesdames et Messieurs*: Hier kommt Karl Lagerfeld!*

Sohn eines wohlhabenden Fabrikanten und einer exzentrischen Mutter, geboren in Hamburg, aufgewachsen in der Provinz, aus der er – wie er selbst behauptet – immer fliehen wollte. Sein Kindheitstraum: kein Kind mehr zu sein. Als kleiner Junge wollte er nur Eines – erwachsen sein. Wann wurde er geboren? Irgendwann zwischen 1933 und 1938, aber ist das denn so wichtig? Es gibt viele Daten, er erinnert sich nicht mehr, muss es auch nicht, außerdem steht er nicht auf Jubiläen, sentimental sein liegt ihm nicht.

Aber: in Deutschland geboren zu sein und kein Alter zu haben? – das geht nicht! Die deutschen Medien akzeptieren keine Unklarheiten und wenden viel Arbeit auf, diese aus der Welt zu schaffen. Ihre gründlichen Recherchen führen zu dem Ergebnis, dass Karl Otto Lagerfeld in diesem Jahr genau 80 Jahre alt wurde. Auch mit seiner Nationalität verhielt es sich unterschiedlich. In seinen Gesprächen und Interviews hieß es, sein Vater sei ein Schwede, Karl selbst ein Däne, manchmal sogar ein Jude, denn der Modeschöpfer mag Juden, in seinem engsten Freundeskreis überwiegen Juden. Und es war so: Anfang der 1950er Jahre ging er nach Paris. Und wer wäre damals gerne ein Deutscher in Paris gewesen? Ein Franzose in New York – das geht in Ordnung, aber ein Deutscher in Paris? Keineswegs! Das Magazin „The New Yorker" rügte ihn für die Schummeleien aus der Vergangenheit, aber wer erinnert sich heute noch daran, es ist doch schon so lange her und vielleicht auch gar nicht wahr? Lagerfeld wiederholt es mit Vorliebe, aktuell sei nur das, was er im Augenblick meint, morgen könne es wieder anders werden.

Ein Dandy aus Bad Barmstedt

Doch das alles ist noch Zukunftsmusik. In den 1940er Jahren lebt Karl zusammen mit seinen Eltern und Schwestern in der Nähe des Kurorts Bad Barmstedt (40 km von Hamburg entfernt), in einer Villa, deren Eingang riesige Säulen schmücken. Sein Vater, ein wohlhabender Hansekaufmann, erscheint in seinen Erinnerungen als ein Langweiler und typischer Mensch aus dieser Region, außerdem sei er eine gute und sanftmütige Person gewesen, mit Prinzipien und einer Schwäche für seinen Sohn. Jahrelang erfüllt er sogar seine auch so kleinen Wünsche. In den Interviews wiederholt Lagerfeld: „Ich bin wie mein Vater, aber ich wollte immer wie meine Mutter sein." Denn mit der Mutter ist es anders, es ist interessanter. Sie ist gebieterisch, kompromisslos und wunderschön, immer vom Dienstpersonal umgeben. Karl versichert, die unglaublich begabte Gräfin und Cellistin habe bereits 1919 selbstständig ein Flugzeug steuern gekonnt. Aber Karl erzählt das Eine, und seine Familie das Andere. Den Familienberichten zufolge war die Mutter Verkäuferin in einem Berliner Kaufhaus, der Vater Ludwig Lagerfeldt (bald wird Karl aus Marketinggründen auf die Endung „t" verzichten) lernte sie während eines Besuches in der Hauptstadt kennen. Sie heirateten in der sprichwörtlichen Blüte ihrer Jahre, als Karl das Licht der Welt erblickte, war die Mutter 42 und der Vater 60. Wie alle Eltern damals, gehen auch die Lagerferldts ihren Angelegenheiten nach, die Mutter verlangt von Karl, schneller zu sprechen, und er muss sich beeilen, damit sie ihm zu Ende zuhört. „Wer gegen sie ankämpft, ist von vornherein zum Scheitern verurteilt", berichtet er Jahre später, durch die mütterliche Resolutheit erheitert. Mit einem Lächeln zitiert er ihren Lieblingsspruch: „Du bist so dumm wie Ribbentrop." Der Reichsminister begrüßte ja sogar den Papst mit „Heil Hitler" und galt im Allgemeinen als ein Grobian und Narr. Hitler brauchte jedoch einen solchen Hermes, aber das ist wieder eine ganz andere Geschichte. In jedem Interview zitiert Lagerfeld mit Vorliebe die Sprüche seiner Mutter, die mit Rügen nicht geizte. Wie Mütter so sind, sah seine Mutter in ihm einen künftigen Diplomaten oder Maler, aber Karl selbst war von diesen Illusionen frei, das Wichtigste wurde doch bereits gemalt und geschrieben, einen Picasso habe die Welt an ihm nicht verloren.

Seine Erzählungen über die Mutter scheinen ihn zu belustigen, als ob sie die ganze Fleur des Viktorianischen Zeitalters erfassen würden. Es gab noch zwei Schwestern, eine verstarb schon vor langer Zeit, die andere lebt mit ihrer Familie in Amerika, und von Zeit zu Zeit fällt ihre Existenz irgendeinem Reporter wieder ein. Es gibt keinen Skandal, die Welt erfährt das, was sie eh schon wusste, und zwar, dass die Geschwister sich seit Jahren nicht gesehen hätten und Karl großartig sei. Karl selbst sagt über seine Schwester, sie sei eine Heilige, die beiden leben aber in zwei verschiedenen Welten, warum sollten sie einander stören. Und überhaupt, er sei alleine aufgewachsen.

Karl wie König

Schenkt man dem, was er sagt, Glauben – und da er den Rat seiner Mutter befolgt hat, redet er bis heute viel und schnell in drei Sprachen – erschuf er sich selbst bereits in seiner Kindheit. Schon früh fallen seine gestärkten Kragen, schneeweißen Hemden und Seidenkrawatten auf; seine Garderobe wird bei einem guten Schneider maßgeschneidert, er erinnert an den kleinen Mozart – und da es Mozart ist, wird er sein Haar nicht schneiden lassen. Im Elternhaus herrschen feste Grundsätze, es gibt aber auch viele Freiheiten. Die Mutter – liberal, modern und phantasievoll – erlaubt ihm Einiges. So ohrfeigt sie den Lehrer, der sie 1948 auffordert, ihren Sohn zum Friseur zu bringen, und fragt ihn, ob er ein Nazi sei. Das schätzt Karl an ihr am meisten: ihre Toleranz, die beinahe an Gleichgültigkeit grenzt. „Ich durfte machen, was ich wollte, das Einzige, was sie mir untersagte, war, ein Tänzer oder Pfarrer zu werden. Ihrer Meinung nach gab

es keinen schlechteren Beruf für einen Mann."

Der kleine Karl verbringt Stunden auf dem Dachboden des Elternhauses, entdeckt dort in alten Kartons Ausgaben der satirischen Wochenzeitschrift „Simplicissimus" (deutsch: der Einfältigste), und darin die Zeichnungen Bruno Pauls und die Karikaturen Olaf Gulbranssons. Er findet Alben mit den Zeichnungen von Thomas Theodor Heine, aus dessen Feder auch die symbolische rote Bulldogge stammt – das Erkennungszeichen des „Simplicissimus".

Stundenlang blättert er darin, studiert die Zeichnungen, skizziert, übt. In den Kisten auf dem Dachboden findet er weitere Schätze: Alben mit den Bildern von Adolph Menzel. Ein Bild prägt sich ihm besonders ein: Es stellt den im Schloss Sanssouci tafelnden Friedrich den Großen dar („Die Tafelrunde"), umgeben von Intellektuellen, darunter auch Voltaire. Der kleine Karl kann weder schlafen, noch essen, er träumt jahrelang von dem Gemälde. Ein halbes Jahrhundert später gelingt es ihm endlich, es zu bekommen, es ist zwar nicht das Original, aber eine durchaus gelungene Kopie. Da das Original während des Zweiten Weltkrieges dem Feuer zum Opfer fällt, gewinnt die ergatterte Kopie an Wert. Der Große Friedrich hängt nun im Herzen Preußens, dort, wo er hingehört, denn der große Karl übergibt ihn einem Berliner Hotel als Dauerleihgabe – das Hotel revanchiert sich, Lagerfeld bekommt das lebenslange Recht, die Hotelappartements zu nutzen. Einige Zeit später gesteht er jedoch, sein Lieblingsgemälde sei in Wirklichkeit „Der arme Poet" von Carl Spitzweg: „Ich wollte schon immer so leben, das entspricht meiner Natur." Im gewissen Sinne ging sein Traum doch in Erfüllung, denn – ähnlich wie der Poet aus dem Bild – er verbringt sein Leben mit Büchern, 2013 zählt seine Sammlung über 300.000 Bände. Fotos und Dokumentationen über ihn zeigen zahlreiche Häuser, die bis zum Rand mit Alben, Zeitschriften und Büchern gefüllt sind. Irgendwo dazwischen, in der Mitte, steht auch ein Bett – wie bei Carl Spitzweg. Nur Eines stimmt mit dem Vorbild nicht überein: Durch das Dach tropft es nicht, die Schlafmütze bleibt trocken und es sieht überall nach Geld aus.

Im Leben Karl Lagerfelds sind auch andere Karls reichlich vertreten – hier einer, da einer – die Etymologie des Vornamens Karl ist ein anderes Thema. Den Vornamen bekam er von seinem Patenonkel, Chefarzt einer Klinik in Münster, der in der Familie Lagerfeld großen Respekt genoss. Dieser erzählte ihm später, im Althochdeutschen bedeutete „Karl" „Mann", auch „Herrscher"; und Karls Vater, der sich während der Oktoberrevolution in Wladiwostok aufhielt und Russisch konnte, fügte hinzu, in den slawischen Sprachen hieße „Karl" „König".

Ein Autodidakt

Er geht nicht gern zur Schule, obwohl seine Lehrer noch Jahre später erzählen, er sei begabt, anders, langhaarig gewesen ... Die Schule interessiert ihn nicht, er hat andere Pläne, seit seinen jüngsten Jahren besucht er ganz aus freien Stücken eine private Sprachschule, um dort mit Begeisterung Französisch zu lernen. Er will unbedingt die Sprache kennenlernen, die seine Eltern wählen, wenn sie nicht möchten, dass ihr Sohn ihre Gespräche versteht. Er lernt Französisch zielstrebig und gewissenhaft. Lagerfeld kokettiert gerne damit, er habe kein Abitur gemacht, habe auch niemals studiert und keine „Mode-Schule" besucht. Lesen und Zeichnen habe er sich selbst beigebracht, er sei eben ein Autodidakt, und im Leben habe er einfach nur Glück gehabt, das er aber keineswegs mit dem banalen Wort „Glück" bezeichnet (denn alles Banale ist ja schrecklich). „Ich habe Schwein gehabt" – er verwendet die umgangssprachliche Redensart, das Glück muss doch unbedingt mit etwas Trivialem, Widersprüchlichem verstärkt werden. Karl liebt doch – wie selten jemand – Paradoxien.

Im Alter von 14 Jahren verlässt er Deutschland für immer und geht nach Paris. „Ich gehöre zu keinem Land, ich gehöre zu keiner Szene, ich gehöre niemandem. Ich bin frei, ich will frei sein, ich stehe darüber, ich stehe über all dem." Zu diesem „über alles stehen" verhelfen ihm das „Schwein", der Zufall und seine Mutter, denn sie fährt mit ihm nach Paris. Sie ist der Meinung, Hamburg, wo es Karl gefällt, sei für ihren Sohn ungeeignet; Berlin war einmal schön, aber in den 1940er Jahren gibt es kein Berlin mehr, es gibt nur einen Trümmerhaufen. Dafür gibt es Paris. Noch vor seiner Abreise schickt ein Lehrer Karls Zeichnungen zu einem renommierten Wettbewerb. In der Jury in Paris sitzen solche Größen wie Dior, Balmain, Patou. Die eingereichte Skizze gefällt ihnen und gewinnt in der Kategorie „bester Mantel". In der Kategorie „bestes Abendkleid" siegt Yves Saint Laurent, an-

Archiv

fangs ein Freund, später ein langjähriger Rivale. Jahre später wird Lagerfeld sagen: „Ich hasse Mäntel."

Er hat keine Vorbilder, sucht nicht nach Idolen, sein Geist ist frisch und rein, seine Zeichnungen sind anders, originell, sie haben das gewisse Etwas, was den anderen fehlt. Kein Wunder, die auf dem Dachboden verbrachten Stunden tragen Früchte. Der gewonnene Preis sichert ihm sofort eine Assistentenstelle im Modehaus Balmain, ein paar Jahre später wechselt er zu Patou. 1962 wechselt er zu Chloe, wo er 20 Jahre lang als künstlerischer Direktor arbeitet. In den 1950er und 1960er Jahren ist er für viele bekannte Labels tätig. Er ist jung, mag das Nachtleben, Reisen und Autos. Er feiert, feiert und lebt mit Volldampf. In Paris kennt er alle, die man kennen sollte, zwar ist er noch nicht der Lagerfeld, den jeder Europäer kennen wird, dafür fährt er einen herrlichen Bentley (ein weiterer Wunsch, den ihm sein Vater erfüllt). Wer, bitte schön, fährt damals einen solchen Wagen? Wer? Es muss ein Jemand sein, glauben seine potenziellen, snobistischen Arbeitgeber. Im Nu kommen Aufträge von italienischen Modefirmen bis hin zu Pariser Theatern. Im Jahre 1962 nimmt er ein Angebot des Warenhauses „Monoprix" an und entwirft zum ersten Mal für die Massen: günstig und funktional. Es ist ein Flirt mit der Großindustrie, im Grunde unbedeutend, aber Karl Lagerfeld hat eine Vorahnung, er spürt etwas. 2004 wird er der erste große Modeschöpfer sein, der Vorreiter, der eine neue Ära einleitet: „Karl Lagerfeld for H&M". Andere große Designer folgen seinem Beispiel, aber er ist derjenige, der den ersten Schritt macht, er schafft es, dass die Verbindung von einem T-Shirt von H&M mit einem Jackett von Chanel zum guten Ton gehört – und schon bald zum Besten.

Archiv

Doch wir haben noch die 1960er Jahre, an Chanel denkt noch niemand. Der junge Karl mag nach wie vor Strände, Reisen und Nachtclubs, einige von ihm gegebenen Partys werden in Paris zur Legende. In Paris lebt er in dem Bohèmeviertel, das in Henry Millers erotischem Roman „Stille Tage in Clichy" verewigt worden ist. Karl selbst ist eher ein Phänomen in der Welt der Pariser Bohème: Er raucht nicht, trinkt nicht und nimmt nie Drogen. Einst dachte er daran, mit dem Rauchen anzufangen in der Überzeugung, er würde dadurch erwachsener aussehen, aber seine Mutter meinte: „Du solltest nicht rauchen! Deine Hände sind nicht besonders hübsch, und sie fallen wahnsinnig auf, wenn du rauchst." Es hat gewirkt.

Er begegnet allen Berühmtheiten der damaligen Zeit, darunter Andy Warhol, der, von dem jungen Designer inspiriert, beschließt, mit ihm zusammen einen künstlerischen Film zu drehen. So entsteht der Kultfilm „L'Amour". Jahre später betrachtet ihn der Hauptprotagonist mit Abstand, als ein Intermezzo, das er einfach eine lustige Unterhaltung nennt. „Das war damals etwas Neues. Man könnte, was er tat, als Pornografie bezeichnen, aber jetzt ist es Kunst, weil die Leute es als erotische Kunst sehen. Ich weiß nicht, wo die Grenze zwischen Pornografie und erotischer Kunst verläuft. Wenn man sich die Erkennungsmerkmale ansieht, muss man schon sehr intellektuell sein, um da eine genaue Trennlinie zu erkennen." Bei der Gelegenheit spricht er darüber, worüber er immer spricht: Dass er Pornografie und Prostituierte liebe. Und er erinnert daran, dass die Models von Toulouse-Lautrec, Manet und Degas hauptsächlich Huren waren; ja, Huren (die Widersprüchlichkeit muss sein!), und wir, die Menschen von heute, lieben ja diese Bilder so sehr.

Lagerfeld behauptet, Frustration sei die Mutter der Kriminalität, ohne Prostituierte und Pornografie würde die Verbrechensrate ruckartig steigen. Er unterstreicht mit Nachdruck, es sei viel schwieriger, in pornografischen Filmen zu spielen als in gewöhnlichen Streifen. Er hasst jegliche Formen von Heuchelei, dennoch ist er gegen die Schließung homosexueller Ehen. Der Modeschöpfer versteht nicht, wie es möglich ist, dass in den 1960er Jahren die ganze Schwulenwelt um das Recht auf ein anderes Leben gekämpft hat und nun eine Rückkehr zu den bürgerlichen Werten fordert. „Ich kann mir das schwer vorstellen – einer der Papas auf Arbeit und der andere zu Hause mit dem Kind. Wie das wohl für das Baby ist? Ich weiß nicht. Lesbierinnen können ja Kinder haben, aber Männerehepaare mit Kindern, da glaube ich überhaupt nicht dran. Ich glaube auch mehr an die Beziehung zwischen Mutter und Kind als zwischen Vater und Kind." Den Begriff „Homosexualität" habe ihm vor Jahren seine Mutter erklärt, und diese Antwort reiche ihm bis heute: „Etwa vor hundert Jahren in Deutschland, als ich ein Kind war, fragte ich meine Mutter, was Homosexualität sei, und sie sagte: ‚Es ist wie eine

Haarfarbe. Es bedeutet nichts. Manche Leute sind blond, und manche haben dunkle Haare. Es ist kein Thema.' Ich halte es für eine gesunde Einstellung. Meine Mutter war eine unglaublich moderne Frau." Über sein Privatleben redet Lagerfeld ungern. Er sei ein Workaholic, er habe in seinem Leben geliebt, und die eine Liebe reiche für das ganze Leben. Sein Partner, Jacques de Bascher, der „am besten gekleidete Franzose", lebt nicht mehr; er starb – wie damals alle – an AIDS. AIDS habe die Modewelt dezimiert, eine ganze Generation von Leuten umgebracht, Lagerfeld möchte nicht darauf zurückkommen.

Er verspürt kein Bedürfnis, über solche Themen zu diskutieren, er nimmt seine Angelegenheiten selbst in die Hand. Selbst, allein – immer allein. Er hasse Erinnerungen, also erinnere er sich nicht, es zähle ausschließlich das Hier und Jetzt. Außerdem habe er in einem Brief an Rilke gelesen, die Psychoanalyse töte die Kreativität, und seitdem analysiere er nicht mehr. Er halte sich auch fern von der Politik, er gehe nicht wählen, existiere irgendwie parallel, ist zwar ein Deutscher, habe aber als Erwachsener nie in Deutschland gelebt. Der Bundeskanzlerin Angela Merkel könne er lediglich den Ratschlag geben, weniger Farbe zu tragen und einen besseren Hosenschnitt, denn dieser, den sie trägt, sei unvorteilhaft. „Ich arbeite in der Mode. Die Politik ist nicht mein Job. Ich gehe in Frankreich nicht zur Wahl, obwohl Ausländer das hier dürfen. Ich werde nie zur Wahl gehen. Ich könnte für mich selbst stimmen, weil ich alles über mich weiß. Und ich kann alle Anderen belügen, aber ich kann mich nicht selber anlügen. Meine Mutter beteuerte immer: ‚Wenn du ehrlich bist und einen gewissen Bildungsstand hast, wirst du immer die Frage und die Antwort wissen.'"

Die Mutter ist allgegenwärtig, immer und überall.

Auch die politischen Schwulenbewegungen interessieren Karl nicht. „Ich habe nichts damit zu tun. Für mich ist die Homosexualität ein Teil des normalen Lebens. Ich meine, 20 Prozent, die so sind, von Gott oder wem auch immer geschaffen wurden, sie sind genauso, wie sie sein sollen. Wo ist das Problem? Wogegen soll ich also kämpfen?" Schaut man sich jedoch seine neuesten Aussagen genauer an, fällt es auf, dass es sich mit seinen Stellungnahmen unterschiedlich verhält. Scheinbar bezieht er keine Position, aber wenn sich die Möglichkeit bietet, fährt er Krallen und Suppositionen aus. Wie er sich auch selbst kreieren mag, er ist immer sehr gut informiert und immer auf dem Laufenden. Journalisten müssen unglaublich aufpassen, es reicht eine kleine Unachtsamkeit ihrerseits und sie sind selbst dran, Fragen aus Politik, Geschichte, Kunst und was auch immer anfällt, zu beantworten. Wer nicht belesen ist und zu wenig Wissen besitzt, wird sofort gnadenlos entlarvt. So sehen in ihm nicht nur seine Fans einen genialen Taktiker, sondern auch die Medien, denn am 1. Dezember 2013 übernahm er den Stuhl des Chefredakteurs von der „Welt am Sonntag" – er bereitete eine Sonderausgabe über Luxus (sic!) vor, und somit auch über alles, was mit diesem Thema, das die westliche Welt unentwegt beschäftigt, verwandt ist. Warum auch nicht, einen besseren Experten auf diesem Gebiet gibt es wohl kaum. Lagerfeld – der erste Designer in der Geschichte der Modewelt, der mit Chanel und Fendi lebenslange Verträge unterzeichnet hat. Und wie er selbst versichert, er komme da nicht raus, es sei denn, er gebe den Löffel ab.

Der Durchbruch

Selbstdisziplin ist das Motiv, auf das er sein Leben lang immer wieder zurückkommt. Seiner Ansicht nach sei „harte Arbeit wie die politische Korrektheit. Sei politisch korrekt, aber bitte, nerve die Anderen nicht mit Unterhaltungen darüber, was es heißt, politisch korrekt zu sein, denn das ist das Ende von allem. Willst du die Leute langweilen? Sei einfach beim Sprechen politisch korrekt." Aus diesem Grund arbeitet er pausenlos, und 1965 hört er auf, ein Mensch ohne Namen zu sein. Und all das deswegen, weil alles bereit steht: Es gibt eine Idee, es gibt auch Geld, es fehlt nur ein Designer. Ab sofort. Evan Richards, ein Finanzjongleur aus Texas, lässt sich etwas Neues mit dem Namen „Tiziano Roma" (*made in England*) einfallen – amerikanische Phantasien über Europa: italienische Mode, verfeinert mit einer Prise englischen Trends und Pariser Schicks, und am besten noch mit ein paar russischen Juwelen ergänzt. Tadam! Karl bereitet 90 Schnittmuster vor, die fertige Kollektion hängt in Macy's in New York, dem größten Warenhaus der Welt, 20 Tausend Quadratmeter groß. Sie hängt da und wartet ab, ob die Stars, die auf dem Weg zum Oscar durch den Roten Teppich laufen, „Nein" sagen können. Das können sie nicht. Seine erste amerikanische Kundin ist Elisabeth Taylor.

Und so steht Karls Name 1965 in den Top Ten – neben der rothaarigen Sonia Rykiel, Yves Saint Laurent und dem Japaner Kenzo. Die „Herald Tribune" berichtet über eine neue Generation, die kommt und die alten Meister vom Thron stürzt. Lagerfeld langweilt sich nicht, zu der Zeit entwirft er bereits Luxuspelze für Fendi. Die berühmten Initialen der Firma in dem modernen Logo sind sein Werk – das eine F ist normal, das andere umgekehrt. Und so spielte es sich ab: Er setzte sich mit den Firmenbesitzerinnen – fünf Schwestern – an den Tisch und auf Zack, innerhalb von drei Sekunden, entwarf er für sie das, was sie haben wollten. Die Leichtigkeit des Logos stand im Kontrast zu den schweren, seriösen Pelzen von Fendi. Die Reihenfolge ist einfach: eine gute Marke, die Intitialen, ein Erfolg. Eine Kundin des Luxusmodehauses ist damals schon Gina Lollobrigida, doch noch weiß sie es nicht, dass die Pelze, die sie trägt, von Lagerfeld kommen, von *diesem* Lagerfeld. Zum Thema „Pelze" hat Karl eine unerschütterliche Meinung: „In einer Fleisch essenden Welt, in der Schuhe, Sachen und sogar Handtaschen aus Leder getragen werden, ist die Diskussion über Pelze kindisch."

Freelancer, das bin ich

Es ist viel los. Es sind immer noch die 1960er, Karl arbeitet weiterhin für Chloe, zum Kundinnenstamm des Modehauses gehören Jackie Kennedy, Grace Kelly, Maria Callas, Brigitte Bardot. 1969, bei der französischen Premiere des Films „Rosemaries Baby" von Roman Polański in Paris erscheint Mia Farrow und richtet ihre ersten Schritte zu Chloe. Lagerfeld sitzt sicher auf dem Pariser Modethron. Er arbeitet an einer Damen- und Herrenkollektion für die japanische Firma Isetan, am Schuhwerk für Charles Jourdan in Paris und an einer neuen Pullover-Linie für Ballantyne in Mailand.

Jahre später suchen die hartnäckigsten Sammler nach dem Kamelhaar-Mantel, den Karl 1972 für Max Mara entworfen hat. Einmal wird er angeblich in einem Pariser Second Hand Laden gefunden, ein anderes Mal in London. Bei Versteigerungen erreicht der Mantel unvorstellbare Summen. Ja, Lagerfeld ist fleißig und vielseitig, er ist ein *freelancer*. Er gesteht zwar, er habe diese Bezeichnung nicht selbst erfunden, ihr aber eine neue Bedeutung verliehen. *Freelancer*, das ist er.

Chanel

Der größte Durchbruch steht ihm aber noch bevor. 1983 taucht in seinem Leben die bisher größte Herausforderung auf: Chanel. Er entscheidet sich, den Posten des künstlerischen Direktors anzunehmen.

Wer würde es heute glauben, dass die Marke Chanel damals in tiefen Schlaf versunken war, der Glanz war noch da, doch es schimmerte nicht mehr so prachtvoll. Denn Chanel bedeutete nicht nur die charakteristische Tasche mit dem ineinander verschränkten Logo CC und einer goldenen Kette, nicht nur Kostüme, sondern Coco Chanel selbst – ein Symbol der fortschrittlichen Weiblichkeit, die Geschichte der Mode und somit der ganzen Welt.

Ein aufmerksamer Beobachter wird es sofort begreifen: Während des Attentats auf John Kennedy in Dallas trägt Jackie Kennedy ein Chanel-Kostüm. Simone Veil, eine französische Gesundheitsministerin, unterzeichnet 1974 das Gesetz zur Legalisierung der Abtreibung in einem Jackett der Firma Chanel. Das ist ein bahnbrechender Augenblick, und auch das Jackett ist nicht zufällig gewählt, denn war es nicht Coco Chanel, die als erste etwas brach, was sich vor ihr niemand traute zu brechen? Sie war es, die sich die Elemente der Herrengarderobe zunutze machte: große Taschen, einfache Schnitte; und sie war es, die sie bei den Jersey-Jacketts für Damen einbaute. Und all das geschah noch vor dem Ersten Weltkrieg.

Und nun wird dieses Symbol von einem Deutschen übernommen, einem gewissen Karl Lagerfeld ohne „t" in der Endung des Namens. Was wird nun daraus werden? Vorerst gar nichts, der neue Direktor lässt sich Zeit. Und dann kommt etwas, was niemand erwartet hat, eine Modenschau 1986 mit einer überraschenden Kollektion. Irgendwie ist es Chanel, aber wiederum doch nicht, es ist Chanel à la Lagerfeld. Die herrliche, statuenhafte, 1,83 Meter große Inès de la Fressange, die erste Muse Karls bei Chanel, präsentiert Jacketts mit Taschen mit Pelzbesatz, sie glänzt und leuchtet, ihren Hals schmücken lange Perlenketten. „Ich habe Chanel aus einem hundertjährigen Schlaf geweckt", stellt Lagerfeld fest. Es gibt Ovationen, unendliche Ovationen. Bis heute. Damals ist etwas geschehen, etwas Wichtiges, was den Anstoß dazu gab, etwas Neues, Unvorstellbares zu kreieren. Ein Jackett zu einer Jeans und hochhakigen Schuhen – warum auch nicht? „In der Mode gibt es drei Stücke, die niemals aus der Mode kommen werden: die Jeans, ein weißes T-Shirt und die Chanel-Jacke." Seit dem Erscheinen der ersten Kollektion wartet die ganze Modewelt auf die weiteren Kollektionen von Chanel, Fendi und Karl Lagerfeld, denn ein solches Label ist inzwischen auch entstanden.

Es kommen immer neuere Kollektionen, nur die Musen wechseln. Die erste bedeutende gab es bereits 1972: Donna Jordan. Es folgten weitere: Paloma Picasso, Inès de la Fressange und natürlich Claudia Schiffer. In den vergangenen Jahren kam auch eine polnische Schönheit hinzu – Anja Rubik. „Sie ist wunderbar", sagt Lagerfeld über sie. „Wunderbar. Hohe Wangenknochen, wunderschöne Beine, es ist kaum vorstellbar, wie schön ihre Beine sind; und dieser unendlich lange Hals, und dieser Rücken, in tief ausgeschnittenen Kleidern sieht sie wunderschön aus. Schlank, sehr schlank, unwahrscheinlich schlank." „Schlank" – ein weiteres, heiß diskutiertes Thema. Lagerfeld wiederholt immer wieder, mollige Frauen möchte niemand auf dem Laufsteg sehen. Und dass Übergewicht das Hauptproblem der heutigen Zivilisation sei, denn schlanke Menschen seien es ganz bestimmt nicht. Schlanke Menschen gebe es kaum noch, und darin sehe er den Grund, warum das französische Gesundheitswesen nicht über die Runden kommt. Jüngst machte er sich bei molligen Frauen wieder unbeliebt, die seine Aussagen für diskriminierend hielten und vor Gericht zogen. Was springt dabei heraus? Für Lagerfeld ein weiterer kleiner Skandal und Notizen in der Presse, für die molligen Frauen vermutlich wieder nichts. Provokationen und Skandale sind etwas, wovon jemand wie Lagerfeld lebt. Bleiben sie aus, bietet er sie selbst an. Seit dem Tod seines Partners nahm er ziemlich viel zu. Etwas muss man damit machen. Nach einer radikalen Diät, über die er sogar ein Buch geschrieben hat, verliert er über 40 Kilo. Der Anlass? „Nun, es kam die neue Linie von Hedi Slimane bei Dior heraus, und um die zu tragen, musste man sehr schlank sein. Ich sagte mir: ‚Willst du das? Dann kehr zurück zu den Knochen'. Also verlor ich 44 Kilo und habe seitdem auch nicht ein Kilo wieder zugenommen." Er legte auch den Fächer ab, mit dem er die Speckrollen bedeckte, und ersetzte ihn mit einem neuen Stil. Sein auferstandenes Ich trug nun einen hohen weißen Kragen, ein schwarzes Sakko und mindestens 26 Ringe an den Fingern, die Hände in Fahrradkurierhandschuhen versteckt. „Ich habe Fotos von mir als Kind (...) und ich bin genau derselbe, der ich heute bin. Ich verändere mich nie." Spätestens seit dem Jahr 2000 weiß jeder, wie Lagerfeld aussieht, er selbst ist eine Marke, die sofort erkennbar ist.

Ich bin ein Lagerfeld

Und abgesehen von alldem, arbeitet er – wie immer –, stets beschäftigt, immer mehr beschäftigt. Denn seit über 20 Jahren macht er auch Fotos, viele, viele Fotos. „Durch einen Zufall", ermüdet von den Vorbereitungen und dem ständigen Warten auf einen Fotografen, nimmt er eine Kamera in die Hand und macht sich selbst an die Arbeit. Ein paar Jahre später nimmt er den renommierten Kulturpreis der Deutschen Gesellschaft für Photographie entgegen. „Er ist ein Phänomen, ein Receiver von Informationen", die Chefin der US-amerikanischen Ausgabe der „Vogue", Anna Wintour, ist begeistert. „Außerdem hat er ein phänomenales Gedächtnis." Lagerfeld sagt über sich selbst, er sei „ein Schüler Spinozas" und wiederholt noch einmal, er sei einfach unwahrscheinlich diszipliniert; er lässt wieder einen Aphorismus los und beendet die Diskussion mit dem Satz, er sei im Grunde normal. Die ehemalige langjährige Chefredakteurin der deutschen Ausgaben der „Vogue" und der „Cosmopolitan" Charlotte Seeling fügt hinzu, Lagerfelds Genius bestünde in seiner Persönlichkeitsspaltung, dank der er in jede Rolle hineinschlüpfen könne. Der große Martin Walser, der von einem Journalisten gefragt wurde, wer sich für einen Protagonisten in seinen Büchern besser eignen würde, Boris Becker oder Karl Lagerfeld, antwortete ohne zu zögern, es wäre natürlich der widersprüchliche, komplizierte und nicht einfach zu analysierende Lagerfeld.

Der kanadische Regisseur Bruce LaBruce, dem der Modeschöpfer ein außergewöhnlich langes Interview gibt, stellt wiederum die These, Karl leide möglicherweise am Asperger-Syndrom, einer seltenen Variante des Autismus, die sich als Genialität äußert. „Das ist genau das, was ich habe", antwortet Lagerfeld sofort. „Als Kind wollte ich erwachsen werden. Ich wollte alles wissen – aber nicht um darüber zu sprechen. Ich hasse intellektuelle Konversationen mit Intellektuellen, weil mich nur meine eigene Meinung interessiert, aber ich lese gerne sehr abstrakte Hirnkonstrukte."

Die Ausführungen Lagerfelds über sich selbst erinnern auch sehr an das, was Martin Walser über ihn sagte: „Ich bin eine Abstraktion. Eine Marionette, die von mir selbst manipuliert wird. (...) Ich habe mit irdischen Problemen wenig zu tun. Aber bohren sie bitte nicht weiter nach, ich bin kein Erdölfeld, ich bin ein Lagerfeld."

Aus dem Polnischen von Monika Satizabal Niemeyer

Magdalena Parys
Schriftstellerin und Übersetzerin, lebt in Berlin.

PAP

Magdalena **Parys**

Midas paryski – Karl Otto Lagerfeld

Projektant mody, fotograf, kolekcjoner i krótkowidz – zawsze w ciemnych okularach. Twierdzi, że ludzie z taką wadą wzroku bez okularów wyglądają jak słodkie małe pieski, czekające na adopcję. Nienawidzi głupich pytań, uwielbia prowokować, kocha książki i nie chodzi do psychoanalityka, udziela przecież wywiadów. Czego się nie tknie, zamienia się w złoto. Sam jest poważny, ale proszę nie brać go zbyt serio, Mesdames et Messieurs *– oto Karl Lagerfeld!*

Syn zamożnego fabrykanta i ekscentrycznej matki, urodzony w Hamburgu, wychowany na prowincji, z której, jak sam twierdzi, zawsze chciał uciec. Dziecięce marzenie: nie być dzieckiem. Jako kilkuletni malec pragnął tylko jednego: być dorosłym. Kiedy się urodził? Gdzieś między 1933 a 1938, czy to ważne? Wiele jest dat, nie pamięta, nie musi, zresztą nie przepada za obchodzeniem jubileuszy, tylko bez sentymentów.

Ale urodzić się w Niemczech i nie mieć wieku? Niemieckie media nie akceptują niedomówień i sporo poświęcą temu uwagi, ich skrupulatny *research* wykaże, że Karl Otto Lagerfeld skończył w tym roku właśnie 80 lat. Różnie bywało też z jego narodowością, w rozmowach i wywiadach ojciec był Szwedem, on sam Duńczykiem, czasem nawet Żydem, bo Lagerfeld lubi Żydów, wśród jego najbliższych przyjaciół dominują głównie Żydzi. A to było tak: z początkiem lat 50. wyjechał do Paryża. Kto by chciał uchodzić za Niemca w Paryżu? Francuz w Nowym Jorku – o tak, ale Niemiec w Paryżu – o nie! Magazyn „New Yorker" skarci go za te krętactwa z przeszłości, ale kto o tym dzisiaj jeszcze pamięta, tym bardziej, że to tak dawno i może w ogóle nieprawda? Legerfeld z umiłowaniem powtarza, że „aktualne jest tylko to, co mówię teraz, jutro może być inaczej".

Dandys z Bad Barmstedt

To wszystko jednak jeszcze przed nim. W latach 40. mieszka z rodzicami i siostrami niedaleko kurortu Bad Barmstedt (czterdzieści kilometrów od Hamburga), w willi z olbrzymimi kolumnami przed wejściem. Ojciec, zamożny kupiec hanzeatycki, to w jego wspomnieniach nudziarz i typowa postać tego regionu, poza tym dobry i łagodny człowiek z zasadami, ale ze słabością do syna. Przez całe lata spełnia niemal każdą jego zachciankę. W wywiadach powtarza: „Jestem jak ojciec, ale zawsze pragnąłem być jak matka". Bo z matką jest inaczej, ciekawiej. Władcza, bezkompromisowa i piękna, zawsze otoczona służbą. Karl utrzymuje, że hrabina i wiolonczelistka, niezwykle wszechstronna, podobno już w roku 1919 potrafi samodzielnie sterować samolotem. Karl swoje, rodzina swoje. Z ich relacji wynika, że matka to sprzedawczyni w jednym z berlińskich domów towarowych, którą senior Ludwig Lagerfeldt (Karl końcówki „t" niebawem się pozbędzie z powodów marketingowych) poznaje podczas wizyty w stolicy. Ślub biorą w tak zwanym kwiecie wieku, Karl przychodzi na świat, kiedy matka ma 42 lata, a ojciec 60. Jak wszyscy rodzice tamtych czasów, także państwo Lagerfeldt mają swoje sprawy, matka małemu Karlowi każe mówić szybko, Karl musi się spieszyć, żeby zechciała go wysłuchać do końca. „Kto z nią walczy, z góry skazany jest na przegraną", opowiada po latach rozbawiony matczyną rezolutnością. Z uśmiechem cytuje jej ulubione powiedzenie, „jesteś głupi jak Ribbentrop", minister nawet papieża wita „Heil Hitler" i w ogóle uchodzi za grubianina i błazna. Hitler jednak potrzebuje właśnie takiego Hermesa, ale to już inna historia. Lagerfeld z zamiłowaniem w każdym wywiadzie cytuje powiedzonka matki, która nie szczędzi mu nagan. Matka jak to matka, w synu widzi przyszłego dyplomatę, malarza, jednak sam Karl pozbawiony jest tych iluzji, najważniejsze zostało już namalowane i napisane, zatem „Picassa w nim świat nie stracił".

Opowieści o matce zdają się go bawić, jakby zamykał się w nich cały *fleur* wiktoriańskiej epoki. Były jeszcze dwie siostry, jedna już dawno zmarła, druga mieszka z rodziną w Ameryce, co jakiś czas przypomina sobie o niej jakiś reporter. Skandalu nie ma, świat dowiaduje się o tym, co już i tak wiedział, a mianowicie, że rodzeństwo nie widziało się od lat i że Karl jest wspaniały. Sam Karl mówi o siostrze, że jest święta i że żyją w dwóch różnych światach, po co sobie przeszkadzać. A tak w ogóle, to wychował się sam.

Karl jak król

Jeśli wierzyć w to, co mówi, a za radą matki, do dziś mówi dużo i szybko w trzech językach, wykreował samego siebie już w dzieciństwie. Wcześnie wyróżnia się wykrochmalonymi kołnierzami, śnieżnobiałą koszulą, jedwabnym krawatem, jego garderoba szyta jest na miarę u dobrego krawca, jest niczym mały Mozart – a skoro Mozart, to nie obetnie włosów. W domu panują jasne zasady, ale jest też sporo swobody. Matka, liberalna, nowoczesna i z fantazją pozwala na wiele, nauczyciela, który w 1948 roku zwraca jej uwagę, aby zaprowadziła syna do fryzjera, policzkuje, pytając, czy jest nazistą. Karl najbardziej ceni ją właśnie za tolerancję graniczącą wręcz z obojętnością: „Mogłem robić, co chciałem, jedyne, czego mi zabroniła, to zostać tancerzem bądź księdzem. Według niej nie istniał gorszy zawód dla mężczyzny".

Mały Karl wiele godzin spędza na rodzinnym strychu, odkrywając tam w starych pudłach wydania satyrycznego tygodnika „Simplicissimus" (łac. prostaczek), a w nich ilustracje Bruno Paula, karykatury Olafa Gulbranssona. Odnajduje albumy z rysunkami Thomasa Theodora Heinego, autora symbolicznego czerwonego buldoga, który przez wiele lat był znakiem rozpoznawczym „Simplicissmusa".

Godzinami je wertuje, studiuje, szkicuje – ćwiczy. W skrzyniach znajduje kolejne skarby: albumy, a w nich obrazy Menzla, szczególnie utkwi mu w pamięci obraz przedstawiający króla Fryderyka Wielkiego, biesiadującego w Sanssouci („Die Tafelrunde") w otoczeniu mędrców, wśród rozmówców jest także Wolter. Mały Karl nie może spać, nie może jeść, marzy o tym obrazie przez całe lata. Pół wieku później uda mu się wreszcie go zdobyć,

nie oryginał co prawda, lecz udaną kopię. Obraz spłonął w czasie wojny, więc zdobyta przez niego kopia nabiera wartości. Wielki Fryderyk zawiśnie w sercu Prus, tam gdzie jego miejsce, bo wielki Karl wypożyczy obraz na stałe jednemu z berlińskich hoteli, ten odwzajemni mu się za to prawem dożywotniego korzystania z hotelowych apartamentów. Jakiś czas później Lagerfeld zwierzy się jednak, że tak naprawdę jego ulubionym obrazem jest „Biedny poeta" Carla Spitzwega: „Zawsze chciałem tak żyć, to odpowiada mojej naturze". W pewnym sensie jego marzenie się spełni, podobnie jak poeta z obrazu Lagerfeld spędza życie wśród książek, jego zbiory w roku 2013 liczą ponad trzysta tysięcy tomów. Zdjęcia i dokumentacje filmowe pokazują liczne domy wypełnione po brzegi albumami, czasopismami, książkami, gdzieś pośrodku nich stoi też łóżko, jak u Carla Spitzwega. Tylko jedno nie pasuje do pierwowzoru, z dachu nie przecieka, na szlafmycę nie kapie i wszędzie bogato.

Sporo też Karlów w jego życiu, Karl tu, Karl tam, etymologia imienia Karl to osobny temat do dywagacji. Otóż imię nadał mu ojciec chrzestny, ordynator kliniki w Münster, niezwykle szanowany w rodzinie Lagerfeldtów. Potem opowie małemu Karlowi, że w staroniemieckim *karl* oznacza *pan*, także *władca*, ojciec Karla, Ludwig Lagerfeldt, który podczas wielkiej rewolucji znalazł się we Władywostoku i zna rosyjski, dopowie, że *karl* w językach słowiańskich to „król".

Samouk

Do szkoły nie uczęszcza zbyt chętnie, choć nauczyciele jeszcze po latach opowiadać będą, że zdolny, że inny, że długowłosy... Szkoła go nie interesuje, ma inne plany, od najmłodszych lat sam z nieprzymuszonej woli pięć razy w tygodniu uczęszcza do prywatnej szkoły językowej, uczy się z zapałem języka francuskiego. Koniecznie musi poznać język, którym posługują się rodzice, kiedy nie chcą, aby ich syn wiedział, o czym mówią. Uczy się francuskiego wytrwale, sumiennie. Kokietuje, że nie ma matury i nigdy nie studiował, nie chodził do „szkoły mody", czytać i rysować nauczył się sam, taki to samouk z niego, a w życiu miał po prostu szczęście, którego nie nazywa banalnie szczęściem (wszystko, co banalne, jest wszak okropne). „Ich hatte Schwein", używa potocznego wyrażenia, koniecznie musi wzmocnić szczęście czymś trywialnym, kontrastowym, bo Karl, jak rzadko kto, uwielbia paradoksy.

W wieku 14 lat opuszcza na zawsze Niemcy i wyjeżdża do Paryża. „Nie należę do żadnego kraju, nie należę do żadnego środowiska, nie należę do nikogo. Jestem wolny, chcę być wolny, jestem ponad to, jestem ponad to wszystko". W tym byciu ponad pomaga mu „Schwein", przypadek i matka, bo to ona wyjeżdża z nim do Paryża. Uważa, że Hamburg, który Karlowi się podoba, nie jest dla jej syna odpowiedni, Berlin piękny (był), ale w latach 40. nie ma już Berlina, są gruzy. Jest za to Paryż. Zanim jeszcze wyjedzie, jeden z nauczycieli wyśle na prestiżowy konkurs jego rysunki. W Paryżu w konkursowym jury zasiadają takie wielkości jak Dior, Balmain, Patou. Nadesłany szkic im się podoba i wygrywa w kategorii „najlepszy płaszcz". Zwycięstwo w kategorii „najlepsza suknia wieczorowa" odnosi Yves Saint Laurent, początkowo przyjaciel, później wieloletni rywal. Karl powie po latach: „Nienawidzę płaszczy".

Nie ma wzorców, nie szuka idoli, ma czysty świeży umysł, jego szkice są inne, oryginalne, mają to coś, czego inne nie mają, nie ma się co dziwić, że godziny spędzone na strychu przynoszą owoce. Wygrana zapewnia mu z miejsca pracę asystenta w domu mody Balmain, z którego kilka lat później przeniesie się do Patou. W 1962 roku rozpocznie pracę dla Chloe, gdzie przez dwadzieścia lat pełnić będzie funkcję dyrektora artystycznego. W latach 50. i 60. pracuje dla wielu znanych marek. Jest młody, lubi nocne życie, podróże, samochody. Bawi się, bawi i żyje pełną parą, zna w Paryżu wszystkich, których należy znać, jeszcze nie jest tym Lagerfeldem, którego znać będzie każdy Europejczyk, ale za to jeździ wspaniałym Bentleyem (kolejna zachcianka spełniona przez ojca). Kto w tamtych czasach jeździ takim samochodem? Kto? Musi być kimś, myślą potencjalni sno-

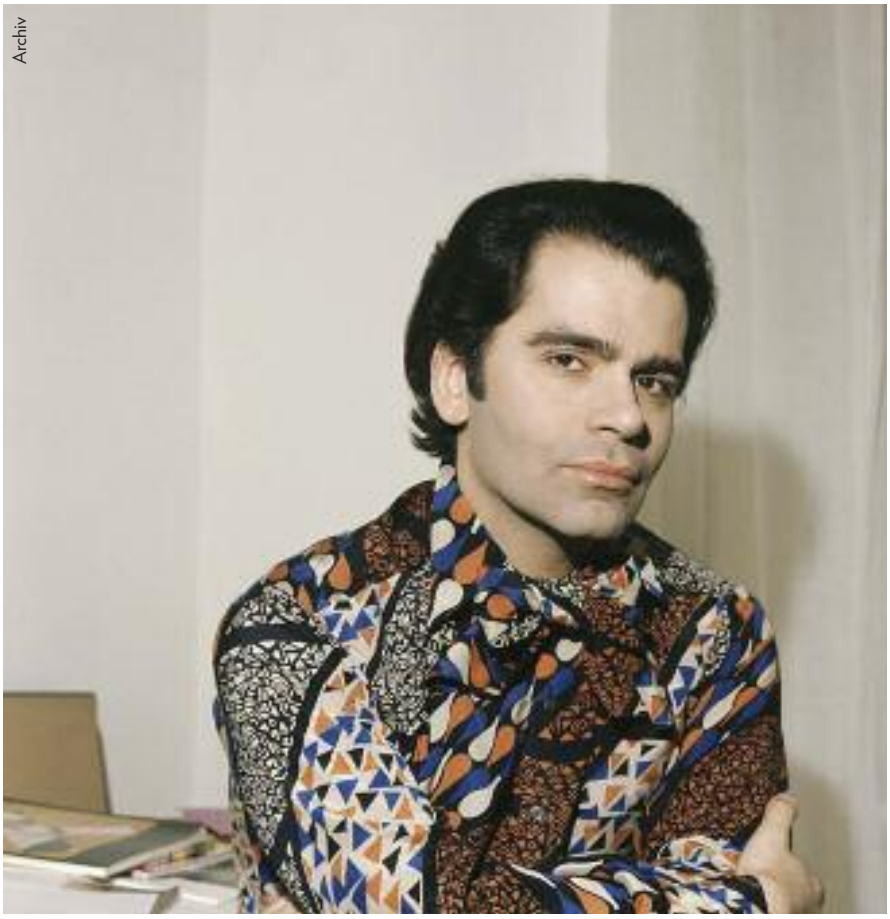
Archiv

bistyczni pracodawcy. W mig pojawiają się zlecenia – od włoskich firm aż po paryskie teatry. W roku 1962 przyjmuje propozycję domu towarowego „Monoprix" i po raz pierwszy projektuje dla mas: tanio i funkcjonalnie. Taki flirt z dużym przemysłem, niby nic, ale dwudziestodziewięcioletni, a może dwudziestopięcioletni Karl Lagerfeld już coś przeczuwa, już coś wie. W 2004 roku będzie pierwszym wielkim projektantem, prekursorem, który zapoczątkuje nową erę, „Karl Lagerfeld for H&M". Za nim podążą następni, jednak to on zrobi ten pierwszy krok, to on sprawi, że koszulka H&M i marynarka od Chanel będzie w dobrym tonie, a niebawem w najlepszym.

Tymczasem wciąż są jeszcze lata 60., o firmie Chanel jeszcze nikt nie myśli. Młody Karl nadal lubi plażę, podróże i nocne kluby, a niektóre inscenizowane przez niego party przechodzą do paryskiej legendy; mieszka w Paryżu w bohemistycznej dzielnicy, o której Henry Miller zdążył już napisać erotyczną powieść „Ciche dni w Clichy". Tymczasem sam Karl to fenomenem w świecie paryskiej bohemy: nie pali, nie pije, nigdy nie używa narkotyków. Kiedyś myślał nawet o paleniu, sądząc, że dzięki temu będzie wyglądał dojrzalej, ale matka powiedziała: „Nie powinieneś! Twoje dłonie nie są aż tak urodziwe i to niestety będzie widać, kiedy zaczniesz palić". Poskutkowało.

Spotyka wszystkich sławnych tamtych czasów, w tym Andy'ego Warhola, który zainspirowany młodym projektantem postanawia nakręcić z nim artystyczny film. Powstaje kultowy „L'Amour". Po latach główny bohater jest zdystansowany, widzi w tym incydent, nazywając go po prostu zabawną rozrywką. „Wtedy było to coś nowego. Teraz świat widzi w tym sztukę erotyczną. Nie jestem pewien, gdzie przebiega granica między pornografią a sztuką erotyczną. Trzeba być naprawdę inteligentnym, aby odnaleźć w tym granicę". Przy okazji mówi o tym, o czym mówi zawsze – że uwielbia pornografię i prostytutki. Przypomina, że modelkami Toulouse-Lautreca, Maneta, Degasa były głównie dziwki, tak, dziwki (pamiętajmy – kontrasty!), a my, współcześni, tak przecież te obrazy kochamy.

Utrzymuje, że frustracja jest matką zbrodni, a brak prostytutek i pornografii mógłby spowodować gwałtowny wzrost przestępczości. Z naciskiem podkreśla, że o wiele trudniej jest występować w filmach pornograficznych, niż w filmach zwykłych. Nienawidzi wszelkich przejawów hipokryzji, jest z zasady przeciwny zawieraniu gejowskich małżeństw. Nie rozumie, jak to możliwe, że w latach 60. cały (gejowski) świat walczył o prawo do innego życia, a teraz nagle domaga się powrotu do mieszczańskich wartości. „Trudno jest mi to sobie wyobrazić – jeden tatuś siedzi w pracy, a drugi w domu z bobaskiem. Nie wiem, jaki wpływ mogłoby to mieć na dziecko. Bardziej przekonują mnie żonate lesbijki z dziećmi, niż zamężni chłopcy z dziećmi. Zresztą bardziej wierzę w więź między matką a dzieckiem, niż między ojcem a dzieckiem". Pojęcie „homoseksualizm" przed laty wytłumaczyła mu matka i ta odpowiedź wystarcza mu do dziś: „Jakieś sto lat temu w Niemczech, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, spytałem matkę, czym jest homoseksualizm. Odpowiedziała mi, że to coś takiego, jak kolor włosów i nic nie znaczy. Są blondyni i ciemnowłosi, to nie jest istotne. Uważam to za bardzo zdrowe podejście. Moja matka była niezwykle nowoczesną kobietą". Niechętnie mówi o swoim życiu prywatnym, jest pracoholikiem, była jednak miłość w jego życiu, jedna taka, co wystarczy na całe życie. Jego przyjaciel, Jacques de Bascher, „najlepiej ubrany Francuz", już nie żyje, umarł jak wszyscy wtedy – na AIDS. AIDS zdziesiątkował świat mody, zabijając całe pokolenie, woli do tego nie wracać.

Nie odczuwa potrzeby dyskutowania na te tematy, sam załatwia swoje sprawy. Sam, sam, wszystko sam. Nienawidzi wspomnień, więc nie wspomina, liczy się wyłącznie to, co jest teraz. Poza tym w listach do Rilkego przeczytał, że analiza zabija kreatywność, więc od tej pory nie analizuje. Trzyma się też z dala od polityki, nie głosuje, istnieje jakby obok, jest Niemcem, ale przecież nigdy jako dorosły człowiek w Niemczech nie mieszkał. Kanclerz Niemiec, Angeli Merkel, może jedynie zaproponować stonowanie kolo-

Archiv

Jennifer Lopez und / *i* Karl Lagerfeld

rów i inny krój spodni, bo według niego ten, który nosi, jest dla niej niekorzystny: „Zajmuję się modą. Polityka nie jest częścią mojej pracy. Nie głosuję we Francji, mimo że cudzoziemcy mają tutaj prawa wyborcze. Nigdy nie będę głosował. Mógłbym głosować jedynie na samego siebie, bo wiem o sobie wszystko. Mogę okłamać każdego, oprócz samego siebie. Moja matka miała takie powiedzenie: 'Jeśli jesteś naprawdę uczciwy i masz odpowiednie wykształcenie, zawsze będziesz znał i pytanie, i odpowiedź'".

Wszędzie matka, wciąż ta matka.

Nie interesują go także żadne polityczne ugrupowania gejowskie: „Nic mnie z tym nie łączy. Homoseksualizm jest częścią normalnego życia. Dotyczy około dwudziestu procent społeczeństwa. Czy stworzył go Bóg, czy cokolwiek innego, ci ludzie są właśnie tacy, jacy powinni być. Nie wiem, o co taki ruch miałby walczyć". Choć jakby tak przyjrzeć się najświeższym doniesieniom, to z tym zajmowaniem stanowiska różnie bywa, niby nic nie deklaruje, ale jeśli może wysuwa i szpony, i supozycje. Jakby się jednak nie kreował, zawsze jest świetnie poinformowany i zawsze na bieżąco. Dziennikarze muszą niezwykle uważać, wystarczy mała nieuwaga i nagle sam ich przepytuje z polityki, z historii, historii sztuki, co tam się akurat nadarzy. Kto nie za dużo przeczytał, wiedzę ma malutką, natychmiast zostaje bezlitośnie zdemaskowany. Genialnego taktyka dostrzegają w nim zatem nie tylko fani, także media, oto bowiem 1 grudnia 2013 obejmie stołek redaktora naczelnego „Welt am Sonntag" – odpowiedzialny będzie za specjalne wydanie poświęcone luksusowi (sic!), a więc i wszelkim dywagacjom na ten nieodmiennie nurtujący świat zachodni temat. Czemu nie, kto jest większym specjalistą w tej dziedzinie, jak nie on? Lagerfeld – pierwszy designer w historii świata mody, który podpisał dożywotnią umowę z Chanel i Fendi. Jak sam mówi, wyjść z niej może jedynie nogami do przodu.

Przełom

Samodyscyplina, leitmotiv, do którego wraca przez całe życie. Według niego „ciężka praca jest jak poprawność polityczna. Bądź poprawny politycznie, ale proszę, nie zanudzaj innych dialogami dotyczącymi tej twojej poprawności, bo to jest koniec. Chcesz kreować nudę? Bądź poprawny politycznie w swoich rozmowach". Zatem pracuje, wciąż pracuje i wreszcie w roku 1965 przestaje być człowiekiem bez nazwiska. A wszystko dlatego, że jest pomysł, są pieniądze, potrzebny jeszcze tylko projektant. Od zaraz. Żongler finansowy z Teksasu, niejaki Evan Richards, wymyślił coś nowego o nazwie „Tiziano Roma" (made in England), czyli amerykańskie imaginacje o Europie: włoska moda okraszona szczyptą angielskiego trendu, paryskiego szyku, a do tego najlepiej jeszcze dorzucić rosyjskie klejnoty. Tadam! Karl przygotowuje 90 wykrojów, gotowa kolekcja wisi w Macy's w Nowym Jorku, 20 tysięcy metrów kwadratowych, największy dom towarowy na świecie. Wisi i czeka, czy gwiazdy na czerwonym dywanie w drodze po Oscary mogą powiedzieć nie? Nie mogą. Pierwszą amerykańską klientką będzie Elisabeth Taylor.

I tak oto Karl w roku 1965 pojawia się obok czerwonowłosej Sonii Rykiel, Yves Saint Laurenta i Japończyka, Kenzo na liście Top Ten. „Herald Tribune" pisze o nowym pokoleniu, że oto nadchodzi i pozbawia tronu starych mistrzów. Lagerfeld ma co robić, w tym czasie projektuje już luksusowe futra dla Fendi. Słynne nowoczesne inicjały tej firmy wyszły właśnie spod jego pióra – F normalne i F odwrócone. A to było tak, usiadł przy stole z właścicielkami firmy, pięcioma siostrami i w trzy sekundy namalował im, co trzeba: ciach trach. Taka sobie lekkość i kontrast dla ciężkich i poważnych futer. Jest marka, są inicjały, jest sukces. Jedną z klientek luksusowego domu mody jest już wówczas Gina Lollobrigida, jeszcze nie wie, że futra, które nosi, są od Lagerfelda, od tego Lagerfelda. Na temat futer Karl ma w ogóle swe odwieczne zdanie: „W mięsożernym świecie, który nosi rękawiczki, buty, paski i torby ze skóry dyskusję na ten temat uważam za dziecinną".

Freelancer to ja

Dzieje się. Wciąż to jeszcze lata 60. Karl pracuje nadal dla Chloe, klientkami domu mody są Jackie Kennedy, Grace Kelly, Maria Callas, Brigitte Bardot, w 1969 roku na francuskiej premierze filmu Romana Polańskiego „Dziecko Rosemary" pojawia się w Paryżu Mia Farrow i oczywiście pierwsze kroki kieruje do Chloe. Lagerfeld pewnie siedzi na paryskim tronie mody. Pracuje nad damską i męską kolekcją dla japońskiej firmy Isetan, nad obuwiem dla Charles'a Jourdana w Paryżu, nad nową linią swetrów dla Ballantyne w Mediolanie.

Po latach co wytrwalsi kolekcjonerzy poszukują modelu płaszcza z wielbłądziej wełny, który w 1972 roku zaprojektował dla Max Mary. Podobno ktoś go znalazł w secondhandzie w Paryżu, ktoś inny w Londynie. Płaszcz osiąga na licytacjach nieprawdopodobne ceny. Tak, Lagerfeld jest pracowity i wszechstronny, Lagerfeld to *freelancer*. Przyznaje, że co prawda nie on wymyślił to określenie, ale to on nadał mu nowe znaczenie. *Freelancer* to on.

Chanel

Tymczasem największy przełom jeszcze wciąż przed nim. W 1983 roku pojawia się w jego życiu największe dotychczasowe wyzwanie: Chanel. Decyduje się na przyjęcie stanowiska dyrektora artystycznego. Kto by dzisiaj pomyślał, że ówczesny Chanel to Chanel pogrążony w głębokim śnie, co prawda jeszcze z blaskiem, ale mocno już oszronionym. Bo Chanel to nie tylko rozpoznawalna torebka z przeciwstawnymi literami CC na złotym łańcuszku, nie tylko kostiumy, to przede wszystkim sama Coco Chanel, symbol postępowej kobiecości, historia mody, zatem i historia świata.

Kto patrzy, ten widzi: podczas zamachu na Johna Kennedy'ego w Dallas, Jackie Kennedy ma na sobie kostium Chanel. Simone Veil, francuska minister zdrowia, podpisuje w 1974 roku ustawę aborcyjną ubrana w marynarkę firmy Chanel. To przełomowy moment, a i marynarka nie przypadkowa, bo czy to nie Coco Chanel jako pierwsza przełamała coś, czego nikt przed nią nawet nie odważył się tknąć? Czy to nie ona sięga po elementy męskiej garderoby: duże kieszenie, proste linie, i wreszcie, czy to nie ona przetransportowuje je do damskich marynarek z jerseyu? I to wszystko jeszcze przed pierwszą wojną światową.

A teraz ten symbol przejmuje w swoje ręce Niemiec, niejaki Karl Lagerfeld bez „t" w końcówce. Co to będzie? Co to będzie? Na razie nic, nowy dyrektor daje sobie czas. I oto jest coś, czego nikt się nie spodziewa, pokaz mody w 1986 roku, a na nim zaskakująca kolekcja, niby jak u Chanel, a jednak nie, bo to Chanel à la Lagerfeld. Wspaniała, posągowa mierząca 183 centymetrów wzrostu Inès de la Fressange, pierwsza muza Karla w Chanel, prezentuje marynarki z kieszeniami obszytymi futrem, błyszczy się, świeci, na jej szyi perły, długie naszyjniki. „Wybudziłem Chanel ze stuletniego snu", mówi Lagerfeld. Owacje, owacje, nieskończone owacje. Do dzisiaj. Coś się wtedy wydarzyło, coś ważnego się stało, dało asumpt do przełamania nowego, niewyobrażalnego. Marynarka plus jeansy i buty na wysokim obcasie, czemu nie? „Trzy elementy, które nigdy nie wyjdą z mody: jeans, biały T-shirt i marynarka Chanel". Od pierwszej

kolekcji cały świat mody czeka na kolejne Chanel, Fendi i firmy Lagerfeld, bo i taka marka powstała.

Kolekcji przybywa, zmieniają się muzy. Pierwsza, znacząca, już w 1972 roku, to Donna Jordan, następne – Paloma Picasso, Inès de la Fressange i, oczywiście, Claudia Schiffer, a w ostatnich latach także polska gracja – Anja Rubik. „Wspaniała – mówi o niej Lagerfeld. – Wspaniała, wysokie kości policzkowe, przepiękne nogi, aż trudno sobie wyobrazić, jakie piękne są te jej nogi, i ta nieskończenie długa szyja, i te plecy, pięknie wygląda w głęboko wyciętych sukniach. Szczupła, bardzo szczupła, niesamowicie szczupła". No właśnie, szczupła, kolejny gorący temat. Wciąż powtarza, że puszystych kobiet nikt na wybiegu nie chce oglądać. Twierdzi też, że to otyłość jest dzisiaj głównym problemem cywilizacji, bo przecież nie ludzie szczupli. Szczupłych ludzi już prawie nie ma i w tym dopatruje się głównej przyczyny, dlaczego francuska służba zdrowia nie może związać końca z końcem. Ostatnio znów naraził się „puszystym" kobietom, które dopatrzyły się w jego sformułowaniach dyskryminacji i skierowały sprawę do sądu. Co z tego wyniknie? Dla Lagerfelda kolejny mały skandal i wzmianki w prasie, dla puszystych kobiet chyba znów nic. Prowokacje, skandale, coś, z czego taki ktoś, jak on, żyje. Jak ich nie ma, sam je podsuwa. Od śmierci przyjaciela przybrał sporo na wadze. Coś trzeba z tym wreszcie zrobić. Po radykalnej diecie, o której napisał nawet książkę, chudnie ponad 40 kilogramów, powód? „Cóż, weszła ta nowa linia Hediego Slimane'a dla Diora, co to trzeba było być szczupłym, żeby się w nią zmieścić. Te ubrania mówiły: 'Chcesz nas? Musisz wrócić do normalnego rozmiaru'. Więc zrzuciłem ponad czterdzieści kilo i nigdy ich nie odzyskałem". Odrzucił wachlarz, za którym chował tłuste fałdy i zastąpił go nowym stylem, zmartwychwstał w wysokim białym kołnierzu, czarnej marynarce i przynajmniej 26 pierścieniach na palcach, okutych w rowerowe rękawiczki: „Chociaż kiedy spojrzysz na moje zdjęcia z dzieciństwa, zauważysz, że wyglądałem tak jak teraz. Nigdy się nie zmieniam". Najpóźniej od roku 2000 każdy wie, jak wygląda Lagerfeld, jest marką we własnej osobie, natychmiast rozpoznawalną.

PAP

Jestem Lagerfeld

A tak poza tym, jak zwykle pracuje, wciąż zajęty, coraz bardziej zajęty. Od ponad dwudziestu lat robi przecież zdjęcia, dużo, dużo zdjęć. „Przez przypadek" znużony przygotowaniami i wiecznym czekaniem na fotografa bierze aparat do ręki i sam zabiera się do roboty. Parę lat później odbiera prestiżową nagrodę Kulturpreis der Deutschen Gesellschaft für Photographie. „Fenomen, *receiver* informacji – zachwyca się nim od lat szefowa amerykańskiego wydania „Vogue'a", Anna Wintour. – Do tego posiada fenomenalną pamięć". Lagerfeld sam o sobie mówi „uczeń Spinozy" i podkreśla, że jest po prostu niezwykle zdyscyplinowany, sypie kolejnym aforyzmem i zamyka dyskusję zdaniem, że tak w ogóle to przecież jest normalny. Wieloletnia redaktor naczelna niemieckich wydań „Vogue'a" i „Cosmopolitan", Charlotte Seeling, dodaje, że jego geniusz to rozdwojenie jaźni, dzięki której potrafi wślizgnąć się w każdą rolę. Sam wielki Martin Walser zapytany przez dziennikarza, kto według niego bardziej nadaje się na bohatera jego książek: Boris Becker czy Karl Lagerfeld, odpowiada bez wahania, że oczywiście pełen sprzeczności, skomplikowany i niełatwy w analizie Lagerfeld.

Natomiast kanadyjski reżyser Bruce LaBruce, któremu projektant udziela wyjątkowo długiego wywiadu, wysuwa tezę, że być może Karl cierpi na zespół Aspergera, rzadką odmianę autyzmu, ujawniającą się pod postacią geniuszu. „Dokładnie taki jestem – pada natychmiastowa odpowiedź z jego strony. – Jako dziecko pragnąłem tylko szybko dorosnąć. Chciałem wiedzieć wszystko – nie, nie po to, aby potem się z tym obnosić, o tym opowiadać. Nienawidzę intelektualnych rozmówek z intelektualistami, ponieważ interesuje mnie tylko moje własne zdanie, ale bardzo lubię czytać o abstrakcyjnej konstrukcji umysłu".

Wywody o sobie samym zbliżają go bardzo do tego, o czym mówił już Martin Walser: „Jestem abstrakcją, marionetką, którą manipuluję sam. (...) Problemy ziemskie niemal mnie nie dotyczą, ale proszę już we mnie nie wiercić, nie jestem *polem naftowym*, jestem *Lagerfeld*".

Magdalena Parys
pisarka i tłumaczka, autorka powieści „Tunel" (Warszawa 2011), mieszka w Berlinie.

Zygmunt Januszewski

Andrzej **Paczkowski**

Neue europäische Erinnerungslandschaft

Der Zweite Weltkrieg ist nicht mit einfachen oder eindeutigen Interpretationen zu verstehen. Können wir Europäer ihn also mit einer gemeinsamen Erinnerung erfassen? Verläuft die Teilung dieser Erinnerungen tatsächlich entlang einer „Ost-West-Linie"?

Der Begriff „Erinnerung" im hier verwendeten Kontext kann verschieden verstanden werden, und er wird es auch häufig, obwohl seine verschiedenartigen Bereiche nicht unterschiedlich sein müssen, sondern sich ganz im Gegenteil teilweise decken können. Der Begriff kann sowohl „öffentliche Erinnerung" als auch „alltägliche Erinnerung" (was dann individuellen Charakter hat) bedeuten. Letztere kann wiederum – der Typologie Jan Assmanns folgend – „kommunikativ" sein, also beispielsweise durch einen Zeugen des Ereignisses übermittelt, oder „kulturell", also aus mehr oder weniger institutionellen Quellen stammend. Wenn man dagegen alle bewussten Vergangenheitsbezüge berücksichtigt, die im kollektiven Leben stattfinden, sollten wir auch das Wissen, also Geschichte als wissenschaftliche Disziplin, mit einbeziehen. In einem seiner Bücher hat Henry Rousso, der führende französische Erforscher dieser Problematik, auf vier Institutionen hingewiesen, die die Erinnerung an den Zweiten Weltkrieg „produzieren": den Staat, die Verbände (vor allem die der Kombattanten), die Kultur – insbesondere die Medien – sowie eben die Wissenschaft.

Wir sollten uns also entscheiden, von welcher Erinnerung wir sprechen. Ich glaube, es geht vor allem um die „öffentliche Erinnerung", die über Schulbücher, Jubiläumsfeiern, Denkmale, Museen, Straßennamen, Filme oder Bücher (sowohl Romane als auch Monografien) vermittelt wird. Soziologen und Anthropologen befassen sich aber insbesondere damit, wie sich Vergangenheit im Individuum niederschlägt: Was erinnert Frau X oder Herr Y aus der Vergangenheit und was weiß sie/er denn auf der Grundlage der unterschiedlichsten Quellen über diese. Wie bewerten sie die einzelnen Ereignisse und ihre Protagonisten, welches Verhältnis haben sie zur kollektiven Vergangenheit, zu der sie selbst gehören, oder zur Vergangenheit der Kollektive, mit denen sie dank der so engmaschigen Erinnerung in Berührung gekommen sind, darunter zur Vergangenheit der „anderen", der Fremden, ja sogar der Feinde. Man sollte sich, wie ich meine, bewusst machen, dass wir es häufig mit Diskrepanz, sogar mit Konflikten, zwischen den verschiedenen Arten von Erinnerung zu tun haben, aber auch zwischen diesen (oder jeder von ihnen) und der Geschichte als Wissenschaft. Es kann also ein echtes „Bermudadreieck" entstehen, in dem wir überraschenderweise untergehen.

Andrzej Paczkowski

Agencja Gazeta

Wenn ich die von den Organisatoren unseres Treffens vorgeschlagene Teilung richtig interpretiere, befinden sich Griechenland und Finnland in West-, Slowenien und Tschechien aber in Osteuropa. Diese Teilung hat historischen Charakter und betrifft das 20. Jahrhundert, genau genommen nur seine zweite Hälfte, denn in der Realität der *longue durée* gab es andere Teilungen, zum Beispiel solche, in denen Athen im Osten lag, Prag dagegen im Westen. Genauso wie es uns die Geografie lehrt.

Viele Wissenschaftler glauben, dass, obwohl es nach 1945 an gewaltsamen Ereignissen oder solchen, die in bedeutendem Maße den Lauf der Geschichte verändert haben, gefehlt hat, in der kollektiven Erinnerung der meisten europäischen Nationen nach wie vor der Zweite Weltkrieg einen zentralen Platz einnimmt (oder zumindest eine Schlüsselrolle spielt). Was war er also?

Wenn man eine Bilanz der Reichweite und Intensität des staatlichen Terrors der beiden europäischen totalitären Mächte mit dem Stichtag 31. August 1939, also dem Vortrag des Krieges, zöge, würde sie eine deutliche Disproportion zwischen dem Dritten Reich und der Sowjetunion aufweisen. Die Brutalität und Rücksichtslosigkeit bei der Unterordnung der Gesellschaft, der Vernichtung der politischen Gegner, der Enteignung und Verfolgung der Juden oder „unwerten Lebens" hatten zur Folge, dass seit der Machtergreifung durch die Nazis wahrscheinlich fast 10.000 Menschen ermordet wurden oder in Gefängnissen und Lagern starben. Im Laufe der sechs Jahre seit Hitlers Machtübernahme durchliefen etwa 170.000 deutsche Staatsbürger die Konzentrationslager. Dagegen wurden in der Sowjetunion, also in der von Stalin beherrschten Heimat des Weltproletariertums, allein im Laufe einiger weniger Monate, vom Juli 1937 bis zum November 1938 – wie die Mörder selbst mit äußerster Präzision (vielleicht auch im Einklang mit der Realität) berechneten – 681.691 Personen erschossen; Anfang 1935 befand sich beinahe eine Million Menschen in Lagern und alleine im Jahre 1937 kamen 700.000 weitere Gefangene hinzu. Die Sowjetunion hörte weder dann mit der Politik des massenhaften Terrors gegen eigene und fremde Bürger auf, als sie Bündnispartnerin Deutschlands war (um hier nur das Verbrechen von Katyń zu nennen, also die Erschießung von etwa 22.000 polnischen Staatsbürgern im Frühjahr 1940 innerhalb von nicht einmal zwei Monaten), noch als sie auf Leben und Tod gegen das Dritte Reich kämpfte, und auch nicht noch später, als die Rote Armee in Richtung Berlin und Wien drängte.

Der Zweite Weltkrieg änderte jedoch in hohem Maße die bisherigen Proportionen. „Der Nationalsozialismus verhieß", schrieb François Furet, „bevor er durch Verbrechen seinen Ruf ruinierte, große Hoffnungen. Er bezauberte Millionen Menschen, darunter viele Intellektuelle." Diese Bezauberung endete, wenngleich ich nicht sicher bin, ob das endgültig nicht erst nach der Niederlage des Dritten Reichs geschehen war. Um zu begreifen, worauf dieser Wandel sich gründete, reicht es, daran zu erinnern, dass allein von Mitte September bis Ende Dezember 1939 Einheiten der Wehrmacht sowie Spezialeinheiten von Militär und Polizei gewiss zwischen 40.000 und 50.000 Polen erschossen, also um ein Vielfaches mehr als im gesamten Dritten Reich im Laufe von sechs Jahren ermordet worden waren. 1940 wurden dann in Deutschland (in seinen neuen Grenzen) etwa 70.000 psychisch und unheilbar Kranke ermordet. Ganz unschuldig nannte man das Aktion T 4. Aber all das zusammen war doch nur der Prolog zu dem Mitte 1941 begonnenen Holocaust ...

35 Millionen, 40 Millionen, vielleicht sogar 45 Millionen in den Kämpfen und Bombardierungen Getötete, mit einem Schuss in den Hinterkopf oder einem Axthieb Ermordete, in deutschen Vernichtungslagern Vergaste und Verbrannte, „um ein abschreckendes Beispiel zu geben" öffentlich Aufgehängte oder Erschossene, Verhungerte oder Erfrorene. Historiker und Demografen streiten um die Zahlen. Zahlen sind wichtig, weil sie die Reichweite zeigen, weil sie erlauben, sich die ungeheuren Ausmaße der Katastrophe zu veranschaulichen (vielleicht die größte seit der Zeit, als die Dinosaurier ausgestorben sind). Für uns ist aber vor allem wichtig, dass dieser Krieg ein Sammelsurium von Ereignissen, geplanten oder zufälligen situativen Wendungen, sich ändernden Fronten, geschlossenen und wieder aufgekündigten Bündnissen war. Obwohl es einige europäische Staaten gab, die sich am Rande dieser Ereignisse befanden, unter anderem Portugal, Schweden oder die Schweiz, stand beinahe der gesamte Kontinent vom Nordkap bis Kreta und von Canterbury bis Leningrad in Flammen. Europa stand in Flammen, aber können wir von einer „europäischen Erinnerung" an den Zweiten Weltkrieg sprechen?

Am einfachsten ist es sicher, sie aus dem Blickwinkel der großen Feldzüge und Schlachten zu suchen, vom „Polenkrieg" im September 1939 über den Blitzkrieg vom Frühjahr 1940 und die Luftschlacht um England, über die Operation „Barbarossa" aus der zweiten Hälfte des Jahres 1941 oder den „D-Day" drei Jahre später bis zur finalen Erstürmung Berlins. Letztlich wurde die Erinnerung an den Ersten Weltkrieg in hohem Maße deshalb gezähmt, „domestiziert", weil sich dieser Krieg vor allem aus großen Schlachten zusammensetzte, die sich an den Fronten abspielten, nicht aber auf den kompletten Territorien der an ihm beteiligten Staaten. Der Zweite Weltkrieg war aber nicht nur

Zweites Symposium „Europäisches Gedächtnis" in Berlin

Der Aufbau eines Netzwerks für gegenseitigen Austausch von Erfahrungen, zur Unterstützung und Inspiration von Initiativen, die sich für ein besseres Verständnis unterschiedlicher Perspektiven bei der Wahrnehmung der Geschichte Europas einsetzen – dies war das primäre Anliegen des zweiten Symposiums „European Remembrance" (Das Gedächtnis Europas), das vom 10.–12. Oktober 2013 in Berlin stattgefunden hat. Die Teilnehmer – Vertreter von ca. 120 Institutionen und Nichtregierungsorganisationen aus 23 Ländern – teilten die Ansicht, Europa bedürfe einer systematischen Reflexion über die Geschichte des vergangenen Jahrhunderts, einer Reflexion, die unterschiedliche Wahrnehmungen und Interpretationen historischer Erfahrungen berücksichtige. Die Idee zu solch einer Auseinandersetzung mit der Geschichte und zum Erfahrungsaustausch wurde zum ersten Mal während des Symposiums 2012 in Danzig ins Leben gerufen. Der Veranstaltungsort der kommenden Konferenz wird im Jahr 2014 Prag sein. Veranstalter des jährlichen Symposiums sind das Europäische Netzwerk Erinnerung und Solidarität (ENRS), die Bundesstiftung zur Aufarbeitung der SED-Diktatur sowie das Europäische Solidarność-Zentrum (Danzig). Das diesjährige Symposium konzentrierte sich auf die Rolle der internationalen Zusammenarbeit hinsichtlich der Bildung einer europäischen Erinnerungskultur. Eröffnet wurde die Konferenz durch die Auftritte von Keith Lowe – einem britischen Historiker und Schriftsteller sowie Autor des Buches „Savage Continent" – und Prof. Andrzej Paczkowski vom Institut für Politische Studien der Polnischen Akademie der Wissenschaften und Collegium Civitas. Beide Historiker referierten über die verschiedenen Arten der Gedächtnisbildung und der Erinnerung an historische Ereignisse in Ost- und Westeuropa. Während des dreitägigen Symposiums fanden Diskussionen sowie Vorträge von Historikern und Forschern statt, die sich mit der Erforschung der Erinnerung an das 20. Jahrhundert befassen, darunter Prof. Gesine Schwan, Prof. Dan Diner und György Dalos. Weitere Informationen unter: www.europeanremembrance.enrs.eu

ein totaler Krieg, sondern er bestand neben den großen auch aus unzähligen „kleinen Fronten"; er weckte in Hunderttausenden Menschen die niedrigsten Instinkte von einer unvorstellbaren Dimension, löste Aggressionsreflexe, Mordlust, Rach- und Revanchesucht für tatsächliche oder eingebildete Verfolgungen aus. Es geschah im Rahmen eben eines solchen Krieges, dass die kroatische Ustascha Hunderttausende Serben, Juden und Bosniaken ermordete, und ukrainische Nationalisten in den Jahren 1943–1944 eine „ethnische Säuberung" betrieben, indem sie über 100.000 Polen in Wolhynien und Ostgalizien umbrachten.

Das war viel mehr als die Sowjets im Zuge des Verbrechens von Katyń getötet hatten. Aus den Händen polnischer Bauern kamen oftmals wegen eines Kilos Zucker oder eines Liters Wodka, die sie von einem deutschen Polizisten erhielten, einige Zehntausende Juden um, die aus den „liquidierten" Ghettos geflohen waren, viele andere übergab man den deutschen Schergen. In den Bergen Serbiens und Bosniens griffen die kommunistischen Partisanen Titos gnadenlos die monarchistischen Partisanen von Drascha Mihailowitsch an, und Ende 1944 entflammte, als sich dort noch deutsche Soldaten befanden, der Bürgerkrieg in Griechenland. Hunderttausende verbündete italienische Soldaten, im Grunde Überlebende von der Ostfront, sperrten die Deutschen in Gefangenenlager, als im August 1943 die Wende vollzogen und Mussolini gestürzt wurde, aber in Norditalien griffen die Partisanen häufiger Einrichtungen der einheimischen Faschisten an als solche der deutschen Besatzer. Auf deutscher Seite kämpften „nationale" SS-Divisionen der besetzten Staaten – unter anderem eine flämische und eine wallonische –, während sich die Regierungen in der Emigration in London aufhielten und die von ihnen gelenkten Widerstandsbewegungen im Land selbst zu agieren versuchten. Sogar die Neutralen wahrten nicht immer ihren Status. Die spanische Blaue Division erfror im Schnee Zentralrusslands und die Schweizer Banken nahmen gerne das von den Deutschen in den geschlagenen Ländern geraubte Gold entgegen. Man schätzt, dass über eine Million Sowjetbürger, vor allem unter den Kriegsgefangenen, in Militär- und Hilfsformationen des Dritten Reiches dienten. Eine von ihnen zeichnete sich im Sommer 1944 während der Niederschlagung des Warschauer Aufstands durch ihre Bestialität aus. Ohne die von den Widerstandsbewegungen oder Partisanen verübten Attentate miteinzubeziehen, wurden die ersten Todesurteile für Kollaborateure im Jahre 1943 gefällt – in Krasnodar, in der befreiten Ostukraine und im von den Alliierten besetzten Algier. Einige Bündnispartner Hitlers wie Rumänen oder Ungarn verbluteten am Don und an der Wolga, andere wie die Bulgaren erklärten der Sowjetunion nicht einmal den Krieg. Im Jahre 1944, als die amerikanischen GI's nicht nur an den Stränden der Normandie fielen, sondern auch auf den Inseln und in den Gewässern des Pazifiks, respektierte Stalin konsequent den Nichtangriffspakt mit Japan. Bis zum August 1945.

Wahrlich, es war wohl nichts in diesem Krieg leicht oder eindeutig. Können wir ihn also mit einer gemeinsamen Erinnerung erfassen?

Verläuft die Teilung dieser Erinnerungen tatsächlich entlang einer „Ost-West-Linie"? Sicher ist, dass die deutsche Besatzung und der von Deutschland geführte Krieg im Osten deutlich grausamer und bestialischer waren als im Westen des Kontinents. Die Polen wundern sich immer noch, dass Jean-Paul Sartre (und nicht nur er) im besetzten Paris seine Stücke publizierte und aufführte. Meistens ist das eine eher dem französischen Philosophen gegenüber negative Verwunderung als gegenüber den Deutschen. Im formal besetzten Dänemark fanden 1943 reguläre Parlamentswahlen statt, die die Sozialdemokraten gewannen und bei denen die dänischen Nazis gerade einmal drei Prozent der Sitze erhielten. In Frankreich wurde Oradour in Brand gesteckt und die meisten Einwohner umgebracht, aber in Polen und Weißrussland traf das gleiche Schicksal Hunderte von Dörfern sowie ihre Einwohner und Warschau wurde im Herbst 1944 dem Erdboden gleichgemacht, zu einem Zeitpunkt, als die aufständischen Kämpfe aufgehört hatten und die Stadt komplett menschenleer war.

Somit ist jene von Winston Churchill in seinem berühmten Ausspruch vom „Eisernen Vorhang", der von Stettin bis Triest verlaufe, abgesteckte Teilung im Grunde nicht anwendbar auf das, was während des Krieges östlich des Deutschen Reiches geschehen ist, weil die Teilung damals rassisch-ethnischen Charakter hatte, und keinen politischen. Die deutschen Truppen verhielten sich weder in der Slowakei noch in Ungarn noch in Rumänien mit besonderer Brutalität. Ihre Opfer waren Millionen slavischer „Untermenschen" (ausgenommen ihre Verbündeten), vor allem aber Juden (sowie Sinti und Roma), die sich noch weiter unten befanden. Im Grunde waren sie ein Nichts.

Vielleicht ein genauso wichtiger weiterer Grund für die Andersartigkeit der Erfahrungen aus jener Zeit – und somit auch der Erinnerung – in Ost und West ist die Tatsache, dass die „Bloodlands", die „Länder zwischen Stalin und Hitler" (eher vielleicht: die unter der Herrschaft von Stalin und Hitler), wie sie Timothy Snyder bezeichnet hatte, während des Krieges nicht von einer, sondern von zwei Besatzungen betroffen waren und nicht nur die Deutschen, sondern auch die Sowjets das Blut ihrer Einwohner vergossen hatten. Wilna, eine polnisch-jüdische Stadt, wurde im September 1939 von der Roten Armee an sich gerissen, im Oktober Litauen überlassen, das im Juli 1940 in die Sowjetunion eingegliedert wurde. Es befand sich ein Jahr später unter deutscher Besatzung, um nach drei Jahren in den Schoß des „sowjetischen Vaterlandes" zurückzukehren (natürlich ohne die ermordeten Juden). Für die Wilnaer Polen (im Jahre 1939 waren es 130.000 von 200.000 Einwohnern) bedeutete dies, dass sich innerhalb von fünf Jahren viermal der Besatzer änderte. In der ersten Phase des Krieges, von September 1939 bis Juli 1941, ermordeten die Sowjets in den Gebieten, die etwa die Hälfte der Fläche des polnischen Staates ausmachten, wohl nicht weniger als 40.000 bis 50.000 Personen (allein über 10.000 davon wurden während der Evakuierung der Gefängnisse nach dem Angriff des Dritten Reiches umgebracht). Mehr als eine halbe Million Menschen wurde nach Sibirien oder Kasachstan deportiert (mindestens 5–10 Prozent von ihnen starben). Für Finnland, Estland, Lettland, Litauen und Rumänien – also für die westlichen Nachbarn der Sowjetunion – begann der Zweite Weltkrieg im Grunde mit der sowjetischen Aggression oder Besatzung. Für Polen war dagegen die Teilung des Staates im September 1939 sein Anfang. Diese Zweischichtigkeit der Ereignisse in den „blutigen Ländern" ist bis heute ein wichtiges (und sensibles) Element der „östlichen Erinnerung".

Infolge dieser Vielschichtigkeit, aber auch als Ergebnis der Spezifik der individuellen „alltäglichen Erinnerung" können die Resultate einer vor Kurzem durchgeführten polnischen Studie zur Erinnerung an den Zweiten Weltkrieg, die zum 70. Jahrestag seines Ausbruchs durchgeführt wurde, zu einer echten Konfusion führen. Aus dieser Untersuchung geht nämlich hervor, dass man „schlechte" oder „sehr schlechte familiäre Erinnerungen" nicht nur die an die Russen (eigentlich: die Sowjetbürger) (nämlich 57 Prozent der Befragten) und die Deutschen – 62,6 Prozent – hat, sondern auch an die Ukrainer – 63,8 Prozent. Während wir die Ziffern für die Russen

(Sowjets) und Deutschen für normal halten können, verlangt die Position der Ukrainer eine Überlegung. Deutsche und Russen (bzw. die Soldaten der Roten Armee) haben länger oder kürzer das gesamte polnische Territorium besetzt gehalten, somit war die Begegnung mit ihnen eine allgemeine Erfahrung. Mit den Ukrainern hatte aber nur ein Teil – sicher nicht mehr als 20-25 Prozent – der Polen unmittelbaren Kontakt, dennoch aber bekunden so viele ihre schlechten „familiären Erinnerungen".

„Unser Land braucht nicht die Wahrheit. Das, was man ihm geben muss, sind Hoffnung, Einheit und ein Ziel", sagte General de Gaulle 1969 als Kommentar zu dem berühmten Dokumentarfilm „Das Haus nebenan" von Marcel Ophüls, der über Konformismus und Kollaboration im Frankreich des Marschalls Pétain erzählt. Versuchen wir mit unseren Arbeiten den Worten des großen Franzosen, des einzigen europäischen Führers, von dem ein Denkmal in Warschau steht, zu widersprechen. Kümmern wir uns sowohl um die Wahrheit als auch um Hoffnung, Einheit und ein Ziel.

Ich denke, das ist das Ergebnis der schon erwähnten Mechanismen einer „alltäglichen Erinnerung", weil die polnische Öffentlichkeit seit vielen Jahren über die von den ukrainischen Nationalisten durchgeführten „ethnischen Säuberungen" informiert wird, die sehr oft einfach nur „wolhynisches Blutbad" genannt werden. Ich sage nicht, die Ergebnisse dieser Untersuchung sollten für ungültig erklärt oder übergangen werden, aber sie zeigen, wie überlegt die Annäherung an die Erinnerung als Quelle des Wissens über die Vergangenheit sein müsste.

Wie soll man also diese Tatsache – und die Ergebnisse einer Untersuchung sind eine gesellschaftliche Tatsache – in die „europäische Erinnerung" einreihen? Kann man einfach anerkennen, dass jede Nation ihre Leichen im Keller hat, aber lieber in den ihres Nachbarn schaut als sich mit den eigenen zu beschäftigen?

Ein wesentliches Element der Kluft zwischen der „Erinnerung des Ostens" und der „Erinnerung des Westens" entstand auch in Verbindung mit den Ereignissen der Endphase des Krieges und der Anfänge der Nachkriegszeit, die Keith Lowe so geistreich in „The Savage Continent" beschrieben hat. Bei all dem Chaos, das damals einen bedeutenden (und wohl den größeren) Teil Europas erfasste, unterstützten sowohl in Polen als auch in Rumänien, Ungarn und Bulgarien (und natürlich auch in Ostdeutschland) die Rote Armee und die sowjetischen Sicherheitsdienste direkt, ganz physisch, die kommunistischen Minderheitengruppierungen und bahnten ihnen den Weg zur Herrschaft. Dabei bot ihnen Stalin einen „Schirm" in den Beziehungen zu den Alliierten. Dort, wo die Kommunisten über eine ausreichende eigene Macht verfügten – wie in Jugoslawien oder Albanien – war keine Unterstützung nötig. Selbstverständlich gibt es keine Regel ohne Ausnahmen. Auf eine von ihnen hat Keith Lowe in seinem Buch hingewiesen: den Fall Griechenland, wo zunächst Großbritannien und später die Vereinigten Staaten den Monarchisten (und ganz allgemein der Rechten) entscheidend bei der Bezwingung der kommunistischen Partisanen behilflich waren. Diese wiederum wurden aus Rücksicht auf die pragmatische Politik Stalins verhältnismäßig bescheiden und indirekt (durch Waffen, Transportmittel, Lebensmittel) von den Staaten unterstützt, die sich auf dem Wege zur Sowjetisierung befanden; darunter auch von Polen. Man kann zwar nicht empirisch belegen, dass die „griechische Reaktion" nicht selbst mit den Partisanen fertiggeworden wäre, aber es war auch möglich, dass die Kommunisten den Bürgerkrieg gewonnen hätten. Dagegen gehört ein Scenario, wonach die französischen oder italienischen Kommunisten einen Bürgerkrieg hätten auslösen und gewinnen können, es aber nicht schafften, weil ihnen die Anwesenheit britischer und amerikanischer Truppen im Wege stand, doch eher zur *political fiction*.

Es ist dagegen keine *political fiction*, dass eine von mehreren Divisionen der inneren Truppen des NKWD, die in Polen stationiert waren, zwischen Oktober und Dezember 1944 über 50.000 Personen verhaftete. Es stimmt auch, dass bis zum Mai 1945 der NKWD sowie Einheiten der sowjetischen Spionageabwehr („Smersch") über 30.000 Soldaten und Offiziere der Heimatarmee im Untergrund verhafteten und in Gefangenenlager schickten. In diesem Lagern saßen die polnischen Soldaten dann neben Deutschen, Ungarn, später auch Japanern. Es war auch keine *political fiction*, dass die Führung der polnischen Untergrundbewegung (darunter der formelle stellvertretende Ministerpräsident) im März 1945 zu politischen Gesprächen eingeladen, nach Moskau gebracht und drei Monate später in einem Schauprozess verurteilt wurden. Zwar wurde keiner der Angeklagten zum Tode verurteilt, aber drei von ihnen starben in sowjetischen Gefängnissen. Extreme Brutalität in Verbindung mit operativer Finesse zeichnete die sowjetischen Aktivitäten auch in Budapest, Bukarest oder Sofia aus. Und dann gab es da noch den die Züge einer Pazifizierung annehmenden, bis zum Ende der 1940er Jahre andauernden Partisanenkrieg in den ehemaligen polnischen Ostgebieten, die in die Sowjetunion eingegliedert worden waren (also in den westlichen Teilen der Ukraine und Weißrusslands), in Litauen und Lettland. In ihm kamen Zehntausende Zivilisten und Partisanen um, einige Hunderttausende Personen wurden deportiert. Ein ähnlicher Krieg fand damals auch in Polen statt. In einem beträchtlichen Teil der „Bloodlands" bedeuteten die ersten Nachkriegsjahre auch die zwangsweise oder erzwungene Umsiedlung von Millionen Menschen – vor allem von Deutschen, aber auch von Polen (etwa 1,5 Millionen), Ukrainern und Ungarn. Die Migrationen dieser Art sparten den westlichen Teil des Kontinents eigentlich komplett aus.

Wenn Tony Judt recht hat, dass eben in den Jahren 1945–1948 „die Nachkriegserinnerung Europas geformt wurde", dann haben wir ein Problem damit, wie jetzt eine „europäische Erinnerung" betrieben werden soll: Die einen werden über die anglo-amerikanische Aggression reden, für andere sind der Imperialismus und die Brutalität der Sowjets der Bezugspunkt.

Der Zweite Weltkrieg war extrem traumatisch, die Ereignisse liefen blitzschnell ab, er dauerte aber verhältnismäßig kurz. Der zur Gänze 1947 ausgebrochene Kalte Krieg in Europa war gewissermaßen sein Gegenteil: Auf eine Zeit von bis zu vierzig Jahren in die Länge gezogen, verlief er ohne spektakuläre militärische Ereignisse, es kamen verhältnismäßig wenige Menschen ums Leben (wenngleich es Tote gab, die meisten 1956 in Ungarn). Seit Mitte der 1950er Jahre dominierte die meiste Zeit über eine Politik der „Koexistenz", der Vermeidung offener Konflikte, es tauchten sogar Konzepte einer Konvergenz der Systeme oder Parolen wie „Europa vom Atlantik bis zum Ural" auf. Aber eben jener „Krieg ohne Krieg" war die Ursache dafür, dass sich die Teilung des Kontinents verfestigte und die Völker, die sich hinter dem Eisernen Vorhang befanden, mit den Worten Furets „in einem Maße vergessen wurden, dass sie (...) nur noch Orientierungspunkte auf dem Weg zum sowjetischen Sozialismus waren".

Jeder Teil Europas besaß nicht nur seine separaten kurz- oder langfristigen Interessen, sondern auch deutliche Unterschiede in den Wertesystemen. Es scheint, als ob die eine Seite die andere so gut wie gar nicht verstanden hätte. Millionen Franzosen und Italiener stimmten für kommunistische Parteien, aber irgendwie versuchte keiner von ihnen sich ins Lager des Sozialismus zu begeben und dort zu leben. Währenddessen flohen Hunderttausende Ungarn im Jahre 1956 und Tschechen im Jahre 1968 – ganz zu schweigen von den Deutschen – auf die andere Seite des Eisernen Vorhangs und das Rinnsal von Flüchtlingen aus Polen, Bulgarien oder Litauen floss die ganze Zeit. Es flohen berühmte Sportler und Musiker, Dichter und Ingenieure. Die Menschen aus dem „Osten" erweiterten eben in der Phase des Kalten Krieges den Bereich des *American Dream*, der unter ihnen Ende des 19. Jahrhunderts so lebendig gewesen war, in einen *European Dream*, der heute eine ausschließlich ökonomische Dimension hat, die ganzen Jahre lang aber auch einen politischen Traum in sich trug: Dort zu sein, wo es Freiheit gibt. Wenngleich es nicht an solchen fehlte, die nach Wegen suchten, um die Freiheit bei sich zu Hause einzuführen, gab es unvergleichlich mehr von denen, die ganz einfach in die Freiheit zu fliehen versuchten.

Die Polen oder Bulgaren interessierten sich im Grunde wenig für die Dramen und Wechselfälle der Franzosen oder Engländer, die den Prozess der Entkolonialisierung schmerzhaft durchlebten. Die „schmutzigen Kriege" in Kenia oder Algerien, die Existenz (und der Zusammenbruch) der autoritären Regime in Portugal und Spanien oder der Putsch der griechischen „schwarzen Obristen" waren für sie ganz weit weg. Die meisten Menschen „aus dem Osten" nahmen sicherlich komplett leidenschaftslos und ohne nachzudenken die ihnen von der staatlichen Propagandamaschinerie servierten propagandistischen Blaupausen entgegen. Die fortwährende Präsentation der Vereinigten Staaten als „Hort der Reaktion" und „Gendarm des Imperialismus" sowie der westlichen Kultur als Frucht der „verrotteten Bourgeoisie" bewirkte nicht, dass die jungen Leute ihre Träume, Jeans zu besitzen, und ihre Lust, Elvis Presley oder die Beatles zu hören, aufgaben. Gewiss gab es in Frankreich oder Italien mehr Menschen mit antiamerikanischer Einstellung als in Ungarn oder Estland. Dann weckten die Tragödien des ungarischen Aufstands von 1956, des erstickten „Prager Frühlings" von 1968 oder der unterdrückten Revolte an der polnischen Ostseeküste im Jahre 1970 im Westen Gefühle der Anteilnahme und Reaktionen der Sympathie, zugleich aber vertieften sie die Überzeugung, dort sei das „Andere Europa"; falls es überhaupt noch Europa sei, und nicht einfach das Fragment eines gigantischen, ideologischen Imperiums. Beinahe alle – Menschen wie staatliche Institutionen – konzentrierten sich auf das Streben nach Wohlstand und technologischen Innovationen und die große Herausforderung der europäischen Integration, die ja schon im Jahre 1957 voll und ganz in Angriff genommen worden war, verschlang einen bedeutenden Anteil an Energien und Emotionen.

Es ist dabei schwierig, gemeinsame Punkte abzustecken, umso mehr als die Grenze nicht entlang einer Linie verlief, die „Ost" von „West" trennte. Bei ihrer Festlegung hat auch die weniger universale, aber doch bedeutsame Aufteilung „links" – „rechts" ihren Anteil. Im August 1980 gab es bestimmt viele jener „Westeuropäer", die nicht verstanden, warum die streikenden polnischen Arbeiter einen Priester zu sich einluden und an den Toren der Werft statt der Porträts von Marx und Engels Bilder der Gottesmutter Maria und Papstfotos hingen. Diese Aufteilung hat dauerhaften Charakter: Als im Jahre 1997 in Frankreich das „Schwarzbuch des Kommunismus" mit einer ausgewogenen, aber nicht leidenschaftslosen Beschreibung der im Namen der Ideologie, die vielen totalitären Staaten von Pjöngjang und Peking bis Moskau und Havanna zugrunde lag, begangenen Verbrechen erschien, wurden in der Pariser Presse Stimmen laut, es sei in einer Zeit, in der auf den französischen Straßen „die Stiefel der Kommandos von Le Pen knallen", nicht erlaubt, schlecht über den Sozialismus zu sprechen. Noch vor einigen Monaten veröffentlichte die New Yorker marxistische Zeitschrift „Socialism and Democracy" den Aufsatz eines amerikanischen Professors, der nachweisen wollte, das „Verbrechen von Katyń" sei die Erfindung antisowjetischer und antikommunistischer Manipulatoren, beginnend mit Goebbels und endend mit den heutigen „Pseudohistorikern". Wenn Haltungen und Ansichten dieser Art bis heute aktuell sind, kann man umso leichter die „Verführung durch Stalin" der Franzosen und Engländer aus den 1940er und 1950er Jahren verstehen, bis zu denen die Rote Armee nicht vordrang, was es erlaubte, sie als Symbol des heroischen Kampfes gegen den Faschismus (eigentlich eher gegen den Nationalsozialismus) in Erinnerung zu behalten. Die blutige Intervention in Ungarn, die Invasion in der Tschechoslowakei, die Verhängung des Kriegszustandes in Polen oder das Erscheinen von Alexander Solschenizyns „Archipel Gulag" haben eine Erosion der bedingungslos prosowjetischen Haltung westlicher Intellektueller bewirkt, die in den 1940er und 1950er Jahren so häufig war, aber sie konnten in der geistigen Kultur dieses „wahren Europas" nicht das Wissen darüber verbreiten, was östlich des Eisernen Vorhangs geschehen war und worauf jenes spezifische System beruhte, das oft „real existierender Sozialismus" genannt wird.

Auf der – ideologisch betrachtet – anderen Seite kann man diejenigen finden, die den Völkermord an den Juden leugnen und von der „Auschwitz-Lüge" sprechen, denn neonazistische Schlägertrupps und xenophobe Reflexe sind keine Erfindung. An vielen Orten des „östlichen" Europas werden „ihre" Skelette aus der Mottenkiste geholt und dekoriert: Ion Antonescu, Ante Pavelić, Jozef Tiso, lettische oder estnische SS-Leute. Führer von Staaten, die mit dem Dritten Reich kollaborierten, werden zu Idolen extrem nationalistischer Bewegungen und politischer Parteien. Die traumatischen Balkankriege der 1990er Jahre waren in bedeutendem Maße eine Wiederholung der früheren Nationalitätenkonflikte und hatten eine deutlich größere Stütze in der rechten Fremdenfeindschaft als in aktuellen wirtschaftlichen Interessen.

„Unser Land braucht nicht die Wahrheit. Das, was man ihm geben muss, sind Hoffnung, Einheit und ein Ziel", sagte General de Gaulle 1969 als Kommentar zu dem berühmten Dokumentarfilm „Das Haus nebenan" von Marcel Ophüls, der über Konformismus und Kollaboration im Frankreich des Marschalls Pétain erzählt. Versuchen wir mit unseren Arbeiten den Worten des großen Franzosen, des einzigen europäischen Führers, von dem ein Denkmal in Warschau steht, zu widersprechen. Kümmern wir uns sowohl um die Wahrheit als auch um Hoffnung, Einheit und ein Ziel.

Aus dem Polnischen von Markus Krzoska

Andrzej Paczkowski
Historiker, Professor für Geschichtswissenschaft, Alpinist, lebt in Warschau.

Vortrag, gehalten während der Tagung „European Rememberance", veranstaltet vom 10.–12. Oktober 2013 in Berlin durch das Europäische Netzwerk Erinnerung und Solidarität, die Bundesstiftung zur Aufarbeitung der SED-Diktatur sowie das Europäische Solidarność-Zentrum.

Zygmunt Januszewski

Andrzej **Paczkowski**

Nowy europejski pejzaż pamięci

Nic w II wojnie światowej nie było ani proste, ani jednoznaczne. Czy więc Europejczycy mogą objąć ją wspólną pamięcią? Czy podział tych pamięci biegnie rzeczywiście wedle linii „Wschód – Zachód"?

Pojęcie „pamięć", w tu używanym kontekście, może być – i często bywa – różnie rozumiane, aczkolwiek odmienne jego zakresy nie muszą być rozbieżne, a wręcz przeciwnie, mogą się częściowo pokrywać. Tak więc pojęcie to może oznaczać zarówno „pamięć publiczną", jak i „pamięć potoczną" (w tym mającą charakter jednostkowy), która z kolei – jeśli posłużyć się typologią Jana Assmanna – może być „komunikatywna", czyli przekazana na przykład przez świadka wydarzenia, lub „kulturowa", czyli pochodzić ze źródeł mniej lub bardziej instytucjonalnych. Jeśli zaś brać pod uwagę wszystkie świadome odniesienia do przeszłości, które mają miejsce w życiu zbiorowym, to powinniśmy uwzględnić także wiedzę, a więc historię jako dyscyplinę naukową. W jednej ze swych książek Henry Rousso, czołowy francuski badacz tej problematyki, wskazuje na cztery instytucje „produkujące" pamięć II wojny światowej: państwo, stowarzyszenia (głównie kombatanckie), kulturę – przede wszystkim media – oraz naukę właśnie.

Powinniśmy więc zdecydować, o jakiej pamięci mówimy. Myślę, że przede wszystkim chodzi o „pamięć publiczną", która jest przekazywana przez podręczniki szkolne, uroczystości, pomniki, muzea, nazwy ulic, filmy czy książki (zarówno powieści, jak i monografie). Socjolodzy i antropolodzy zajmują się jednak głównie tym, jak przeszłość osadza się w jednostce: co pani X czy pan Y „pamięta" z przeszłości, a w istocie co – na podstawie najróżniejszych źródeł – wie o niej. Jak ocenia poszczególne wydarzenia i ich protagonistów, jaki ma stosunek do przeszłości zbiorowości, do której sama należy oraz do przeszłości tych zbiorowości, z którymi zetknął się dzięki tak zbudowanej „pamięci", w tym przeszłość „innych", obcych, a nawet wrogów. Wypada, jak sadzę, uświadomić sobie, że stosunkowo często mamy do czynienia z rozbieżnością, nawet z konfliktami, między różnymi rodzajami pamięci, a także między nimi (lub każdą z nich) a historią jako nauką. Powstać może więc prawdziwy „trójkąt bermudzki", w którym niespodziewanie toniemy.

Jeśli dobrze odczytuję podział zaproponowany przez organizatorów naszego spotkania, to w Europie Zachodniej znajdować się będą Grecja i Finlandia, a w Europie Wschodniej Słowenia i Czechy. Należy więc pamiętać, że podział ten ma charakter historyczny i dotyczy XX wieku, a ściślej rzecz biorąc nawet tylko jego drugiej połowy, bowiem w rzeczywistości „długiego trwania" zdarzały się inne podziały, na przykład takie, w których Ateny były na wschodzie, a Praga na zachodzie. Dokładnie tak, jak naucza nas geografia.

Wielu badaczy uważa, iż jakkolwiek po 1945 roku nie brakowało wydarzeń gwałtownych czy w znaczącym stopniu zmieniających bieg dziejów, w pamięci zbiorowej większości narodów europejskich miejsce centralne (a co najmniej jedno z kluczowych) zajmuje wciąż II wojna światowa. Czym ona zatem była?

Gdyby zrobić bilans zasięgu oraz intensywności państwowego terroru dwóch europejskich mocarstw totalitarnych wedle stanu na 31 sierpnia 1939 roku, a więc w przeddzień wojny, ukazałby on znaczącą dysproporcję między III Rzeszą a Związkiem Sowieckim. Brutalność i bezwzględność w podporządkowywaniu sobie społeczeństwa, w niszczeniu przeciwników politycznych, w wywłaszczaniu i tępieniu Żydów czy „ludzi zbędnych", spowodowały, że od czasu przejęcia władzy przez nazistów, zostało zabitych lub zmarło w więzieniach i obozach prawdopodobnie niemal 10 tysięcy osób, a w ciągu sześciu lat po objęciu władzy przez Hitlera przez obozy koncentracyjne przeszło około 170 tysięcy obywateli Niemiec. Jednak w Związku Sowieckim, czyli rządzonej przez Stalina Ojczyźnie Światowego Proletariatu, tylko w ciągu kilkunastu miesięcy, od lipca 1937 roku do listopada 1938 roku, zostało rozstrzelanych – jak z niezwykłą precyzją (a może też zgodnie z rzeczywistością) obliczyli sami mordercy – 681 691 osób; na początku 1935 roku w obozach znajdowało się blisko milion osób, a tylko w 1937 roku przybyło 700 tysięcy kolejnych niewolników. Związek Sowiecki nie zaprzestał polityki masowego terroru wobec własnych i obcych obywateli – zarówno wtedy, gdy był sojusznikiem Niemiec (żeby wymienić tylko zbrodnię katyńską, czyli rozstrzelanie wiosną 1940 roku, w ciągu niespełna dwóch miesięcy, około 22 tysięcy obywateli polskich), jak i wtedy, gdy walczył z III Rzeszą na śmierć i życie, a zwłaszcza później, gdy Armia Czerwona parła na Berlin i Wiedeń.

Jednak II wojna światowa w znacznym stopniu zmieniła dotychczasowe proporcje. Nazizm, pisał François Furet, „zanim zhańbił się zbrodnią rokował wielkie nadzieje. Oczarował miliony ludzi, w tym wielu intelektualistów". To oczarowanie skończyło się, choć nie jestem pewien, czy nie stało się to na dobre dopiero po klęsce III Rzeszy. Aby pojąć na czym polegała ta zmiana wystarczy przypomnieć, że tylko od połowy września do końca grudnia 1939 roku oddziały Wehrmachtu oraz specjalne jednostki wojskowe i policyjne rozstrzelały zapewne około 40–50 tysięcy Polaków, czyli wielokrotnie więcej ludzi niż w całej III Rzeszy zamordowano w ciągu sześciu lat; zaś w 1940 roku zamordowano w Niemczech (w ich nowych granicach) około 70 tysięcy psychicznie i nieuleczalnie chorych. Nazywało się to niewinnie: Aktion T4. A wszystko to razem było przecież tylko prologiem do rozpoczętego w połowie 1941 roku Holocaustu...

35 milionów, 40 milionów, a może 45 milionów – zabitych w walkach i bombardowaniach, zamordowanych strzałem w potylicę lub ciosem siekiery, zagazowanych i spalonych w niemieckich obozach zagłady, publicznie powieszonych lub rozstrzelanych

„dla dania odstraszającego przykładu", zagłodzonych lub zamarzłych na śmierć. Historycy i demografowie sprzeczają się o liczby. Liczby są ważne, gdyż ukazują skalę, pozwalają uzmysłowić sobie ogrom kataklizmu (być może największego od czasu, gdy wyginęły dinozaury). Dla nas ważne jest jednak przede wszystkim to, że wojna ta była kłębowiskiem wydarzeń, planowanych lub przypadkowych zwrotów sytuacji, zmieniających się frontów, zawieranych i zrywanych sojuszy. Choć było kilka państw europejskich – między innymi Portugalia, Szwecja czy Szwajcaria – które znajdowały się na marginesie tych wydarzeń, cały niemal kontynent, od Nordkapp po Kretę i od Canterbury po Leningrad, znalazł się ogniu. Europa była w ogniu, ale czy możemy mówić o jednej „europejskiej pamięci" II wojny światowej?

Zapewne najprościej byłoby jej szukać przez pryzmat wielkich kampanii i bitew poczynając od „wojny polskiej" we wrześniu 1939 roku, przez Blitzkrieg z wiosny 1940 roku i powietrzną Bitwę o Anglię, przez operację „Barbarossa" z drugiej połowy 1941 roku czy trzy lata późniejszy „D-Day", aż po finalny szturm Berlina. W końcu pamięć I wojny światowej została już oswojona, „udomowiona", w dużym stopniu dlatego, że wojna ta składała się głównie z wielkich bitew, toczyła się na frontach, a nie na całych terytoriach państw w niej uczestniczących. Jednak II wojna była nie tylko wojną totalną, ale składała się – obok tych wielkich – także z niezliczonych „małych frontów", wyzwoliła w setkach tysięcy ludzi najniższe instynkty o niewyobrażalnej skali, pobudziła odruchy agresji, zapał do mordu, żądzę zemsty i rewanżu za rzeczywiste lub urojone prześladowania.

To w ramach takiej właśnie wojny chorwaccy Ustasze wymordowali setki tysięcy Serbów, Żydów i Bośniaków, a ukraińscy nacjonaliści dokonali w latach 1943–44 „czystki etnicznej" mordując ponad 100 tysięcy Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej – o wiele więcej niż Sowieci zabili w Katyniu. Z rąk polskich chłopów, często za kilo cukru lub litr wódki wręczany przez niemieckiego policjanta, zginęło kilkadziesiąt tysięcy Żydów uciekających z „likwidowanych" gett, a wielu innych wydano w ręce niemieckich oprawców. W górach Serbii i Bośni komunistyczni partyzanci Tity bezpardonowo atakowali monarchistycznych partyzantów Mihailovicia, a z końcem 1944 roku, gdy jeszcze znajdowali się tam niemieccy żołnierze, rozpaliła się wojna domowa w Grecji. Setki tysięcy sojuszniczych żołnierzy włoskich, w istocie niedobitków z frontu wschodniego, Niemcy zamknęli w obozach jenieckich, gdy w sierpniu 1943 roku dokonano przewrotu i obalono Mussoliniego, ale w północnych Włoszech partyzanci częściej atakowali placówki rodzimych faszystów niż niemieckich okupantów. Po stronie niemieckiej walczyły „narodowe" dywizje SS państw okupowanych – między innymi flamandzka czy walońska – podczas gdy rządy przebywały na emigracji w Londynie, zaś kierowane przez nie ruchy oporu próbowały działać w kraju. Nawet kraje neutralne nie zawsze przestrzegały swojego statusu – hiszpańska Błękitna Dywizja zamarzła w śniegach centralnej Rosji, a banki szwajcarskie chętnie przyjmowały złoto zrabowane przez Niemców w podbitych krajach. Szacuje się, że ponad milion obywateli sowieckich, głównie spośród jeńców wojennych, służyło w formacjach wojskowych i pomocniczych III Rzeszy. Jedna z nich, latem 1944 roku, wyróżniła się bestialstwem w czasie tłumienia powstania w Warszawie. Nie licząc zamachów podejmowanych przez ruchy oporu czy partyzantów, pierwsze wyroki śmierci na kolaborantach wykonano w 1943 roku – w Krasnodarze, na wyzwolonej wschodniej Ukrainie, i w Algierze zajętym przez Aliantów. Niektórzy sojusznicy Hitlera, jak Rumunii czy Węgrzy krwawili się nad Donem i Wołgą, ale inni – jak Bułgarzy – nawet nie wypowiedzieli wojny Związkowi Sowieckiemu. W 1944 roku, gdy amerykańscy boys ginęli nie tylko na plażach Normandii, ale też na wyspach i wodach Pacyfiku, Stalin konsekwentnie respektował układ o nieagresji z Japonią. Aż do sierpnia 1945 roku.

Doprawdy – chyba nic w tej wojnie nie było ani proste, ani jednoznaczne. Czy więc możemy objąć ją wspólną pamięcią?

Czy podział tych pamięci biegnie rzeczywiście wedle linii „Wschód – Zachód"? Pewne jest, że niemiecka okupacja i toczona przez Niemcy wojna były znacznie bardziej okrutne i bestialskie na wschodzie niż na zachodzie kontynentu. Polacy dziwią się wciąż, że Jean-Paul Sartre (i nie on jeden) publikował i wystawiał sztuki w okupowanym Paryżu. Na ogół jest to zdziwienie negatywne raczej wobec francuskiego filozofa niż wobec Niemców. W formalnie okupowanej Danii w 1943 roku odbyły się regularne wybory do parlamentu, które wy-

Drugie sympozjum „Pamięć Europy" w Berlinie

Budowanie stałej płaszczyzny wymiany sprawdzonych praktyk, wspieranie się, a także inspirowanie inicjatyw służących lepszemu zrozumieniu różnych perspektyw postrzegania historii Europy – to główny cel drugiego już sympozjum „European Remembrance" („Pamięć Europy"), które w dniach 10–12 października 2013 odbyło się w Berlinie. Uczestnicy sympozjum – reprezentanci około 120 instytucji i organizacji pozarządowych z 23 krajów – podzielają przekonanie, że Europie potrzebna jest systematyczna refleksja nad historią minionego stulecia, refleksja uwzględniająca różne wrażliwości i interpretacje doświadczeń historycznych. Idea takiej refleksji i wymiany praktyk zmaterializowała się po raz pierwszy w 2012 roku w Gdańsku. Kolejna konferencja odbędzie się w 2014 roku w Pradze. Organizatorami cyklu „European Remembrance" są Europejska Sieć Pamięć i Solidarność (ENRS), Federalna Fundacja Badań nad Dyktaturą Socjalistycznej Partii Jedności (niem. SED – partia hegemonistyczna w NRD) oraz Europejskie Centrum Solidarności. Tegoroczne sympozjum poświęcone było roli międzynarodowej współpracy w kształtowaniu europejskiej kultury pamięci. Otworzyły ją dwa wystąpienia: Keitha Lowe'a, brytyjskiego historyka i pisarza, autora książki „Dziki kontynent. Europa po II wojnie światowej", oraz prof. Andrzeja Paczkowskiego z Instytutu Studiów Politycznych PAN i Collegium Civitas, którzy opowiedzieli o różnych sposobach kształtowania pamięci i pamiętania historii na Wschodzie i Zachodzie Europy. Podczas trzydniowego spotkania uczestnicy wzięli udział w dyskusjach, a także wysłuchali wystąpień historyków i praktyków z zakresu badań nad pamięcią XX wieku, m.in. prof. Gesine Schwan, prof. Dana Dinera i Györgya Dalosa. Strona projektu:
www.europeanremembrance.enrs.eu

Basil Kerski, Anna Kaminsky und / *i* Rafał Rogulski

grali socjaldemokraci, a duńscy naziści zdobyli w nich zaledwie 3 procent miejsc. We Francji zabito większość mieszkańców i spalono Oradour, ale w Polsce i Białorusi taki sam los dotknął setki wsi i ich mieszkańców, a Warszawę zrównano z ziemią jesienią 1944 roku, wówczas, gdy ustały w niej walki powstańcze i miasto było całkowicie bezludne.

Tak więc podział wyznaczony w znanym powiedzeniu Winstona Churchilla o żelaznej kurtynie biegnącej od Szczecina do Triestu, nie ma w istocie zastosowania do tego, co działo się w czasie wojny na wschód od Reichu, gdyż podział miał wówczas rasowo-etniczny, a nie polityczny charakter. Wojska niemieckie nie zachowywały się ze szczególną brutalnością, ani na Słowacji, ani na Węgrzech, ani w Rumunii. Ich ofiarami były miliony słowiańskich „podludzi" (z wyłączeniem sojuszników), a przede wszystkim Żydzi (i Cyganie), którzy znajdowali się w tej „hierarchii" jeszcze niżej. W istocie byli Niczym.

Być może jednak równie ważnym powodem odmienności doświadczeń z tamtego czasu – a więc także pamięci – Wschodu i Zachodu jest fakt, że „bloodlands", „ziemie między Stalinem i Hitlerem" (a raczej pod panowaniem Stalina i Hitlera), tak jak zakreślił je Timothy Snyder, dotknięte były w czasie wojny nie jedną, ale dwiema okupacjami, a krew z ich mieszkańców toczyli nie tylko Niemcy, ale też Sowieci. Wilno, polsko-żydowskie miasto, we wrześniu 1939 roku zostało zagarnięte przez Armię Czerwoną, w październiku przekazane Litwie, którą w lipcu 1940 roku wcielono do Związku Sowieckiego, rok później znalazło się pod okupacją niemiecką, a po trzech latach wróciło na łono „sowieckiej ojczyzny" (oczywiście bez wymordowanych Żydów). Dla wileńskich Polaków (w 1939 roku było ich 130 tysięcy na 200 tysięcy mieszkańców) oznaczało to, że w ciągu pięciu lat zmienili czterokrotnie okupanta. W pierwszej fazie wojny, od września 1939 roku do lipca 1941 roku, na terenach obejmujących około połowy powierzchni państwa polskiego, Sowieci zamordowali zapewne nie mniej niż 40–50 tysięcy osób (w tym ponad 10 tysięcy zabito podczas ewakuacji więzień po ataku III Rzeszy), a co najmniej pół miliona deportowali na Syberię lub do Kazachstanu (co najmniej 5–10 procent z nich zmarło). Dla Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy i Rumunii – a więc zachodnich sąsiadów Związku Sowieckiego – II wojna światowa zaczęła się w istocie od agresji lub okupacji sowieckiej. Dla Polski zaś jej początkiem był po prostu rozbiór państwa we wrześniu 1939 roku. Ta dwuwarstwowość wydarzeń na „skrwawionych ziemiach" jest do dziś istotnym (i wrażliwym) elementem „wschodniej pamięci".

W rezultacie tej złożoności, ale również w wyniku specyfiki „pamięci potocznej", indywidualnej, w prawdziwą konfuzję mogą wprowadzić wyniki niedawnego polskiego badania nad pamięcią II wojny światowej, które przeprowadzono w 70-lecie jej wybuchu. Z badań tych wynika, że „złe" lub „bardzo złe wspomnienia rodzinne" dotyczą nie tylko Rosjan (raczej: obywateli sowieckich) – wyraża je 57 procent badanych, Niemców – 62,6 procent, ale także Ukraińców – aż 63,8 procent. O ile wskaźniki dla Rosjan (Sowietów) i Niemców można uznać za naturalne, to pozycja Ukraińców wymaga zastanowienia. Niemcy i Rosjanie (czyli żołnierze Armii Czerwonej) dłużej lub krócej zajmowali całe polskie terytorium, a więc spotkanie z nimi było doświadczeniem powszechnym. Z Ukraińcami jednak bezpośredni kontakt miała tylko część – zapewne nie więcej niż 20–25 procent – Polaków, a mimo to, tak wielu deklaruje złe „wspomnienia rodzinne". Sądzę, że jest to wynik wspomnianych już mechanizmów powstawania „pamięci potocznej". W tym przypadku można przyjąć, że powszechność negatywnych odwołań wobec Ukraińców pochodzi z obszaru „pamięci publicznej", gdyż od wielu lat polska opinia jest informowana o „czystkach etnicznych" prowadzonych przez ukraińskich nacjonalistów, które najczęściej nazywane są po prostu „rzezią wołyńską". Nie twierdzę, że należy unieważnić czy pomijać wyniki tego badania, myślę jednak, iż wskazują one, by ostrożnie podchodzić do pamięci jako źródła wiedzy o przeszłości.

Jak więc wpisać ten fakt – a wyniki badania to przecież fakt społeczny – do „europejskiej pamięci"? Może trzeba po prostu uznać, że każdy naród ma w swojej szafie schowane jakieś szkielety, ale woli zaglądać do szafy sąsiada niż penetrować tą, która do niego należy?

Istotny element rozziewu między „pamięcią Wschodu" a „pamięcią Zachodu" powstał także w związku z wydarzeniami końcowej fazy wojny i początków okresu powojennego, które Keith Lowe błyskotliwie opisał w „The Savage Continent" (w polskim wydaniu „Dziki kontynent"). Otóż przy całym chaosie, który ogarnął wówczas znaczną (i chyba większą) część Europy zarówno w Polsce, jak w Rumunii, na Węgrzech czy w Bułgarii (a także, rzecz jasna, we wschodnich Niemczech) Armia Czerwona i sowieckie służby bezpieczeństwa bezpośrednio, wręcz fizycznie, wspierały mniejszościowe ugrupowania komunistyczne torując im drogę do władzy, a Stalin dawał im „parasol" w stosunkach z Aliantami. Tam, gdzie komuniści dysponowali wystarczającą siłą własną – jak w Jugosławii czy Albanii – wsparcie nie było konieczne. Oczywiście, nie ma reguły bez wyjątków. Na jeden z nich wskazał Keith Lowe: to przypadek Grecji, w której najpierw Wielka Brytania, a później Stany Zjednoczone, walnie wspomogły monarchistów (i ogólnie rzecz biorąc prawicę) w pokonaniu komunistycznej partyzantki. Ta zaś, z uwagi na pragmatyczną politykę Stalina, była stosunkowo skromnie i pośrednio (bronią, środkami transportu, żywnością) wspomagana przez państwa znajdujące się na drodze do sowietyzacji. W tym także przez Polskę. Wprawdzie nie można empirycznie stwierdzić, że „grecka reakcja" nie poradziłaby sobie sama z partyzantami, ale było równie możliwe, iż komuniści wygraliby wojnę domową. Jednak już raczej do *political fiction* należy scenariusz, zgodnie z którym wojnę domową zdołaliby wszcząć i wygrać komuniści francuscy czy włoscy, a nie dokonali tego, gdyż na przeszkodzie stanęła im obecność wojsk brytyjskich i amerykańskich.

Nie było natomiast *political fiction* to, że jedna z kilku dywizji wojsk wewnętrznych NKWD, stacjonujących w Polsce, od października do grudnia 1944 roku aresztowała ponad 50 tysięcy osób. Ani w tym, że do maja 1945 roku NKWD oraz jednostki sowieckiego kontrwywiadu (Smiersz) aresztowały i wysłały do obozów jenieckich ponad 30 tysięcy żołnierzy i oficerów podziemnej Armii Krajowej. W obozach tych polscy żołnierze sąsiadowali z Niemcami, Węgrami, a później także z Japończykami. Nie było *political fiction* to, że w marcu 1945 roku kierownictwo polskiego ruchu podziemnego (w tym formalny wicepremier rządu) zostało zaproszone na rozmowy polityczne, wywiezione do Moskwy i trzy miesiące później skazane w pokazowym procesie. Wprawdzie nikt z podsądnych nie dostał kary śmierci, ale trzech zmarło w więzieniach sowieckich. Skrajna brutalność połączona z operacyjną finezją cechowały działania sowieckie także w Budapeszcie, Bukareszcie czy Sofii. A przecież była jeszcze, mająca cechy pacyfikacji, trwająca do końca lat 40., wojna partyzancka na dawnych polskich ziemiach wschodnich, wcielonych do Związku Sowieckiego (czyli w zachodnich częściach Ukrainy i Białorusi), na Litwie czy na Łotwie. Zginęły w niej dziesiątki tysięcy cywilów i partyzantów, a kilkaset tysięcy osób deportowano. Podobna wojna toczyła się też wówczas w Polsce. Na znacznej części obszaru „bloodlands" pierwsze lata powojenne to również przymusowe lub wymuszone przesiedlanie milionów ludzi – przede

wszystkim Niemców, ale też Polaków (około 1,5 miliona), Ukraińców czy Węgrów. Migracje tego rodzaju właściwie zupełnie ominęły zachodnią część kontynentu.

Jeśli rację ma Tony Judt, że właśnie w latach 1945–48 „została ukształtowana powojenna pamięć Europy", to mamy naprawdę problem z tym, jak uprawiać teraz „europejską pamięć": jedni będą mówili o agresji anglo-amerykańskiej, dla innych punktem odniesienia są imperializm i brutalność Sowietów.

Druga wojna światowa była skrajnie traumatyczna, wydarzenia biegły błyskawicznie, trwała jednak stosunkowo krótko. Zimna wojna w Europie, rozpoczęta na dobre w 1947 roku, była niejako jej przeciwieństwem: rozciągnięta w czasie do ponad 40 lat, obywała się bez spektakularnych wydarzeń militarnych, stosunkowo niewiele było ofiar śmiertelnych (choć zdarzały się, a najwięcej na Węgrzech w 1956 roku). Od połowy lat 50. przez większość czasu dominowała polityka „współistnienia", unikania otwartych konfliktów, pojawiały się nawet koncepcje konwergencji ustrojów czy hasła w rodzaju „Europa od Atlantyku po Ural". A jednak to właśnie ta „wojna bez wojny" spowodowała umocnienie się podziału kontynentu, zaś narody, które znalazły się za żelazną kurtyną „zostały – jak pisał Furet – zapomniane do tego stopnia, że (...) stały się już tylko punktami orientacyjnymi na drodze do sowieckiego socjalizmu".

Każda z części Europy miała nie tylko odrębne interesy doraźne lub długofalowe, ale także znaczne różnice w systemach wartości. Wydaje się, że jedna strona jakby nie rozumiała drugiej. Miliony Francuzów i Włochów głosowało na partie komunistyczne, ale jakoś żaden z nich nie próbował przedostać się do Obozu Socjalizmu i tam żyć. Tymczasem setki tysięcy Węgrów w 1956 roku i Czechów w 1968 roku – nie mówiąc o milionach Niemców – uciekało na drugą stronę żelaznej kurtyny, a strumyk uciekinierów z Polski, Bułgarii czy Litwy, toczył się cały czas. Uciekali słynni sportowcy i muzycy, poeci i inżynierowie. Ludzie ze „Wschodu" właśnie w okresie zimnej wojny poszerzyli obszar *American Dream*, tak żywy wśród nich w końcu XIX wieku, na *European Dream*, który dziś ma wymiar wyłącznie ekonomiczny, ale przez lata całe mieścił w sobie także marzenie polityczne: znalezienia się tam, gdzie jest wolność. Choć nie brakowało takich, którzy szukali dróg, aby wolność wprowadzić u siebie, nieporównanie więcej było takich, którzy do wolności próbowali po prostu uciec.

Polaków czy Bułgarów w istocie mało obchodziły dramaty i perypetie Francuzów czy Anglików boleśnie przeżywających proces dekolonizacji, dalekie im były „brudne wojny" w Kenii czy Algierii, istnienie (i upadek) reżimów autorytarnych w Portugalii i Hiszpanii lub zamach stanu greckich „czarnych pułkowników". Większość ludzi ze „Wschodu" zapewne zupełnie beznamiętnie i bezrefleksyjnie przyjmowała propagandowe kalki serwowane przez machiny państwowej propagandy. Wytrwałe przedstawianie Stanów Zjednoczonych, jako „ostoi reakcji" i „żandarma imperializmu", a kultury zachodniej jako owocu „gnijącej burżuazji", nie spowodowało zarzucenia marzeń młodych ludzi o posiadaniu dżinsów i ich chęci do słuchania Elvisa Presleya czy Beatlesów. Zapewne więcej było ludzi nastawionych antyamerykańsko we Francji czy Włoszech, niż na Węgrzech czy w Estonii. Z kolei tragedia węgierskiego powstania z 1956 roku, zduszonej „praskiej wiosny" w 1968 roku czy stłumionej rewolty na polskim wybrzeżu w 1970 roku budziły na Zachodzie wyrazy współczucia i odruchy sympatii, ale zarazem pogłębiały przekonanie, że tam jest „inna Europa". Jeśli w ogóle jest to jeszcze Europa, a nie po prostu fragment gigantycznego, ideologicznego imperium. Niemal wszyscy – ludzie i instytucje państwowe – koncentrowali się na dążeniu do dobrobytu i innowacji technologicznych, a wielkie wyzwanie integracji europejskiej, podjęte na dobre przecież już w 1957 roku, pochłaniało znaczną część energii i emocji.

Trudno w tym wszystkim wyznaczyć punkty wspólne, tym bardziej, że granica biegła nie tylko wzdłuż linii oddzielającej „Wschód" od „Zachodu". W wyznaczaniu jej ma swój udział także, mniej uniwersalny, ale jednak znaczący, podział „lewica – prawica". W sierpniu 1980 roku z pewnością było wielu takich „zachodnich" Europejczyków, którzy nie rozumieli, dlaczego strajkujący polscy robotnicy zapraszają do siebie księdza, a na bramach stoczni zamiast portretów Marksa i Engelsa wieszają wizerunki Matki Boskiej i zdjęcia papieża. Podział ten ma charakter trwały: gdy w 1997 roku ukazała się francuska „Czarna księga komunizmu", wyważony, ale nie beznamiętny opis zbrodni popełnionych w imię ideologii, która legła u podstaw wielu państw totalitarnych – od Pjongjangu i Pekinu, przez Moskwę, po Hawanę – w paryskiej prasie rozległy się głosy, że w czasie, kiedy na ulicach francuskich miast „łomoczą buty bojówek Le Pena", nie wolno mówić źle o socjalizmie. Jeszcze parę miesięcy temu nowojorskie pismo marksistowskie „Socialism and Democracy" opublikowało artykuł pewnego amerykańskiego profesora, który dowodzi, że „zbrodnia katyńska" to wymysł antysowieckich i antykomunistycznych manipulatorów, poczynając od Goebbelsa, a kończąc na obecnych „pseudohistorykach". Skoro do dzisiaj aktualne są tego rodzaju postawy i poglądy, tym łatwiej zrozumieć „uwiedzenie Stalinem" tych Francuzów czy Anglików z lat 40. i 50., do których Armia Czerwona nie dotarła, co pozwoliło jej pozostać w pamięci jako symbol heroicznej walki z faszyzmem (a raczej z nazizmem). Krwawa interwencja na Węgrzech, inwazja na Czechosłowację, wprowadzenie stanu wojennego w Polsce czy ukazanie się „Archipelagu Gułag" Aleksandra Sołżenicyna powodowały erozję bezwarunkowego prosowietyzmu zachodnich intelektualistów, tak częstego zwłaszcza w latach 40. i 50., ale nie zdołały upowszechnić w kulturze umysłowej tej „prawdziwej Europy" wiedzy o tym, co działo się na wschód od żelaznej kurtyny, na czym polegał ów specyficzny system nazywany często „realnym socjalizmem".

Po drugiej ideologicznej stronie znaleźć można tych, którzy negują ludobójstwo Żydów i wątpią w „zbrodnię w Auschwitz", i gdzie neonazistowskie bojówki i ksenofobiczne odruchy nie są wymysłem. W wielu miejscach „wschodniej" Europy wyciąga się z szaf i dekoruje „swoje" szkielety: Antonescu, Pavelicia, ks. Tiso, łotewskich czy estońskich esesmanów. Przywódcy państw kolaborujących z III Rzeszą stają się idolami skrajnie nacjonalistycznych ruchów i partii politycznych. Traumatyczne wojny bałkańskie z lat 90. były w znacznym stopniu repetycją dawnych konfliktów narodowościowych i miały znacznie większe oparcie w prawicowej ksenofobii niż w bieżących interesach gospodarczych.

„Nasz kraj nie potrzebuje prawdy. To, co trzeba mu dać to nadzieja, jedność i cel" – mówił generał de Gaulle, komentując w 1969 roku słynny film dokumentalny Marcela Ophulsa „Le chagrin et la pitié", opowiadający o konformizmie i kolaboracji we Francji marszałka Pétaina. Próbujmy naszymi pracami nad pamięcią zaprzeczyć słowom wielkiego Francuza – jedynego europejskiego przywódcy, którego pomnik stoi w Warszawie – dbajmy zarówno o prawdę, jak i nadzieję, jedność oraz cel.

Andrzej Paczkowski
historyk, profesor nauk historycznych, alpinista, mieszka w Warszawie.

Wykład wygłoszony podczas konferencji „Pamięć Europy", zorganizowanej w dniach 10–12 października 2013 w Berlinie przez Europejską Sieć Pamięć i Solidarność, Federalną Fundację Badań nad Dyktaturą Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec oraz Europejskie Centrum Solidarności.

Tadeusz Mazowiecki verstorben • Tadeusz Mazowiecki starb am 28. Oktober 2013 in Warschau. Polen verlor einen herausragenden Intellektuellen und Staatsmann, Europa einen Protagonisten der friedlichen Revolutionen von 1989. Tadeusz Mazowiecki (1927 in Płock geboren) war Polens erster nichtkommunistischer Regierungschef nach dem Zweiten Weltkrieg. 1957 war er Mitbegründer des Klubs der Katholischen Intelligenz sowie der katholischen gesellschaftspolitischen Monatszeitschrift „Więź", deren Chefredakteur er war. In den Jahren 1961–1972 war er für den katholischen Kreis Znak Abgeordneter des Sejms der Volksrepublik Polen. 1968 stellte er eine parlamentarische Anfrage anlässlich des brutalen Vorgehens der Miliz gegen die demonstrierenden Studenten. Mazowiecki war für die politische Führung der Volksrepublik Polen unbequem, sodass er 1972 nicht mehr für den Sejm kandidieren durfte. In den Jahren 1976–1981 unterstützte er die gegen das kommunistische Regime streikenden Arbeiter. Am 20. August 1980 unterzeichnete Tadeusz Mazowiecki einen Appell von Intellektuellen, die den Streik in der Danziger Lenin-Werft unterstützten, und brachte ihn gemeinsam mit Bronisław Geremek zur Werft. Auf Einladung Lech Wałęsas übernahm er die Leitung der Expertenkommission des Betriebsübergreifenden Streikkomitees und unterstützte sie bei den Verhandlungen mit der politischen Führung der VR Polen. Nach der Gründung des „Tygodnik Solidarność" wurde er zum Chefredakteur berufen. Während des Kriegsrechts in Polen wurde Mazowiecki interniert und als einer der letzten wieder entlassen (Dezember 1982). In den 1980er Jahren war er einer der engsten Berater von Lech Wałęsa. Er nahm an den Verhandlungen am Runden Tisch teil, die den Systemwechsel in Polen eingeleitet haben. Er war einer der Hauptakteure der politischen Verständigung, die in die ersten halbfreien Wahlen am 4. Juni 1989 mündete. Am 19. August 1989 wurde er zum Premierminister der VR Polen ernannt. In nur wenigen Monaten änderten sich unter seiner Regierung das politische System, das Staatswappen und der Staatsname. Darüber hinaus führte er Bürgerfreiheiten und ein Vielparteiensystem ein. Einen Monat vor Ende seiner Amtszeit wurde Tadeusz Mazowiecki 1991 zum Spitzenkandidaten der Partei Demokratische Union (Unia Demokratyczna) gewählt. 1992 wurde er von der UNO zum Sonderbeauftragten berufen, um über den Konflikt im ehemaligen Jugoslawien zu berichten – als einziger Beauftragter legte Mazowiecki sein Mandat aus Protest gegen die Tatenlosigkeit der Großmächte auf dem Balkan nieder und veröffentlichte einen Bericht über den Bruch von Menschenrechten durch alle Konfliktparteien. Im Oktober 2010 wurde er zum Berater von Präsident Bronisław Komorowski ernannt.

Odszedł Tadeusz Mazowiecki • 28 października 2013 r. zmarł w Warszawie Tadeusz Mazowiecki. Polska straciła wybitnego intelektualistę i męża stanu, Europa jednego z protagonistów pokojowych rewolucji 1989. Urodzony w 1927 r. w Płocku Tadeusz Mazowiecki był pierwszym niekomunistycznym szefem polskiego rządu po II wojnie światowej. W 1957 r. był współzałożycielem Klubu Inteligencji Katolickiej (KIK) i katolickiego miesięcznika społeczno-politycznego „Więź", w którym pełnił funkcję redaktora naczelnego. W latach 1961–72 był posłem na Sejm PRL z ramienia katolickiej grupy Znak. W 1968 złożył interpelację w sprawie brutalnej akcji milicji wobec strajkujących studentów. Dla władz PRL był na tyle niewygodny, że w 1972 r. nie zgodziły się na jego ponowne kandydowanie do Sejmu. W latach 1976–81 wspierał robotników strajkujących przeciwko komunistycznej władzy. 20 sierpnia 1980 Tadeusz Mazowiecki podpisał apel intelektualistów, wspierający strajk w Stoczni Gdańskiej, i wraz z Bronisławem Geremkiem osobiście zaniósł go do stoczni. Na zaproszenie Lecha Wałęsy stanął na czele Komisji Ekspertów przy Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, wspierając jego negocjacje z władzami PRL. Po założeniu „Tygodnika Solidarność" został powołany na stanowisko redaktora naczelnego. W stanie wojennym był internowany i jako jeden z ostatnich zwolniony w grudniu 1982. W latach 80. był jednym z najbliższych doradców Lecha Wałęsy. Uczestniczył w rozmowach Okrągłego Stołu, które zapoczątkowały zmiany ustrojowe w Polsce. Był jednym z głównych twórców porozumienia, na mocy którego 4 czerwca 1989 r. odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory. 19 sierpnia 1989 został desygnowany na premiera PRL. W kilka miesięcy jego rząd zmienił ustrój polityczny, wprowadził swobody obywatelskie, system wielopartyjny, zmienił godło i nazwę państwa. Miesiąc przed zakończeniem urzędowania, w 1991 r., Mazowiecki stanął na czele partii Unia Demokratyczna. Powołany w 1992 r. przez ONZ na sprawozdawcę konfliktu w b. Jugosławii, jako jedyny wysłannik zrezygnował z tej funkcji w proteście przeciwko bezczynności wielkich mocarstw na Bałkanach i ogłosił raport dotyczący łamania praw człowieka przez wszystkie strony konfliktu. W październiku 2010 objął stanowisko doradcy prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Großes Kommandeurskreuz des polnischen Verdienstordens für Guido Westerwelle • Guido Westerwelle, Außenminister der Bundesrepublik, wurde mit dem Großen Kommandeurskreuz des polnischen Verdienstordens für seine Verdienste um die gutnachbarschaftlichen Beziehungen zwischen Deutschland und Polen ausgezeichnet. Am 26. November würdigte Polens Präsident Bronisław Komorowski das Engagement Westerwelles um die deutsch-polnischen Beziehungen, deren Entwicklung einen der größten gemeinsamen Erfolge in den vergangenen 25 Jahren darstellte.

Order Zasługi RP dla Guido Westerwellego • Guido Westerwelle, minister spraw zagranicznych RFN, został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi RP za wkład i szczególne osiągnięcia na rzecz budowania przyjaznych i dobrosąsiedzkich relacji polsko-niemieckich. 26 listopada 2013 r. w Belwederze prezydent Bronisław Komorowski podkreślił zaangażowanie ministra na rzecz stosunków polsko-niemieckich. Ich rozwój prezydent uznał za jeden z największych sukcesów wspólnej historii wolności ostatnich 25 lat.

Jacek Pietrowski

Gunter Hofmann und / *i* Adam Krzemiński

Gunter **Hofmann**

Innere Nachbarn

Eine Laudatio auf Adam Krzemiński, den Träger des DIALOG-Preises 2013

„Es war unsere Stadt, Heimat der acht- bis zehnjährigen Kinder, aber sie war uns auch fremd. Fremd waren die Aufschriften auf den Wasserhähnen – ‚warm', ‚kalt'. Fremd waren die Worte ‚Briefe' an den Türen, und fremd waren die Zeitungen, die dem Tapezierer einst als Unterschicht dienten. Wir Kinder rissen diese zerfledderten Tapeten in langen Streifen herunter, um komische Buchstaben der deutschen Schrift zu sehen. Es gab noch andere Gegenstände, die fremd waren. In den Ruinen konnte man manchmal zerschlissene Öl-Portraits irgendwelcher Nazis finden, die uns mit ihrem Hakenkreuz auf der Armbinde stumm anstarrten." So berichtete Adam Krzemiński über seine Eindrücke als Kind, nachdem die Eltern 1947 frisch in Wrocław/Breslau angekommen waren und sich eine neue Existenz aufbauen mussten. An diesen Breslauer Erinnerungen habe es wohl gelegen, dass er sich in der Oberschule für Deutsch als Fremdsprache entschied. Mehr noch hätten ihn Laute und Rhythmus, als Spiel der Bedeutungen, angezogen; die Bedeutungen habe dem Teenager die Geschichte dann näher gebracht, als man nach dem Polnischen Oktober 1956 Krieg und Zeitgeschichte zu „entlügen" begann, schrieb er.

Ich habe das deshalb in Erinnerung gerufen, um zu zeigen, welch ein weiter Weg es gewesen sein muss zwischen diesem Ankommen in Breslau und heute; wie viel Tapeten Adam Krzemiński im Laufe seines Lebens heruntergerissen, und was er darunter entdeckt hat. Bereits 1986 erschien in unserem Blatt, der „Zeit", sein Text, der überschrieben war: „Was uns unterscheidet, worin wir uns ähnlich sind." Dieser Essay war sowohl eine Analyse als auch eine Illustration seiner eigenen These, was Polen und Deutsche trennt und verbindet, und vor allem, weshalb das Trennende wie das Verbindende zusammen zu denken sind und produktiv gemacht werden können. Diese Vorstellung von etwas überaus Nahem, Verwandtem inmitten Europas, das sich seiner Nähe nicht recht bewusst werden konnte im Schatten der destruktiven Vergangenheit, hat mich als Journalistenkollegen geradezu fasziniert, als ich noch zu hundert Prozent innenpolitischer Journalist war, der die Bundesrepublik für den Nabel der Welt hielt. Adam diente als Augenöffner – ich glaube, nicht nur mir.

1978 – man merke: 1978! – richtete Adam einen offenen Brief an Marion Gräfin Dönhoff, damals Herausgeberin der „Zeit". Wenn das Wünschen helfen würde, wünschte ich mir übrigens, dass sie diese Laudatio auf Dich halten könnte – sie hätte es liebend gerne getan, da bin ich mir sicher. Du gehörtest nicht zufällig zu dem kleinen Kreis derjenigen, mit denen sich die „Gräfin", wie wir sie nannten, duzte. Damals also – es war der Beginn einer wunderbaren Freundschaft zwischen ihr und Dir – hast Du als Germanist und junger Kulturredakteur der „Polityka" ein Ende der „Gleichgültigkeit" und der „überaus freundlichen Arroganz" auf deutscher Seite angemahnt, einen „Ausgleich der Kenntnisse", während im Alltag den deutsch-polnischen Beziehungen nicht einmal ein Zehntel der Aufmerksamkeit geschenkt wurde, die den deutsch-französischen zugemessen wird. Zwar seien Polen und Westdeutschland nicht Verbündete. Aber die Nachkriegsgeschichte zeige, „dass sich die Zukunft unseres Kontinents mindestens zu fünfzig Prozent in seinem östlichen Teil entscheidet". Der Autor – verblüffend selbstbewusst, ohne jede Arroganz – verlangte ausdrücklich keine „Meistbegünstigungsklausel" für Polen, doch gerade von den Intellektuellen wünschte er sich Interesse und einen Beitrag zur Vermittlung zweier Kulturen, die sich viel zu geben haben.

In diesem Brief – ich höre hier auf, darauf zu rekurrieren, obgleich er ein Manifest ist – taucht auch jene Bemerkung von Günter Grass gegenüber Dir, Adam, auf, wonach er die polnische Mentalität gern als „Korrektiv" für das strenge Systemdenken der Deutschen sehen würde. Der geistige Raum zwischen Bug und Oder dürfe für den durchschnittlichen deutschen Bildungsbürger wie für den „linken Sohn" kein weißer Fleck mehr bleiben.

Nur zu gern, versteht sich, ging Marion Dönhoff in ihrer Antwort darauf ein und verknüpfte das mit dem Rat, die heutigen Beziehungen nicht losgelöst von unserer tausendjährigen Nachbarschaft zu betrachten. Unter einem der wichtigsten Be-

schlüsse der Frankfurter Bundesversammlung 1848 stehe auch der Name ihres Großvaters, der als preußischer Gesandter die Versammlung leitete, und wonach es eine „heilige Pflicht" des deutschen Volkes sei, „mit allen Kräften die Wiederherstellung des Polenreiches zu bewirken, um das durch seine Teilung bewirkte Unrecht wieder gutzumachen". Es werde Zeit brauchen, den weißen Fleck auszufüllen, sie habe gelernt, Geduld zu haben, „aber ich bin froh, dass Sie ungeduldig sind".

Genau weiß ich es nicht mehr, aber kürzlich, beim Paddeln in Masuren haben wir uns wohl unterhalten über die selbstgerechten Polen-Klischees und Plattheiten in „Unsere Mütter, unsere Väter" oder darüber, was den sympathischen, klugen Historiker Christopher Clark wohl treiben mag, zuerst dem Alten Fritz und Preußen insgesamt einen solchen Glorienschein zu verleihen, und dann auch noch die Deutschen von dem Vorwurf zu entlasten, gemeinsam mit Österreich hauptverantwortlich für den Weg in den Ersten Weltkrieg zu sein und nicht zu vergessen, welchen historischen Platz Polen dabei einnahm, oder ob es vergessen wird von dem Autor. So ist das, so weit ich mich zurückerinnere an unsere Freundschaft, immer gewesen, immer geblieben.

„Stichworte zur geistigen Situation der Zeit" nannte Karl Jaspers seinen berühmten, erstaunlich hellsichtigen kleinen Essayband, der noch vor Hitlers Aufstieg erschien. Jürgen Habermas hat 1979 in einer fulminanten Suhrkamp-Edition daran erinnert und angeknüpft, um zum Nachdenken darüber anzuregen, was aus der Bundesrepublik werde. „1989" wurde darin nicht prognostiziert; West- und Ostmitteleuropa wurden auch von Habermas noch nicht gedanklich verbunden. Aber antizipiert wurde ein Deutschland, das Europa-verträglich ist. In dieser grundeuropäischen Tradition wie in der des Zeitdiagnostikers steht alles, was auf polnischer Seite Adam Krzemiński geschrieben hat, all die Texte, von denen viele auch bei uns erschienen sind. Stellvertretend nenne ich nur die wunderbare Essay-Sammlung „Deutsch-polnische Verspiegelungen", 2001 erschienen, und das kleine Buch aus dem Jahr 2008, „Testfall für Europa. Deutsch-polnische Nachbarschaft muss gelingen".

Viele sind es nicht, die sich in den vergangenen Jahrzehnten, sagen wir seit Ende der 1960er Jahre, in Polen und der Bundesrepublik wechselseitig auf diese Weise angenähert, sich auf Augenhöhe ernst genommen, auf einen Dialog eingelassen haben – und es werden immer weniger, trotz gelegentlichen gemütlichen Beisammenseins von Angela Merkel und Donald Tusk bei einem Glas Rotwein oder öffentlicher Turteleien. Man täusche sich nicht: Im Alltag haben sich die deutsch-polnischen Beziehungen – auch am großen Tisch in Brüssel – gewiss eingependelt, die Kaczyński- und Steinbach-Turbulenzen sind wohl endgültig vorbei. Aber ich denke, dass im neuen Europa, in dem die deutsche Politik, schon auf Grund der ökonomischen Stärke, eine hegemoniale Rolle (ohne hegemoniale Absichten) spielt, es mindestens ebenso sehr wie in den verflossenen Jahrzehnten darauf ankommt, den wohlmeinenden Nachbarn zuzuhören, gerade wenn sie Kritik üben. Voran Frankreich und Polen. Ja, es ist wohl richtig, wie Richard Cohen kürzlich schrieb, die Mehrheit der Deutschen wolle sich international möglichst unsichtbar machen und die Jahre der Prosperität ungestört verewigen. Es kann uns nur helfen, aus diesem selbstgerechten Schlummer geweckt zu werden.

Adam Krzemiński hat Wandel durch Annäherung auch zu seiner Methode gemacht, er hat einfach Widerspruch eingelegt, wann immer Polen ausgeblendet wurde, er hat quasi einen Dialog geführt,

Jacek Pietrowski

Christian Schröter, Adam Krzemiński, Gunter Hofmann, Rita Süssmuth und / *i* Dietmar Nietan

als gäbe es diese notorische Asymmetrie nicht. Mehr noch: Mir jedenfalls will es so scheinen, als habe er den Spieß geradezu umgedreht. Polen sollte nicht Peripherie, Deutschland nicht einseitig konstitutiv für Polen bleiben. Punkt. Vorexerziert hat er uns in vielen seiner Essays, wo und was wir lernen könnten. Der Junge, der seiner Mutter auf die Frage, welche Fremdsprache er lernen wolle, erwiderte: Deutsch, um zu verstehen, was in Breslau und an den eigenen Hauswänden so alles geschrieben steht, der sich also auf den „polnischen Weg nach Westen" begab, hat uns – mir beispielsweise auch – damit eine Art *standing invitation* geboten, uns auf den deutschen Weg nach Polen einzulassen. Ihm war die Einsicht früher gekommen, in Görlitz beispielsweise, wo er als junger Journalist – die Politiker-Rhetorik über die Oder-Neiße-Grenze als unpassierbaren Strom im Ohr – angesichts des trennenden Baches, den er vor sich plätschern sah, plötzlich dachte: „Hier kann man sich nicht verteidigen, hier muss man mit ihnen sprechen."

Ich zitiere noch einmal: „Dieses Mitteleuropa ist keine heile Welt gewesen. Es war geschunden und verroht, es gefiel sich in seiner Rolle und war sich selbst verhasst. Es wollte von Westeuropa anerkannt werden und war sich zugleich seiner eigenen Schwäche lähmend bewusst. Wenn es wahr ist, was Sigmund Freud über das Unbehagen in der Kultur gesagt hat, dass die Leiden, Komplexe und Verdrängungen der eigentliche Stoff des mythischen Denkens in der Kultur sind, dann hat die Nachkriegskultur unserer beiden Länder von der Mystifizierung sowie Aufarbeitung der nationalen Katastrophen und der existenziellen Bedrängnisse gelebt."

In einem Essay zur Verleihung des Literatur-Nobelpreises an Günter Grass, einem der schönsten Texte überhaupt, hieß es im Blick auf Grass und Adam Mickiewicz: „Die Tatsache, dass der Pole in Deutschland und der Deutsche in Polen zugleich in fast vergleichbarer Weise vergessen wurden, diese Tatsache zeigt, dass die beiden zahlreichsten Nachbarvölker in Mitteleuropa im gegenseitigen Verhältnis immer wieder ihre Parallelautismen pflegen, ohne die kommunizierenden Röhren der beiden Kulturen so recht zu entdecken. Das ist beileibe kein neuer Zustand zwischen Deutschen und Polen, obwohl wir doch über 700 Jahre lang innere Nachbarn in denselben Städten und Dörfern waren." Als solche „inneren Nachbarn" behandelte Adam als Publizist also über Jahrzehnte Deutsche und Polen. Sie ahnten diesen Charakter der nahen Beziehung vielleicht, wollten es aber nicht akzeptieren. Polen, schrieb er einmal, habe den „verzweifelten Versuch" gemacht, „Deutschland auf dem Weg nach Europa irgendwie zu umgehen – über Paris oder gar über Washington". Sehr viele seiner „Stichworte zur geistigen Situation der Zeit" verstehe ich als grundoptimistische Versuche, diese innere Nachbarschaft, ihre Verspiegelung, die Verzahnung, zu erkennen – und fruchtbar zu machen. Ganz so, wie mir gegenüber in meinen jungen Jahren als Journalist französische Kollegen davon schwärmten, wir Deutschen müssten doch endlich die „zivilisatorische Kraft" eines deutsch-französischen Schulterschlusses für Europa erkennen, so beharrte Adam – vielleicht weniger französisch-pathetisch formuliert – doch auch seinerseits auf dem zivilisatorischen Projekt Polen-Deutschland. Später hieß es bei ihm „Oderbund" oder „Konföderation in der Mitte Europas", dann „Weimarer Dreieck".

1989 jedenfalls – darin sind wir uns, glaube ich, völlig einig – war es soweit, damals kam endlich diese „innere Nachbarschaft" zum Tragen. Einerseits die Gewerkschaftsbewegung von unten, in Polen, andererseits die Ostpolitik Brandts; beides zusammen hatte eine subversive Seite und unterminierte das Imperium im Osten. Die Nachbarn hatten nun etwas Gemeinsames, auf das sie aufbauen könnten. Sie teilten freilich auch die Gefährdungen – den moralisch „leeren" Neoliberalismus beispielsweise, den Adam mit Recht bei uns schon in den 1990er Jahren am Werk sah.

Unermüdlich insistierte er nun darauf, dass nicht nur der „Interessengemeinschaft" Warschau-Berlin, Polen-Bundesrepublik Leben eingehaucht werde. Wichtiger erschien ihm, was auch wichtiger ist – dass die Ostverschiebung der zivilisatorischen Zentren Europas als „die eigentliche Herausforderung für das 21. Jahrhundert" begriffen werde. So steht es im „Testfall". Bei dieser Andeutung für die unvollendete polnisch-deutsche Agenda will ich es bewenden lassen.

Einer denkt zusammen, was zusammen gehört. Oder – er denkt unsere beiden Länder schlicht komplementär. Was entdeckt man, wenn man heute weiterhin die Tapeten herunterzieht, wie der kleine Junge damals in Breslau? Wie schon gesagt: Diese Verflochtenheit, das Zusammengehören ist keine Chimäre, was Polen und die Bundesrepublik im Herbst 1989 bewiesen haben. Nur wirklich konsequent umgesetzt, voll ausgeschöpft haben die Nachbarn die Chance, die in diesem Komplementär- oder Ergänzungsverhältnis steckt, tatsächlich noch nicht. Adam, Du wirst Dir also Deine Ungeduld, im Sinne von Marion Dönhoff, noch bewahren müssen. Aber für die „innere Nachbarschaft" – wenn mir ansteht, das zu sagen – bist Du ein Glücksfall, für mich ganz privat natürlich ohnehin.

Gunter Hofmann
Journalist der Wochenzeitung „Die Zeit" und „Cicero online", Autor mehrerer Publikationen, unter anderem des Buches „Polen und Deutsche. Der Weg zur europäischen Revolution 1989/90".

DIALOG-Preis für Adam Krzemiński und Grażyna Słomka

Der DIALOG-Preis 2013 wurde an den Journalisten und Publizisten Adam Krzemiński sowie an die Initiatorin des Filmfestivals FilmlandPolen, Grażyna Słomka, verliehen. Die feierliche Preisverleihung, die am 25. Oktober in der Konrad-Adenauer-Stiftung in Berlin stattfand, war gleichzeitig Auftakt der 22. Jahrestagung der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Bundesverband. Rund 220 Personen nahmen an der Tagung teil, darunter zahlreiche Akteure aus Wissenschaft und Politik, u. a. Staatsministerin Cornelia Pieper, der Botschafter der Republik Polen Jerzy Margański sowie der Vorsitzende der Konrad-Adenauer-Stiftung Hans-Gert Pöttering. Seit 2005 wird alljährlich der DIALOG-Preis an Personen, Institutionen, Initiativen, Medienprojekte oder Redaktionen verliehen, die sich in vorbildlicher Art und Weise für den Dialog der Völker und Kulturen in Europa sowie die Vertiefung der deutsch-polnischen Beziehungen engagieren. Die Dankesrede von Adam Krzemiński finden Sie auf der Homepage der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Bundesverband www.dpg-bundesverband.de

Jacek Pietrowski

Adam Krzemiński

Gunter **Hofmann**

Wewnętrzni sąsiedzi

Laudacja dla Adama Krzemińskiego z okazji przyznania Nagrody DIALOGU 2013

„To było nasze miasto, ojczyzna ośmioczy dziesięcioletnich dzieci, a mimo to było dla nas obce. Obce były napisy na kranach – 'warm', 'kalt'. Obce były słowa 'Briefe' na drzwiach, i obce były gazety, służące niegdyś tapeciarzowi za podkład. My, dzieci, zrywaliśmy poszarpane tapety długimi pasami, by oglądać ukazujące się pod spodem dziwne litery niemieckiego pisma. Były też jeszcze obce przedmioty. W ruinach można było czasami znaleźć olejne, zniszczone portrety nazistów, gapiących się na nas w milczeniu, ubranych w mundury z opaskami ze swastyką". Tak Adam Krzemiński pisał o wrażeniach z okresu dzieciństwa, po tym jak rodzice w 1947 roku świeżo przybyli do Wrocławia, zmuszeni do rozpoczęcia nowego życia. To chyba wrocławskie wspomnienia spowodowały, że w liceum zdecydował się na niemiecki jako język obcy. A jeszcze bardziej pociągały go dźwięki i rytm języka, gra znaczeń – potem te znaczenia przybliżyła nastolatkowi historia, kiedy po Październiku '56, jak pisał, zaczęto „odkłamywać" wojnę i historię współczesną.

Przypomniałem o tym, by pokazać, jak daleka musiała to być droga – między przybyciem do Wrocławia a dniem dzisiejszym, ile tapet zerwał Adam Krzemiński w trakcie swego życia, i co pod nimi odkrył. W 1986 roku w tygodniku „Die Zeit" ukazał się jego tekst zatytułowany „Co nas różni, a w czym jesteśmy podobni". Esej ten był zarówno analizą, jak ilustracją jego własnej tezy, co dzieli i łączy Polaków oraz Niemców, a przede wszystkim, dlaczego to, co dzieli, jak i to, co łączy, trzeba w myślach połączyć razem i w jaki sposób można je twórczo wykorzystać. Wyobrażenie czegoś niezwykle bliskiego, pokrewnego, pośrodku Europy, co w cieniu destrukcyjnej przeszłości do końca nie było świadome swej bliskości, mnie, przecież też dziennikarza, po prostu zafascynowało, gdyż wtedy byłem jeszcze dziennikarzem w stu procentach zajmującym się polityką krajową, uważającym Republikę Federalną za pępek świata. Adam pomógł mi otworzyć oczy. Jak sądzę, nie tylko mnie.

W 1978 roku – proszę zauważyć: w 1978! – Adam zwrócił się z listem otwartym do Marion hrabiny Dönhoff, wydawcy „Die Zeit". Gdyby wypowiadanie pewnych życzeń miało sens, to życzyłbym sobie, by to właśnie ona mogła wygłosić dzisiejszą laudację na Twoją cześć – a jestem pewien, że zrobiłaby to bardzo chętnie. Nieprzypadkowo należałeś do wąskiego kręgu tych, którzy do „hrabiny", jak ją nazywaliśmy, zwracali się per „ty". A więc wtedy – a był to początek cudownej przyjaźni między nią a Tobą – jako germanista i młody redaktor działu kulturalnego „Polityki" wzywałeś do zakończenia „obojętności" i „niezwykle uprzejmej arogancji" po stronie niemieckiej, do „wyrównania poziomu wiedzy", podczas gdy w życiu codziennym stosunkom polsko-niemieckim nie poświęcano nawet jednej dziesiątej tej uwagi, którą przypisywano stosunkom niemiecko-francuskim. To prawda,

Polska i Niemcy Zachodnie, jak pisałeś, nie były sojusznikami. Ale powojenna historia pokazuje, że „przyszłość naszego kontynentu przynajmniej w pięćdziesięciu procentach decyduje się w jego wschodniej części". Autor – zaskakująco pewny siebie, bez jakiejkolwiek arogancji – nie domagał się dla Polski „klauzuli najwyższego uprzywilejowania", lecz życzył sobie – szczególnie ze strony intelektualistów – zainteresowania i przyczynienia się do przekazywania wiedzy o obu kulturach, mających sobie wiele do powiedzenia.

W tym liście – zaraz przestanę ciągle się na niego powoływać, pomimo że mamy tu do czynienia wręcz z manifestem – cytuje też uwagę Güntera Grassa, który polską mentalność chciałby widzieć jako poprawkę surowego, systemowego myślenia Niemców. Przestrzeń duchowa między Bugiem a Odrą nie powinna pozostać białą plamą ani dla przeciętnego niemieckiego inteligenta, ani dla jego „lewicowego syna".

Marion hrabina Dönhoff, co zrozumiałe, nad wyraz chętnie nawiązała do tego w swej odpowiedzi, łącząc ją z radą, by nie postrzegać dzisiejszych stosunków niezależnie od naszego tysiącletniego sąsiedztwa. Napisała, że pod jedną z najważniejszych uchwał frankfurckiego Zgromadzenia Narodowego w 1848 roku widnieje również nazwisko jej dziadka, który jako dyplomata pruski przewodniczył Zgromadzeniu, według którego „świętym obowiązkiem" narodu niemieckiego było „z całych sił działać na rzecz odrodzenia Królestwa Polskiego, aby zadośćuczynić bezprawiu spowodowanemu przez rozbiory Polski". Hrabina pisała, że potrzeba będzie czasu, by wypełnić tę białą plamę, że nauczyła się być cierpliwą, „ale cieszy się, że Pan jest niecierpliwy".

Dokładnie nie pamiętam, ale niedawno, chyba na spływie kajakowym na Mazurach, rozmawialiśmy o obiegowych stereotypach dotyczących Polski i banałach w serialu „Nasze matki, nasi ojcowie". Także o tym, co może być powodem, że skądinąd sympatyczny i mądry historyk Christopher Clark najpierw nadał Fryderykowi II Wielkiemu i całym Prusom blask chwały, a potem zdecydował się na zdjęcie z Niemców zarzutu, że wspólnie z Austrią ponoszą główną odpowiedzialność za doprowadzenie do wybuchu I wojny światowej, nie mówiąc już o tym, że nie wspomniał, jakie miejsce w historii zajmowała wówczas Polska – może zresztą w ogóle została zapomniana przez autora... Tak zawsze rozmawialiśmy, tak było i jest w naszej przyjaźni, jak sięgam pamięcią.

„Duchowa sytuacja epoki" – Karl Jaspers tak nazwał swój słynny, zadziwiająco wnikliwy tomik esejów, który ukazał się jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy. Przypomniał o tym Jürgen Habermas, nawiązując do tego tomu w 1979 roku we wspaniałej edycji wydawnictwa Suhrkamp, chcąc zachęcić do myślenia na temat dalszych losów Republiki Federalnej. Rok 1989 nie był tam przewidziany, Europy Zachodniej i Środkowo-Wschodniej nie połączył jeszcze w myślach nawet Habermas, choć przypuszczał, że Niemcy zostaną w pełni zaakceptowane przez Europę. W tej samej europejskiej tradycji, z której wywodzi się ten diagnostyk, osadzone jest wszystko, co po stronie polskiej napisał Adam Krzemiński, wszystkie eseje, z których wiele ukazało się również w Niemczech.

Nie ma wielu ludzi, którzy w minionych dziesięcioleciach, powiedzmy od końca lat 60. XX wieku, w Polsce i Republice Federalnej wzajemnie by się w ten sposób komunikowali, bratali, wchodząc ze sobą w dialog – i jest ich coraz mniej, mimo uroczych spotkań Angeli Merkel i Donalda Tuska, którzy co jakiś czas przy kieliszku wina lub publicznie naśladują gołębie gruchanie. Nie łudźmy się: w życiu codziennym stosunki polsko-niemieckie – także przy wielkim stole w Brukseli – z pewnością się ustabilizowały, a turbulencje związane z Kaczyńskimi i Steinbach chyba definitywnie należą do przeszłości. Sądzę jednak, że w nowej Europie – w której polityka niemiecka, chociażby ze względu na swą siłę ekonomiczną odgrywająca rolę hegemona (a równocześnie pozbawiona autokratycznych zamiarów) – tak samo jak w minionych dekadach, ważne jest słuchanie życzliwego sąsiada, szczególnie wtedy, gdy jest krytyczny. Na pierwszym miejscu wsłuchując się w głosy z Francji i Polski. Tak, to chyba słuszne, co napisał ostatnio Richard Cohen, że większość Niemców chciałaby być możliwie niewidoczna na arenie międzynarodowej i w niezakłócony sposób utrwalać czas *prosperity*. Obudzenie nas z tej bezkrytycznej drzemki może nam tylko pomóc.

Adam Krzemiński, dokonując zmiany perspektywy na zbliżenie, uczynił je istotnym elementem swojej metody, wnosząc sprzeciw zawsze wtedy, gdy Polskę pomijano, prowadząc niejako dialog, jak gdyby nie istniała ta notoryczna asymetria. Mało tego: uważam, że pobił Niemców ich własną bronią – Polska nie miała być peryferią, a Niemcy nie miały pozostać dla Polski jednostronnie konstytutywne. Koniec, kropka. Pokazał w wielu esejach, gdzie i czego moglibyśmy się nauczyć. Ten chłopiec, który na pytanie mamy, jakiego języka obcego chciałby się uczyć, odpowiedział, że niemieckiego, by zrozumieć, co jest napisane pod tapetami wrocławskiego mieszkania, który wyruszył w „polską drogę na Zachód", zaoferował nam – także mnie – coś w rodzaju *standing invitation*, abyśmy otworzyli się na niemiecką drogę do Polski. Sam wcześniej doszedł do tego wniosku, na przykład w Görlitz, gdzie jako młody dziennikarz – mający w uchu retorykę polityków na temat granicy na Odrze i Nysie jako nieprzekraczalnej szerokiej rzeki – w obliczu dzielącego oba kraje pluskającego strumyka, pomyślał: „Tu się nie można bronić, trzeba z nimi rozmawiać".

Jeszcze raz pozwolę sobie na jeden cytat: „Europa Środkowa nie była wspaniałym światem. Była zadręczona, była schamiała, lubowała się w tej roli i samej siebie nienawidziła. Chciała, aby zaakceptowała ją

Nagroda DIALOGU dla Adama Krzemińskiego i Grażyny Słomki

Laureatami Nagrody DIALOGU 2013 zostali Adam Krzemiński, dziennikarz i publicysta, oraz Grażyna Słomka, inicjatorka powstania festiwalu filmowego FilmlandPolen w Hanowerze. Uroczyste wręczenie nagrody 25 października w berlińskiej siedzibie Fundacji im. Konrada Adenauera było jednocześnie otwarciem XXII dorocznego kongresu Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich, w którym wzięło udział ok. 220 uczestników oraz osoby ze świata polityki i nauki, m.in. minister stanu RFN Cornelia Pieper, ambasador RP Jerzy Margański i przewodniczący Fundacji Konrada Adenauera Hans-Gert Pöttering. Od 2005 r. Nagroda DIALOGU przyznawana jest osobom, instytucjom, inicjatywom, projektom medialnym lub redakcjom, które wzorowo angażują sie na rzecz dialogu między narodami i kulturami w Europie oraz przyczyniają się do pogłębienia stosunków polsko-niemieckich. Pełny tekst podziękowań Adama Krzemińskiego znajdą Państwo na stronie internetowej Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich: www.dpg-bundesverband.de

Jacek Pietrowski

Rita Süssmuth und / *i* Adam Krzemiński

Europa Zachodnia, będąc jednocześnie w sposób paraliżujący świadoma własnej słabości. Jeżeli prawdą jest, co powiedział Zygmunt Freud o kulturze jako źródle cierpienia, o tym, że cierpienie, kompleksy i wypieranie są prawdziwą materią mitycznego myślenia w kulturze, to kultura powojenna obu naszych krajów żyła z mistyfikacji i rozliczania narodowych katastrof oraz egzystencjalnych opresji".

W eseju z okazji przyznania literackiej Nagrody Nobla Günterowi Grassowi, w jednym z najpiękniejszych tekstów w ogóle, Adam pisał odnośnie Grassa i Adama Mickiewicza: „Fakt, że Polak w Niemczech i Niemiec w Polsce zapomniani zostali w niemal porównywalny sposób, pokazuje, że te dwa najbardziej liczne, sąsiadujące ze sobą narody Europy Środkowej w swych wzajemnych stosunkach wciąż pielęgnują autyzmy równoległe, nie odkrywając połączeń komunikacyjnych obu kultur. Nie jest to bynajmniej nowy stan pomiędzy Polakami a Niemcami, mimo że przecież przez ponad 700 lat byliśmy wewnętrznymi sąsiadami w tych samych miastach i wsiach". Właśnie jako „wewnętrznych sąsiadów" traktował przez dekady Polaków i Niemców jako publicysta. Być może przeczuwali oni charakter tych bliskich stosunków, ale nie chcieli tego zaakceptować. Polska, jak napisał, poczyniła „rozpaczliwą próbę", by „ominąć Niemcy w drodze do Europy – przez Paryż albo wręcz przez Waszyngton". Bardzo wiele z jego haseł dotyczących „sytuacji duchowej epoki" pojmuję jako z gruntu optymistyczne próby, mające na celu rozpoznanie owego wewnętrznego sąsiedztwa, jego lustrzanego odbicia, zazębienia – i uczynienie ich owocnymi. Tak samo jak moi francuscy koledzy, którzy, gdy byłem młodym dziennikarzem, opowiadali z zachwytem, że my, Niemcy, musimy w końcu uznać „cywilizatorską siłę" zbliżenia niemiecko-francuskiego dla Europy, tak samo Adam upierał się – formułując to w sposób trochę mniej francusko-patetyczny – przy projekcie cywilizatorskim Polska-Niemcy. Później nazywał to Związkiem Odry lub Konfederacją w środku Europy, a potem Trójkątem Weimarskim.

W każdym razie w 1989 roku – i co do tego jesteśmy, jak sądzę, całkowicie zgodni – wreszcie do tego doszło, nareszcie to „wewnętrzne sąsiedztwo" znalazło zastosowanie. Z jednej strony oddolny ruch związkowy w Polsce, z drugiej polityka wschodnia Brandta, oba razem posiadały stronę dywersyjną i podkopały imperium na Wschodzie. Sąsiedzi mieli teraz coś wspólnego, na czym można było budować. Dzielili jednak również zagrożenia – na przykład moralnie „pusty" neoliberalizm, któremu już w latach 90. w Niemczech Adam pokazał czerwoną kartkę.

Niestrudzenie upierał się, by tchnąć życie nie tylko we „wspólnotę interesów" pomiędzy Warszawą a Berlinem i Polską a Republiką Federalną. Ważniejsze wydawało mu sie to, co też jest istotne – że przesunięcie na Wschód cywilizacyjnych centrów Europy pojmować należy jako „właściwe wyzwanie XXI wieku". Poprzestanę na tej aluzji.

Ktoś łączy w myślach to, co jest sobie przynależne. Albo też – po prostu oba nasze kraje traktuje komplementarnie. Co dziś się odkrywa, zrywając nadal tapety, jak czynił to ów mały chłopiec we Wrocławiu? Powiedziałem już. Że wzajemne powiązania i stanowienie jedności to nie chimera, co Polska i Republika Federalna udowodniły jesienią 1989 roku. Tyle że jako sąsiedzi jeszcze nie zrealizowały jej konsekwentnie, nie wyczerpały w pełni szansy tkwiącej we wzajemnych możliwościach uzupełniania się. Adamie, będziesz musiał jeszcze trzymać na wodzy swą „niecierpliwość", w takim znaczeniu, jakim rozumiała ją Marion Dönhoff. Ale mimo to dla „wewnętrznego sąsiedztwa" – jeżeli wypada mi to powiedzieć – jesteś darem niebios, a dla mnie, prywatnie, jesteś nim tak czy inaczej.

Z niemieckiego przełożyła Agnieszka Grzybkowska

Gunter Hofmann
dziennikarz tygodnika „Die Zeit" i „Cicero online", autor wielu publikacji, m.in. książki „Polen und Deutsche. Der Weg zur europäischen Revolution 1989/90".

Polnische Filmkunst in Deutschland

DIALOG-Preis 2013 an Grażyna Słomka

Am 25. Oktober erhielt Grażyna Słomka, Regisseurin und Initiatorin des Filmfestivals FilmlandPolen, zusammen mit Adam Krzemiński den DIALOG-Preis 2013. Die Laudatio auf die Preisträgerin hielt Polens weltbekannter Regisseur Krzysztof Zanussi. In seiner Laudatio lobte Zanussi die „monumentale Leistung" Grażyna Słomkas bei der Popularisierung des polnischen Films, was heutzutage ein schwieriges Unterfangen darstelle und besonderer Bestimmtheit erfordere. Dabei verwies der Regisseur auf das zunehmend schwindende Interesse an polnischen Filmproduktionen seit dem Wendejahr 1989. Davor, als Polen noch ein kommunistischer Staat war, erfreuten sich Filme jenseits des Eisernen Vorhangs großer Beliebtheit. Polen erschien damals vielen als exotisches Land, da nur wenige Informationen nach außen drangen. Zudem führte die unfreie Gesellschaft ihren Untergrundkampf gegen das Regime, was Polen immer wieder in den Vordergrund der internationalen Politik, aber auch der Kunst und Kultur rückte. Mittlerweile habe sich in Polen jedoch eine Normalität eingependelt, die sich von der in anderen Ländern Europas kaum unterscheidet. Daher sei auch der polnische Film für das Ausland weniger attraktiv, obwohl er in den letzten 25 Jahren an seiner Qualität nichts eingebüßt hat. Eine Initiative wie das Festival FilmlandPolen trage dazu bei, all dem entgegenzuwirken und biete die Möglichkeit, den polnischen Film kennenzulernen und sich mit der neuen, filmisch bearbeiteten Wirklichkeit Polens auseinanderzusetzen. • Grażyna Słomka studierte Kulturwissenschaften an der Pädagogischen Hochschule in Olsztyn (Allenstein), Film- und Theaterwissenschaft an der Universität Lodz sowie Film-und Fernsehregie an der Staatlichen Hochschule für Film, Fernsehen und Theater in Lodz. Seit 2003 organisiert sie das Festival FilmlandPolen – das älteste Filmfestival in Deutschland, das sich mit den neuesten Filmen aus Polen befasst (Hannover, Lübeck, Hamburg und Bremen). Seit 2006 arbeitet Grażyna Słomka mit der Pegasus Foundation in Hamburg („Polnisches Podium") und seit 2007 mit dem internationalen Filmfestival „Nowe Horyzonty" in Breslau zusammen. • Während ihrer Dankesrede bei der Verleihung des DIALOG-Preises sagte sie u. a.: „Während meiner über 30-jährigen Berufstätigkeit, in den 17 Jahren meiner ehrenamtlichen Arbeit in Hannover und den elf Jahren mit dem Festival des Neuen Polnischen Films FilmlandPolen habe ich mir jeden Tag den glücklichen Sisyphos von Camus „vorgestellt. Jeder von uns ist in gewissem Sinne ein Sisyphos, unser Schicksal ist es, einen Fels bergauf zu rollen. Mein Fels und zugleich mein Glück ist es, Filme unter die Leute zu bringen, insbesondere polnische Filme." Das von ihr initiierte Festival zur Popularisierung des polnischen Films wird seit Jahren vom Publikum begeistert aufgenommen. Sie betonte, immer mehr deutsche Zuschauer seien an polnischen Filmen interessiert. „Reguläre, monatlich stattfindende Filmvorführungen mit deutschen Untertiteln, gefolgt von Diskussionen mit polnischen Filmemachern, bieten Deutschen und Polen unterschiedlichen Alters die Möglichkeit, sich persönlich zu begegnen sowie zeitgenössische polnische Filme kennenzulernen – sowohl Spiel-, als auch Dokumentar- und Kurzfilme."

Rita Süssmuth, Grażyna Słomka, Dietmar Nietan und / *i* Krzysztof Zanussi

Polska sztuka filmowa w Niemczech

Nagroda DIALOGU 2013 dla Grażyny Słomki

Tegoroczną Nagrodę DIALOGU, oprócz Adama Krzemińskiego, otrzymała 25 października 2013 inicjatorka festiwalu filmowego FilmlandPolen, Grażyna Słomka. Laudację na jej cześć wygłosił światowej sławy reżyser Krzysztof Zanussi. W swojej przemowie Zanussi podkreślił „monumentalny czyn" Grażyny Słomki, jakim jest popularyzacja polskiej kinematografii, co w dzisiejszych czasach jest niełatwym zadaniem i wymaga szczególnej determinacji. Reżyser wskazał na wzrastający brak zainteresowania polskimi produkcjami filmowymi od momentu upadku komunizmu w 1989 roku. Wcześniej filmy polskie cieszyły się dużą popularnością po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Polska wydawała się wówczas krajem dość egzotycznym, niewiele informacji o niej docierało na zewnątrz. Zniewolone polskie społeczeństwo prowadziło ponadto podziemną walkę z reżimem, co często sprawiało, że Polska znajdowała się w centrum uwagi polityki międzynarodowej oraz sceny kulturalnej. Obecna rzeczywistość Polski nie różni się szczególnie od tej z innych krajów Europy. Z tego powodu polska kinematografia stała się dla zagranicy znacznie mniej atrakcyjna niż dawniej, mimo że jakość filmów ostatnich 25 lat wcale się nie pogorszyła. Inicjatywy takie jak festiwal FilmlandPolen przeciwdziałają temu trendowi, stwarzając możliwość zapoznania się z polskimi filmami oraz z przedstawianymi w nich nowymi realiami Polski. • Grażyna Słomka ukończyła kulturoznawstwo na WSP w Olsztynie, filmoznawstwo na UŁ i reżyserię w PWSFTviT w Łodzi. Od 2003 roku organizuje Festiwal Nowego Filmu Polskiego – Filmland Polen, najstarszy dziś polski festiwal filmowy w Niemczech (Hanower, Lubeka, Hamburg i Brema). W 2006 roku została współpracowniczką Stowarzyszenia „Pegazus" w Hamburgu („Podium Polskie"), a rok później Międzynarodowego Festiwalu Nowe Horyzonty we Wrocławiu. • W swoim wystąpieniu podczas gali wręczenia Nagrody DIALOGU powiedziała m.in.: „Przez trzydzieści lat pracy zawodowej, piętnastu lat pracy w Hanowerze i dziesięciu lat Festiwalu Nowego Filmu Polskiego – Filmland Polen, dzień w dzień wyobrażałam sobie Camusowskiego Syzyfa szczęśliwego. Każdy z nas jest w pewnym sensie Syzyfem, a nasz los to toczenie głazu. Moim głazem-szczęściem jest promocja filmu, w szczególności filmu polskiego w Niemczech". Festiwal Filmowy promujący polską kinematografię w Niemczech Północnych cieszy się od lat dużym zainteresowaniem publiczności. „Z roku na rok zwiększa się udział w pokazach publiczności niemieckiej – podkreśliła Grażyna Słomka. – Regularne, comiesięczne projekcje filmowe z napisami niemieckimi i dyskusje z twórcami z Polski dają możliwość spotkania się różnych pokoleń Niemców i Polaków oraz przedstawienie widzom dokonań współczesnych polskich reżyserów zarówno filmów fabularnych, dokumentalnych, jak i krótkometrażowych".

Treffen der Präsidenten Deutschlands und Polens an der Viadrina • Polens Präsident Bronisław Komorowski und Bundespräsident Joachim Gauck haben gemeinsam das akademische Jahr am Collegium Polonicum in Słubice und an der Europa-Universität Viadrina in Frankfurt an der Oder eröffnet. Am 18. Oktober 2013 nahmen sie an der von der Viadrina organisierten Diskussion „Voneinander lernen? Was Europa aus der Vergangenheit für die Zukunft lernen kann" teil, bei der sie sich gegen die zunehmende Tendenz einer Renationalisierung der Politik in Europa aussprachen. Sie forderten die Studenten dazu auf, die junge Generation für mehr gemeinsamen europäischen Enthusiasmus zu mobilisieren. Beide Staatsoberhäupter haben die Ausstellung „Lernt Polnisch" eröffnet, erarbeitet vom Bundesbeauftragten für die Stasi-Unterlagen (BStU). Die 1991 gegründete Universität in Frankfurt an der Oder unterstützt die grenzübergreifende deutsch-polnische wissenschaftliche Zusammenarbeit. Jeder vierte der 6.500 Studierenden stammt aus dem Ausland, 10 Prozent aus Polen. Die Viadrina arbeitet eng mit dem Collegium Polonicum in Słubice zusammen – einer Zweigstelle der Adam-Mickiewicz-Universität in Posen. 2012 wurde auf Initiative beider Hochschulen das Deutsch-Polnische Forschungsinstitut in Słubice gegründet.

Spotkanie prezydentów Polski i Niemiec na Viadrinie • Prezydenci Bronisław Komorowski i Joachim Gauck wspólnie zainaugurowali rok akademicki w Collegium Polonicum w Słubicach i na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. 18 października 2013 r. wzięli udział w zorganizowanej przez Uniwersytet Viadrina dyskusji „Uczmy się od siebie. Jakie wnioski może wyciągnąć Europa z własnej przeszłości?", podczas której opowiedzieli się za przeciwdziałaniem umacniającym się tendencjom do renacjonalizacji polityki w Europie. Zachęcali studentów do krzewienia wśród młodego pokolenia entuzjazmu dla wspólnej Europy. Obaj prezydenci otworzyli także wystawę „Uczcie się polskiego", przygotowaną przez Federalny Urząd ds. Akt Stasi. Uniwersytet we Frankfurcie nad Odrą, działający od 1991 r. na mocy traktatu polsko-niemieckiego, wspiera transgraniczną polsko-niemiecką współpracę naukową. Co czwarty z 6500 studentów pochodzi z zagranicy, Polacy stanowią 10 procent społeczności akademickiej. Uniwersytet ściśle współpracuje z Collegium Polonicum w Słubicach – jednostką Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 2012 r., z inicjatywy obu uczelni, rozpoczął działalność Polsko-Niemiecki Instytut Badawczy w Słubicach.

10 Jahre Deutsch-Polnische Gesellschaft Bayreuth • Am 30. November 2013 nahmen Polens Botschafter Jerzy Margański sowie Hartmut Koschyk, Mitglied des Bundestags und Parlamentarischer Staatssekretär im Bundesfinanzministerium, an den Feierlichkeiten zum 10-jährigen Jubiläum der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Bayreuth teil. Im Rahmen der Feier spielte das Orchester der Städtischen Musikschule ein Konzert mit Stücken von Richard Wagner. Zudem wurde die Ausstellung „Frühling im Herbst. Vom polnischen November zum deutschen Mai. Das Europa der Nationen 1830–1832" eröffnet.

10-lecie Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Bayreuth • 30 listopada 2013 ambasador RP Jerzy Margański i Hartmut Koschyk, deputowany do Bundestagu i parlamentarny sekretarz stanu w Federalnym Ministerstwie Finansów, wzięli udział w uroczystościach z okazji jubileuszu 10-lecia Niemiecko-Polskiego Towarzystwa w Bayreuth. W ramach obchodów jubileuszowych odbył się koncert Orkiestry Miejskiej Szkoły Muzycznej, która wykonała utwory Richarda Wagnera, otwarto także wystawę „Wiosna jesienią. Od powstania listopadowego do demonstracji majowych. Europa Narodów 1830–1832".

Verdienstkreuz für Marian Turski • Marian Turski wurde mit dem Großen Verdienstkreuz des Verdienstordens der Bundesrepublik Deutschland ausgezeichnet. Guido Westerwelle überreichte den Orden in der Residenz des Botschafters der Bundesrepublik Deutschland in Polen, Rüdiger Freiherr von Fritsch, in Warschau am 26. November 2013. In seiner Laudatio unterstrich Guido Westerwelle die Verdienste und das persönliche Engagement von Marian Turski, der den deutsch-polnisch-jüdischen Dialog gefördert habe. Marian Turski, Überlebender des Holocaust und des vom nationalsozialistischen Deutschland ausgeübten Terrors, hat sich zeit seines Lebens für Versöhnung und Dialog eingesetzt, sei es in der Vereinigung des Jüdischen Instituts, im Rat des Museums der Geschichte der polnischen Juden oder im Internationalen Auschwitz-Komitee. Er war an der Aushandlung des neuen Abkommens zur Entschädigung der Opfer des Nationalsozialismus beteiligt. Die Entstehung des Museums der Geschichte der polnischen Juden in Warschau geht im Wesentlichen auf seine Initiative zurück.

Krzyż Zasługi dla Mariana Turskiego • Marian Turski został uhonorowany Wielkim Krzyżem Zasługi Orderu Zasługi RFN. Odznaczenie wręczył minister spraw zagranicznych Guido Westerwelle podczas uroczystości, która odbyła się w rezydencji ambasadora Niemiec Rüdigera von Fritscha w Warszawie 26 listopada w 2013 r. W laudacji Guido Westerwelle podkreślił wielkie zasługi i osobiste zaangażowanie Mariana Turskiego, inspiratora dialogu polsko-niemiecko-żydowskiego. Marian Turski przeżył Holocaust i terror niemieckiego reżimu nazistowskiego. Przez całe życie angażował się na rzecz pojednania i dialogu, pełniąc ważne funkcje w Stowarzyszeniu Żydowski Instytut Historyczny, Radzie Muzeum Historii Żydów Polskich oraz Międzynarodowej Radzie Oświęcimskiej. Marian Turski uczestniczył w negocjacjach nowego porozumienia w sprawie odszkodowań dla ofiar narodowego socjalizmu. Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie, wspierane przez Republikę Federalną Niemiec, powstało głównie z jego inicjatywy.

Jacek Pietrowski

Adam Krzemiński, Basil Kerski, Johann Wadephul und / *i* Dietmar Nietan

Ein neuer Gründungsakt Europas?

Die Europäische Union und der Nationalstaat in Zeiten der Krise

Basil Kerski im Gespräch mit Adam Krzemiński, Dietmar Nietan und Johann Wadephul

Basil Kerski: Die gleichzeitige Wortfolge von „Europa" und „Krise" ist in der jüngsten Vergangenheit dermaßen oft anzutreffen, dass man meinen könnte, sie seien unzertrennlich miteinander verbunden. Bedauerlicherweise kann zudem beobachtet werden, wie schnell und ohne jegliche Reflexion das Wort „Krise" fällt und jegliche Debatten bereits im Vorfeld eingeschränkt werden. Was verbirgt sich hinter dieser Krise, die durch Europa geistert? Timothy Garton Ash stellte in einem Ende 2012 im Magazin DIALOG (Nr. 102) veröffentlichten Essay die These auf, wir hätten es gegenwärtig nicht mit einer ökonomischen, sondern einer kulturellen Krise Europas zu tun. Die Einigung Europas sei ein großes kulturelles Projekt gewesen, die Erinnerung an zwei Weltkriege habe die Europäer vereint, so Ash. Seiner Ansicht nach seien wir an einem Punkt angekommen, wo dieser Treibstoff für den europäischen Fortschritt aufgebraucht sei. Ein grenzenloses, freies Europa sei jetzt eine Selbstverständlichkeit. Vom Erfolg Europas gehe heute die größte Gefahr für Europa aus. Stimmen Sie, Adam Krzemiński, mit dieser These überein?

Adam Krzemiński: Ja, diese Analyse ist richtig. Europa hatte bisher drei Gründungsakte, beginnend mit dem Sieg über Hitlerdeutschland 1945. Der zweite Gründungsakt erfolgte in den 1950er und 1960er Jahren mit der deutsch-französischen Versöhnung, die zum Muster für andere bilaterale Partnerschaften wurde. Und schließlich der dritte Gründungsakt, die Revolutionen in Ostmitteleuropa 1989, die ich mit der französischen oder russischen von 1917 vergleiche, weil es diesem Teil Europas zum ersten Mal gelang, mit einem originellen Modell in die europäische Geschichte einzuschreiten: Es war die erste Revolution, die keinen Bonapartismus, keine Guillotine und keine Erschießungen zur Folge hatte.

Die gegenwärtige Krise betrachte ich als Kulturkrise und gleichzeitig als vierten Gründungsakt Europas. Die bisherigen Grundpfeiler der EU – 1945, der Elysee-Vertrag sowie das Jahr 1989 – sind für die jüngere Generation, einschließlich der 40-Jährigen, die zunehmend zu Entscheidungsträgern der Gesellschaft werden, nicht mehr relevant. Selbst wenn das historische Bewusstsein vorhanden ist, so geht dieses oft über gängige Formulierungen nicht hinaus. Die Vergangenheit ist für die meisten Vertreter dieser Generation genauso weit entfernt, wie beispielsweise die Teilungen Polens im 18. Jahrhundert für meine Generation. Europa ringt derzeit um sein Selbstverständnis und zwar nicht, was seine Entstehungs-

geschichte betrifft, sondern welchen Weg es für die Zukunft einschlagen will.

Wir stehen heute somit am Scheideweg, der sich früher oder später aufgetan hätte, uns jedoch durch die gegenwärtige Krise zum Handeln zwingt. Es geht darum, ob wir den Weg der europäischen Gesinnung einschlagen oder nationale Sichtweisen triumphieren lassen. Die Krise hat nicht zu einer Urkatastrophe geführt, zum Zerfall der Eurozone oder der Verbannung der Südeuropäer auf die Anklagebank. Nach vier Jahren sind wir widerstandsfähiger gegenüber pauschalen Verurteilungen. Über Griechenland oder Spanien wird heute ausgewogener als noch vor zwei Jahren gesprochen. All die Schwarzmalerei hat sich nicht bewahrheitet. Dafür rückt die Forderung nach einer Reform der europäischen Institutionen in den Vordergrund, sowie die Frage nach den kulturellen Grundlagen des Projekts Europa.

Johann Wadephul: Ich stimme mit Herrn Krzemiński im Großen und Ganzen überein. Im Kern haben wir es aus meiner Sicht jedoch nicht mit einer Identitätskrise in Europa zu tun. Es liegt auf der Hand, dass die jüngere Generation keine Erinnerung an die Weltkriege und damit keine emotionale Bindung an die Wendepunkte der Vergangenheit hat. Meine persönlichen Erinnerungen insbesondere an die deutsche Teilung, an die Eindrücke beim Passieren der innerdeutschen Grenze, als wir unsere Familie in Rostock besucht haben, kann ich beispielsweise meinen Töchtern nur schwer vermitteln. Dies hat selbstverständlich Einfluss auf die Selbstverortung als Europäer. Deswegen ist das proeuropäische Empfinden der Generation 20-plus emotional und intellektuell automatisch anders verankert als bei mir oder meinen Eltern, muss jedoch nicht zwingend schwächer ausgeprägt sein.

Obendrein gibt es noch die Krise, hinter der sich nach der ursprünglichen griechischen Wortbedeutung auch eine Chance verbirgt. Sie hat uns vor Augen geführt, dass wir Probleme nur gemeinsam lösen können. In der deutschen Politik herrscht diesbezüglich allgemeiner Konsens, mehr Europa sei die richtige Antwort auf die Herausforderungen. Und ebenso jene, die das Zusammenwachsen des Kontinents – zunächst des Westens nach 1945 und 1989 des Ostens – nicht bewusst miterlebt haben, sind sich darüber im Klaren, dass uns Europäer gemeinsame Wertevorstellungen verbinden und die Zukunft nur europäisch sein kann. Wir erleben in der Tat eine vierte Geburt Europas. Ich bin überzeugt, dass wir in diese Zeit sehr zuversichtlich gehen können.

Basil Kerski: Wir haben ein EU-Parlament, das wir wählen, aber mit dem wir uns nur schwer identifizieren, wir haben eine EU-Kommission, deren Kompetenzen normale Bürger nicht mehr verstehen. Die Konstruktion der EU führt dazu, dass Brüssel zu einer Profilierungsbühne für nationale Regierungen geworden ist und nicht zum Motor der Integration. Die Bundeskanzlerin oder der polnische Premierminister müssen vor ihrer jeweiligen Öffentlichkeit nach Brüsseler Gipfeln stets Rechenschaft ablegen, was sie für ihre Nation erreicht haben. Keiner fragt sie, was sie für Europa und sein Zusammenhalt getan haben. Es sind noch immer Nationalstaaten, die in Brüssel den politischen Dialog führen und nicht die Europäer. Verliert die EU auch nicht deshalb an Unterstützung, weil in Brüssel das gemeinsame europäische Motiv immer schwächer zur erkennen ist?

***Basil Kerski**, Chefredakteur des Deutsch-Polnischen Magazins DIALOG, Direktor des Europäischen Solidarność-Zentrums in Danzig; **Adam Krzemiński**, Publizist und Germanist, Träger des DIALOG-Preises 2013; **Dietmar Nietan**, SPD-Politiker, Bundestagsabgeordneter, Vorsitzender der Deutsch-Polnischen Gesellschaft Bundesverband; **Johann Wadephul**, CDU-Politiker, Bundestagsabgeordneter.*

Dietmar Nietan: Das ist eine treffende Beobachtung. Wenn wir die Institutionen der EU ändern sowie das wirtschaftliche Auseinanderdriften zwischen ärmeren und reicheren Staaten aufhalten wollen, dann erfordert dies ein Denken im europäischen Format. Europa muss wieder zu einer Herzensangelegenheit der Politik werden. Doch den politischen Eliten, aber auch den meinungsbildenden Medien mangelt es oft an einem historischen, philosophischen und ideengeschichtlichen Verständnis für Europa. Wann hören wir eine Parlamentsrede oder Erklärung eines europäischen Rats- bzw. Regierungschefs, die über rein pragmatisch-ökonomische Aspekte der EU hinausgehen und gerade auch auf die Fundamente dieser Gemeinschaft hinweisen?

Wir hatten in den 1960er, 1970er und 1980er Jahren ebenfalls ökonomische Krisen in Europa, aber die Reaktionen der Medien wie auch der Politik waren nicht derart emotional, oberflächlich und nationalistisch gefärbt, wie wir es heutzutage erleben, was aus meiner Sicht ein wesentlicher Aspekt der europäischen Krise ist. Eine der Ursachen sehe ich in der gefährlichen Tendenz, dass die mediale Berichterstattung nicht mehr auf Qualität ausgerichtet ist, sondern auf Einschaltquoten und Auflagensteigerung, weil auch die Medien bereits von der voranschreitenden Ökonomisierung nahezu aller Lebensbereiche erfasst wurden. Und die Politiker spielen mit: Ob im Fernsehen oder in der Zeitung, es fallen keine Aussagen, die dem eigenen Image oder der Partei Schaden zufügen könnten. Das war nicht immer so. Denken wir beispielsweise an Willy Brandt und die neue Ostpolitik, die Anerkennung der Oder-Neiße-Grenze – es wurden damals unpopuläre Entscheidungen getroffen, die jedoch weitsichtig waren und höhere Ziele verfolgten als die nächsten Bundestagswahlen.

Es mangelt uns momentan an solch großen Europäern innerhalb der politischen, ökonomischen und kulturellen Eliten, die in der Lage wären, die Krisenerscheinung in Europa vor dem Hintergrund einer Ideengeschichte zu erklären, um anschließend Schlüsse für die Zukunft zu ziehen sowie einen gemeinsamen europäischen Weg aufzuzeigen. Dies wäre aus meiner Sicht das richtige Mittel gegen die heutige Profanisierung vieler Lebensbereiche. Wir brauchen eine Revitalisierung des Denkens, auf die Gefahr hin, die eigene Karriere zu gefährden.

Basil Kerski: Die Meinungsumfragen in Polen sind alarmierend: Polen entwickelt sich zu einem europaskeptischen Land, obwohl es sich dank EU-Mitgliedschaft dynamisch entwickelt und international einflussreich ist. Ist Polen von der „Krankheit" befallen, die Dietmar Nietan erwähnt, von einer Herzlosigkeit in Sachen Europa?

Adam Krzemiński: Ich betrachte dies nicht so skeptisch, vor allem wenn man bedenkt, dass das Vertrauen der Polen in europäische Institutionen größer ist als in die eigenen. EU-Einrichtungen, wie beispielsweise der Europäische Gerichtshof, sind ein fester Bezugspunkt bei innenpolitischen Konflikten. Was jedoch deutlich zu erkennen ist, ist die zunehmende Skepsis gegenüber dem Beitritt zur Währungsunion. Ich befürchte, die regierende Koalition und nicht die Opposition wird die Schuld dafür tragen. Es

wird davon ausgegangen, dass ein diesbezüglicher Volksentscheid für den Beitritt positiv ausfällt, aber die Regierung strengt sich nicht sichtbar an, dafür zu werben und die Idee, die hinter dieser Währungsunion steckt, der Gesellschaft bewusst zu machen.

Zudem stellt Polen keine Ausnahme dar, was die zunehmende Kritik an der EU betrifft. Man denke dabei nur an den Erfolg von Rechtspopulisten in Frankreich, den Niederlanden, Ungarn und vielen weiteren Staaten. Auch der große Wahlerfolg der Alternative für Deutschland (AfD), trotz ihres Scheiterns an der 5-Prozent-Hürde bei den Bundestagswahlen, zeugt von wachsender Europa-Skepsis in Deutschland. Ich denke, es wäre vielleicht sogar besser gewesen, wenn die AfD in den Bundestag eingezogen wäre, denn dies hätte die beiden großen Parteien dazu gezwungen, sich direkt mit deren europaskeptischen Positionen auseinanderzusetzen. Für Deutschland wäre solch eine Debatte heute sehr wichtig, denn es sind weitaus mehr als nur 4,9 Prozent der Wähler, die ähnliche Ansichten wie die AfD vertreten. Sie sind auch in den Reihen der etablierten Parteien des Bundestags anzutreffen.

Johann Wadephul: Insgesamt ist die EU ein Erfolgsmodell und wird von der großen Mehrheit der Bevölkerung der EU auch als solches angesehen. Selbst in Staaten, die noch kein Mitglied sind, wie Serbien oder die Ukraine, die zur EU hinstreben, weil sie wissen, dies ist der richtige Weg und die EU-Mitgliedschaft ein erstrebenswertes Ziel, das dem eigenen Land Vorteile bringt.

Es gibt in allen Ländern Tendenzen zum Populismus, aber insgesamt ist die proeuropäische Haltung doch vorwiegend fest verankert. Auch die Krisenzeit hat uns gelehrt, dass wir nur gemeinsam stark genug sind, um Probleme lösen zu können. Die Bundeskanzlerin hat das auch deutlich zu Wort gebracht: Scheitert der Euro, so scheitert Europa. Für den Zusammenhalt der EU sehe ich die Gefahr derzeit nicht in Deutschland oder Polen, sondern vielmehr in Großbritannien, das vor einem Referendum zu seinem weiteren Verbleib in der Gemeinschaft steht. Es handelt sich um eine reelle Gefahr, denn es besteht die Möglichkeit, dass die Briten sich gegen Europa entscheiden werden.

Was das Zögern der Polen – mit einem der stärksten proeuropäischen Regierungschefs an der Spitze – hinsichtlich des Euro-Beitritts betrifft, so fällt mein Urteil milder aus. Ich verweise dabei auf die langandauernde Zurückhaltung der skandinavischen Länder, die den Euro nicht aus wirtschaftlichen Gründen ablehnen, sondern weil die Politik es nicht versteht, die Bürger für den Währungswechsel zu gewinnen. Da sehe ich verstärkten Handlungsbedarf für die EU, wir sollten den Skandinaviern klar mitteilen, sie müssten sich bekennen, weil wir sie als konstruktive Europäer in wirtschaftlicher wie auch politischer Hinsicht brauchen.

Dietmar Nietan: Wenn Helmut Kohl eine ähnliche Einstellung wie die Skandinavier gehabt hätte, dann wäre der Währungswechsel in Deutschland, wo gerade die Westdeutschen teilweise stärker mit der D-Mark als mit der eigenen Ehefrau verheiratet waren, nie vollzogen worden. Dies war nur möglich, weil Bundeskanzler Kohl den Euro zu seiner Herzensangelegenheit gemacht hatte.

Basil Kerski: Viele Entscheidungen auf der EU-Ebene würden scheitern, wenn man das Volk abstimmen ließe. Ist es nicht eben jene Entfremdung zwischen den Bürgern und Brüssel, die sich mittlerweile etabliert hat und dazu führt, dass die meisten Europäer sich von der Mitbestimmung ausgeschlossen fühlen?

Dietmar Nietan: Es entsteht oft der Eindruck, als könnten wir alle Probleme lösen, indem wir möglichst oft das Volk direkt entscheiden lassen. Das ist aus meiner Sicht sehr fragwürdig. Wenn wir alle zwei Wochen eine wichtige Entscheidung einer Volksabstimmung unterziehen würden, da bin ich mir nicht sicher, ob wir stets das nötige Quorum zusammenbekämen. Ich erachte es als falsch, Volksabstimmungen als Konkurrenz zur Parteiendemokratie zu betrachten. Gegenwärtig kann beobachtet werden, wie Volksentscheidungen missbraucht werden, um eigentlich über etwas anderes abstimmen zu lassen. Gerade in europäischen Ange-

Jacek Pietrowski

Adam Krzemiński

legenheiten wird dieses demokratische Instrument von vielen Oppositionsparteien zweckentfremdet, ganz nach dem Motto: Wir wissen, dass das, was unsere Regierung gerade in Brüssel beschlossen hat, unpopulär ist und jetzt werden wir der Regierung per Volksabstimmung die Quittung für ihre bisherige Politik ausstellen. Das hängt zwar stark mit der jeweiligen politischen Kultur eines Landes zusammen, aber solch ein Missbrauch kommt vor. Eine Volksabstimmung stellt einen hohen Anspruch an uns alle dar und bedarf aufklärerischer Debatten im Vorfeld.

Johann Wadephul: Ich plädiere ebenfalls für die repräsentative Demokratie. Die Erfahrungen mit Volksabstimmungen zu wichtigen und zukunftsweisenden Entscheidungen auf EU-Ebene haben in der Vergangenheit gezeigt, zu welch problematischen Konsequenzen für die europäische Gemeinschaft sie führen können. Ein gutes Beispiel war die Ratifizierung des Vertrages von Lissabon. Überall dort, wo es zu einer Volksabstimmung kam, gab es Schwierigkeiten. Deutschland hat in den wichtigsten Fragen seine Volksvertreter entscheiden lassen und hat auf diese Weise einen guten Weg eingeschlagen. Wenn dem nicht so wäre, dann hätten die Wähler bei den Bundestagswahlen ihre Unzufriedenheit zum Ausdruck bringen und sich für euroskeptische Parteien entscheiden können. Dies ist jedoch nicht geschehen, weshalb ich den deutschen Kurs für richtig halte.

Adam Krzemiński: In Polen gehen wir ein wenig entspannter mit Volksentscheiden um als in Deutschland. Die Deutschen hatten das Jahr 1933 – ebenso eine Art Volksentscheid – die Wahlen von 1932, und daher gab es nach dem Krieg, bei der Gründung der Bundesrepublik, große Vorbehalte hinsichtlich der direkten Demokratie, weil man wusste, die Zivilgesellschaft bestehe nicht nur aus guten liberalen Demokraten, sondern auch aus faschistoiden Personen. Letztere können sich durchaus auf eine Zivilgesellschaft berufen. Ich glaube nicht an die kollektive Weisheit von Nation und Gesellschaft. Die europäische Geschichte zeigt Beispiele, als Nationen verrücktgespielt haben, was verheerende Folgen nach sich ziehen kann.

Ich kann dem Volksentscheid jedoch durchaus Positives abgewinnen. Hätten wir in Polen nicht das Volk entscheiden lassen, ob wir der EU beitreten sollen oder nicht, dann wäre die antieuropäische Opposition auf die Barrikaden gegangen in der Überzeugung, dass die Regierung gegen den Willen des Volkes für den Beitritt optiert hat. Dieses Argument ist jedoch nach dem positiven Wahlergebnis nie wieder geäußert worden, weil die Entscheidung des Volkes nicht beanstandet wird.

Basil Kerski: Die Regierungen in Europa haben erkannt, dass schwierige Herausforderungen der EU nur durch zwischenstaatliche Solidarität gelöst werden können, was von der öffentlichen Meinung in vielen Ländern Europas nicht immer widerspiegelt wird. Robert Menasse hat in seinem herausragenden Buch „Der Europäische Landbote" ein Kapitel über Griechenland verfasst, in dem er daran erinnert, es seien die Griechen, die Anfang der 1950er Jahre den Vorschlag einbrachten, die damals junge Bundesrepublik zu entschulden. Dies ist dann auch durch das Londoner Schuldenabkommen von 1953 verwirklicht worden und hatte zur Folge, dass Deutschland sein Wirtschaftswunder erleben konnte. Wie steht es heute um die Solidarität in Europa, wo wir doch beobachten können, wie nationale Interessen im Vordergrund der Politik gestellt werden, wenn es beispielsweise darum geht, die Last der Schulden mit anderen zu tragen? Basiert dieser Egoismus auf rein wirtschaftlichem Kalkül? Oder mangelt es vielleicht eher an einer europäischen Verbundenheit, weil die Identifizierung mit der eigenen Nation überwiegt?

Adam Krzemiński: Wir führen leider nach wie vor unsere europäischen Debatten nur im kleinen, nationalen Kreis, denn wir haben keine europäische Öffentlichkeit. Ich bin nicht dafür, ständig – wie ein Mantra – geschichtshistorische und philosophische Überlegungen hinsichtlich unseres gemeinsamen europäischen Schicksals anzustellen. Aber wenn ich auf die polnische Politik und Medienlandschaft blicke, so bezweifle ich, dass die Mehrheit die tatsächlichen Fundamente der EU verinnerlicht hat und ein fortgeschrittenes europäisches Bewusstsein besitzt. Ein polnisches Boulevardblatt hat einmal geschrieben: Die EU solle zahlen und dann verschwinden. Sicherlich spiegelt dies nicht die Meinung der Mehrheit wider, aber doch die eines beträchtlichen Teils der Gesellschaft, nicht nur in Polen.

Das mangelnde europäische Selbstverständnis – der Kern unserer sogenannten Krise – hängt strikt mit der Akzeptanz von Klischees und Denkmustern aus dem 19. Jahrhundert zusammen. Deutlich wird dies beispielsweise an der Ausrichtung von historischen Jahrestagen, die immer ein identitätsstiftendes Moment für die Gesellschaft bilden. Ich hatte jüngst die Gelegenheit, sowohl in Polen als auch in Deutschland zwei historische Jahrestage zu beobachten, die mich zum Nachdenken anregten. Zum einen den 200. Jahrestag der Völkerschlacht bei Leipzig. Europa war dort nicht zu spüren, kam nur in den Sonntagsreden der Politiker vor, dafür stand die regionale Identifizierung sehr stark im Vordergrund. Was ich

Jacek Pietrowski

Basil Kerski, Christian Schröter und / *i* Dietmar Nietan

dort sah, war eine bunte Theatralisierung der Geschichte ohne tiefere Reflexion darüber, was dieses Europa vor 200 Jahren war, was es heute ist und in 50 Jahren sein wird. Es fehlte ein europäischer Fluchtpunkt, der über die regionale und nationale Identifizierung hinausgegangen wäre, obwohl wir heute historische Ereignisse im vereinten Europa neu deuten, europäisch denken müssen.

Ähnliches habe ich in Polen zum Jahrestag des Warschauer Aufstandes beobachtet. Ich war über die heitere Freude der Menschen während der Rekonstruktion von Szenen aus dem Aufstand in den Straßen von Warschau entsetzt. Junge Pfadfinder ahmten jene Schreckensszenen von 1944 nach. Es war eine Show ohne jegliche Überlegung, was damals eigentlich geschah und wie die Welt damals aussah.

Ich glaube, wir haben eine Chance, diesem Teufelskreis der Instrumentalisierung und Theatralisierung der Geschichte zu entkommen, indem wir unser gemeinsames europäisches Selbstverständnis fördern. Nur durch ein gemeinsames, vom nationalen Standpunkt losgelöstes Bewusstsein, dass wir eine Schicksalsgemeinschaft sind und diese verteidigen müssen, können wir auch ökonomische und soziale Probleme in den Griff bekommen. Nur dann werden die Probleme der Griechen mit gleichem Ernst betrachtet, wie die eigenen. Dazu bedarf es einer europäischen Kontextualisierung aller gesellschaftsrelevanten Fragen, nicht nur der ökonomischen.

Dietmar Nietan: In der Anfangsphase der Krisenerscheinung in Europa rückte die Solidarität zunächst an zweite Stelle, da viele Staaten zu Beginn noch keine Krisensymptome verspürten und dachten, sie würden von den sich anzeichnenden Problemen verschont bleiben. In den letzten zwei Jahren wuchs jedoch glücklicherweise die Erkenntnis, wir alle hängen an einem Seil. Solidarität muss nicht zwingend auf christlicher Nächstenliebe oder humanistischer Grundeinstellung beruhen, sie kann durchaus egoistisch motiviert sein, wenn das Bewusstsein vorhanden ist, dass ohne Solidarität mit anderen die eigene Stabilität ins Wanken geraten kann. Dies betrifft vor allem Deutschland, das als Exportnation auf Absatzmärkte angewiesen ist. Wenn wir unseren europäischen Partnern in schwierigen Situationen nicht helfen, dann sägen wir an dem Ast, auf dem wir sitzen.

Es ist leider erschreckend zu beobachten, wie kurzsichtig manche Politiker oder Journalisten sich über die Probleme anderer Staaten äußern und dabei deutlich machen, dass sie die Grundprinzipien dieses europäischen Projekts nicht verstanden haben. Wir müssen in der Tat lernen, unsere Debatten stärker zu europäisieren. Wenn wir nicht lernen – als Exportnation, als ein Land in der Mitte Europas –, dass unsere nationale Zukunft nur darin liegt, die anderen zu verstehen und mit ihnen zu kooperieren, dann werden wir scheitern, und Europa wird es ebenfalls. Das ist kein einfacher Weg und ich bleibe dabei, es verlangt nach Menschen, die das mit Herzblut und Emotionen den anderen Menschen mitteilen. Und es ist eine Aufgabe der politischen, ökonomischen und kulturellen Eliten, dem Volk komplexe Zusammenhänge nahezubringen, sich mit der öffentlichen Meinung auch hin und wieder zu reiben, jedoch nicht als Besserwisser, sondern als verantwortungsbewusster Bürger.

Johann Wadephul: Ich denke, wir haben den Zustand der europäischen Solidarität erreicht. Die angesprochene mangelnde Solidarität für Griechenland zu Beginn der Krise war nachvollziehbar, weil zunächst die Empörung über den Vertrauensbruch groß war – Griechenland trat dem Euroraum unter Angabe falscher Wirtschaftsstatistiken bei. Daher reagierten viele Europäer auf die Hilferufe der Griechen zunächst verärgert. Heute besteht jedoch weitestgehend Konsens darüber, die ökonomischen Probleme gemeinsam lösen zu müssen. Das ist ein Fortschritt im europäischen Denken, und dieses Denken ist meines Erachtens mittlerweile fester verankert, als noch vor vier Jahren.

Solidarität darf sich jedoch nicht nur auf die Beziehungen zwischen den EU-Staaten beschränken. Wir stehen heute vor vielen Herausforderungen, denen wir nur gemeinsam die Stirn bieten können. Dazu zählt beispielsweise die Flüchtlingsproblematik, die sich künftig noch intensivieren wird. Wir benötigen eine verbindliche EU-Politik und dürfen die Staaten, die in erster Linie von den Flüchtlingsströmen betroffen sind, nicht alleine lassen. Damit hängt ebenfalls unsere gemeinsame Außenpolitik zusammen. Europa wird stärker in die Verantwortung gezogen, gerade im Hinblick auf den Nahen Osten, weil die Vereinigten Staaten sich zunehmend heraushalten. Aus heutiger Sicht besteht noch viel Nachholbedarf für die EU, aber wir dürfen nicht vergessen, dass die EU seit Anbeginn eine kontinuierliche Evolution durchläuft, die nicht immer in großen Sprüngen erfolgen kann. Wir sind 28 Staaten, haben unterschiedliche Vorstellungen und Zielsetzungen, und es braucht mehr Zeit, um zu gemeinsamen Entschlüssen zu reifen. Ereignisse wie die Krise können dabei gewisse Prozesse beschleunigen und – wie gegenwärtig erfolgt – zu mehr Europa führen.

Anzeige / reklama

OST–WEST. Europäische Perspektiven

JETZT PROBEHEFT ANFORDERN: WWW.OWEP.DE

Die Zeitschrift für Mittel- und Osteuropa

„OST-WEST. Europäische Perspektiven" berichtet umfassend über gesellschaftliche Entwicklungen, politische Trends, kirchliches Leben und soziale Fragen in allen Ländern Mittel-, Ost- und Südosteuropas, von Estland bis Albanien, von Polen bis Kasachstan.

80 S., kart., ISSN 1439-2089, erscheint 4-mal jährlich
€ (D) 19,80 (Jahresabo), € (D) 6,50 (Einzelheft)

Heft 4/2013: *Sport und nationale Identität*
Heft 1/2014: *Europa 1914–2014*; erscheint im Februar

Fon 0941 / 92022-0
Fax 0941 / 92022-330
bestellung@pustet.de
www.verlag-pustet.d

VERLAG FRIEDRICH PUSTET

Nowy akt założycielski?

Unia Europejska a państwo narodowe w dobie kryzysu

Z Adamem Krzemińskim, Dietmarem Nietanem i Johannem Wadephulem rozmawia Basil Kerski

Jacek Pietrowski

Adam Krzemiński und / *i* Basil Kerski

Basil Kerski: Na równoczesne używanie słów „Europa" oraz „kryzys" napotyka się ostatnio tak często, że można odnieść wrażenie, jakoby słowa te były nierozerwalnie ze sobą związane. Nietrudno też zaobserwować, jak szybko i bezrefleksyjnie pada słowo „kryzys", z góry ograniczając tym samym wszelkie debaty. Co kryje się za tym kryzysem, którego widmo krąży po Europie? Pod koniec roku 2012 opublikowaliśmy w magazynie DIALOG (nr 102) esej Timothy'ego Gartona Asha, który postawił tezę, że obecnie mamy do czynienia nie z ekonomicznym, lecz z kulturowym kryzysem Europy. Zjednoczenie Europy było bowiem wielkim kulturowym projektem, a pamięć o obu wojnach światowych zjednoczyła Europejczyków, twierdzi Ash. Teraz osiągnęliśmy punkt, w którym paliwo europejskiego postępu już się wyczerpało. Wolna Europa bez granic stała się dziś oczywistością. Największe zagrożenie dla Europy stanowi według Asha jej sukces. Czy zgadza się Pan z tą tezą?

Adam Krzemiński: Tak, analiza jest poprawna. Europa miała dotychczas trzy akty założycielskie, poczynając od zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami w 1945 roku. Drugi akt założycielski dokonał się w latach 50. i 60. poprzez pojednanie francusko-niemieckie, które stało się wzorem dla innych międzypaństwowych partnerstw. W końcu był i trzeci akt założycielski – rok 1989 i rewolucje w Europie Środkowo-Wschodniej, które porównałbym do rewolucji francuskiej czy rosyjskiej z 1917 roku, ponieważ po raz pierwszy udało się tej części Europy wkroczyć z własnym oryginalnym modelem do europejskiej historii: była to pierwsza rewolucja, która nie niosła za sobą bonapartyzmu, gilotyny oraz rozstrzeliwań.

Obecny kryzys oceniam jako kryzys kultury, będący równocześnie czwartym aktem założycielskim Europy. Dotychczasowe filary UE – rok 1945, Traktat Elizejski, jak i rok 1989 – nie są już tak ważne dla młodszego pokolenia, łącznie z czterdziestolatkami, którzy w coraz większym stopniu przejmują odpowiedzialność za społeczeństwo. Nawet jeśli są oni świadomi historii, to przeważnie ta świadomość znajduje swój wyraz co najwyżej w standardowych sformułowaniach. Przeszłość dla większości przedstawicieli tego pokolenia jest tak samo odległa, jak rozbiory Polski z XVIII wieku dla mojego pokolenia. Europa dziś toczy walkę z własną samoświadomością – nie pod kątem historii jej powstania, lecz drogi, jaką zechce obrać w przyszłości.

Obecnie stoimy na rozdrożu, na którym prędzej czy później i tak byśmy stanęli, jednak kryzys wymusza na nas reakcję.

Jacek Pietrowski

Adam Krzemiński, Basil Kerski, Johann Wadephul und / *i* Dietmar Nietan

Chodzi o pytanie, czy zdecydujemy się pójść drogą poglądów europejskich, czy damy zwyciężyć poglądom narodowym. Kryzys nie doprowadził do katastrofy, do rozpadu strefy euro czy wygnania południowych Europejczyków na ławę oskarżonych. Po czterech latach staliśmy się bardziej odporni wobec tendencji do uogólniających oskarżeń. O Grecji lub Hiszpanii mówi się dziś bardziej rozważnie niż jeszcze dwa lata temu. Cały ówczesny pesymizm okazał się błędny. Za to coraz silniej przebija się żądanie reformy instytucji europejskich, jak i pytanie o kulturowe podłoże projektu „Europa".

Johann Wadephul: W większości spraw zgadzam się z panem Krzemińskim. W zasadzie nie mamy jednak do czynienia z kryzysem tożsamości Europy. To jasne, że młodsze pokolenie nie pamięta wojen światowych i w związku z tym nie posiada emocjonalnego stosunku do punktów zwrotnych przeszłości. Moich osobistych wspomnień, szczególnie dotyczących podziału Niemiec, tego, co czułem podczas przekraczania wewnątrzniemieckiej granicy, gdy odwiedzaliśmy rodzinę w NRD, w Rostocku, nie jestem na przykład w stanie przekazać moim córkom. To ma oczywiście także wpływ na moją tożsamość jako Europejczyka. I z tego powodu nastawienie proeuropejskie wśród pokolenia dwudziestolatków automatycznie różni się pod względem zarówno emocjonalnym, jak i intelektualnym, od mojego lub charakterystycznego dla moich rodziców, nie oznacza to jednak, że jest słabiej rozwinięte.

Teraz natomiast mamy kryzys, a za tym kryje się – według właściwego greckiego znaczenia tego słowa – także szansa. Kryzys unaocznił nam, że tylko wspólnie możemy rozwiązać problemy. Pod tym względem w niemieckiej polityce istnieje zgoda, że większa Europa to jedyna poprawna odpowiedź na wyzwania. Nawet ci, którzy nie przeżyli świadomie procesu zjednoczenia kontynentu – zarówno Zachodu po 1945 roku, jak i Wschodu po 1989 roku – wiedzą, że nas, Europejczyków, łączą te same wartości, a przyszłość nie może być inna, jak tylko europejska. Doprawdy trzeba przyznać, że obecnie dokonuje się czwarty poród Europy; myślę jednak, że możemy optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Basil Kerski: Posiadamy Parlament UE, który sami wybieramy, a jednak słabo się z nim utożsamiamy, posiadamy też Komisję UE, której kompetencji przeciętny obywatel już nie jest w stanie zrozumieć. Konstrukcja Unii Europejskiej skutkuje tym, że Bruksela stała się dla rządów każdego z państw sceną dbania o własny interes, a nie motorem integracji. Kanclerz Niemiec lub premier Polski czują się po każdym szczycie w Brukseli zobowiązani do złożenia sprawozdania przed opinią publiczną, co osiągnęli dla swojego kraju. Nikt ich nie zapyta, czego dokonali dla Europy i pogłębienia jej więzi. W Brukseli to wciąż państwa narodowe, nie Europejczycy, prowadzą dialog polityczny. Czy UE nie traci na poparciu, ponieważ coraz trudniej dostrzec w Brukseli wspólny motyw europejski?

Dietmar Nietan: Jest to słuszna obserwacja. Jeżeli zamierzamy sprostać zmianom instytucji UE oraz zapobiec rozłamowi gospodarczemu między biedniejszymi i bogatszymi państwami, to potrzebne nam jest myślenie o wymiarze europejskim. Europa musi się znów stać życiową sprawą polityki. Jednak zarówno elity polityczne, jak i media opiniotwórcze często nie posiadają historycznego, filozoficznego i historyczno-ideowego podejścia do Europy. Kiedy słyszymy jakieś przemówienie w parlamencie lub oświadczenie szefa rady czy rządu europejskiego, które wykraczałoby poza *stricte* pragmatyczno-gospodarcze aspekty UE i wskazywałoby na fundamenty tej wspólnoty?

W latach 60., 70. i 80. mieliśmy także kryzysy gospodarcze w Europie, jednak reakcje mediów, jak i polityki nie były tak emocjonalne, powierzchowne i zabarwione nacjonalizmem, jak możemy to zauważyć dziś – z mojego punktu widzenia jest to jeden z głównych aspektów kryzysu europejskiego. Przyczynę dostrzegam przy tym w niebezpiecznej tendencji mediów odwracania się od wysokiej jakości dziennikarstwa i skupianiu się na powiększeniu oglądalności lub nakładu. Dzieje się tak, ponieważ i media zostały ogarnięte rozpowszechniającą się ekonomizacją prawie wszystkich dziedzin życia. Z kolei politycy zgadzają się na tę grę: ani w telewizji, ani w prasie nie padnie nigdy żadna wypowiedź, która mogłaby zaszkodzić wizerunkowi własnemu lub wizerunkowi partii. Nie od zawsze tak jest. Pomyślmy choćby o Willym Brandcie i nowej polityce wschodniej lub uznaniu granicy na Odrze i Nysie. Dawniej podejmowano niepopularne decyzje, które były jednak dalekowzroczne i miały też wyższe cele, niż dobry wynik podczas kolejnych wyborów.

Wśród dzisiejszych elit politycznych, gospodarczych i kulturowych brakuje wielkich Europejczyków, którzy byliby w stanie wytłumaczyć przejaw obecnego kryzysu na tle historii idei, wyciągnąć wnioski na przyszłość i wskazać wspólne europejskie rozwiązanie problemu. Myślę, że byłby to odpowiedni sposób, aby przeciwstawić się dzisiejszej profanacji wielu dziedzin życia. Potrzebne jest nam ożywienie myślenia, nawet jeżeli wiąże się z tym zagrożenie własnej kariery.

Basil Kerski: Sondaże w Polsce są alarmujące. Polska w coraz większym stopniu staje się krajem eurosceptycznym, mimo że dzięki członkowstwu w UE dynamicznie się rozwija i posiada międzynarodowe wpływy. Czy Polska uległa „chorobie", o której wspomniał Dietmar Nietan, czyli nie traktuje Europy jako sprawy życiowej?

Adam Krzemiński: Nie byłbym tak sceptyczny, zwłaszcza jeżeli przywołamy fakt, że Polacy bardziej ufają instytucjom europejskim niż własnym. Instytucja taka, jak na przykład Europejski Trybunał Sprawiedliwości, jest stałym punktem odniesienia podczas wewnątrzpolitycznych konfliktów. Co jednak wyraźnie można dostrzec, to wzrastający sceptycyzm wobec wejścia do unii walutowej. Obawiam się, że winę za ten stan rzeczy ponosi obecny rząd, nie opozycja. Zakłada się, że referendum w tym przypadku zakończy się pozytywnie, rząd jednak niezbyt wyraźnie się stara, aby zachęcać do takiej decyzji, a także propagować i uświadamiać społeczeństwu ideę kryjącą się za unią walutową.

Ponadto Polska nie jest wyjątkiem w kwestii krytykowania UE. Spójrzmy tylko na sukcesy populistycznych partii prawicowych we Francji, Holandii, na Węgrzech i w wielu innych państwach. Także wielki sukces partii Alternative für Deutschland (AfD) – mimo że nie zdołała ona przeskoczyć pięcioprocentowego progu wyborczego – świadczy o rosnącym eurosceptycyzmie w Niemczech. Myślę, że może byłoby nawet korzystniej, gdyby AfD weszła do Bundestagu, ponieważ obie wielkie partie musiałyby bezpośrednio skonfrontować się z jej eurosceptycznymi poglądami. Dla Niemiec taka debata byłaby ważna, ponieważ istnieje więcej niż tylko 4,9 procent wyborców, dzielących poglądy AfD. Takie osoby znajdą się również wśród członków trwale zakorzenionych partii Bundestagu.

***Basil Kerski**, redaktor naczelny Magazynu Polsko-Niemieckiego DIALOG, dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku; **Adam Krzemiński**, publicysta i germanista, laureat Nagrody DIALOGU 2013; **Dietmar Nietan**, polityk Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), poseł do Bundestagu, przewodniczący Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich; **Johann Wadephul**, polityk Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU), deputowany do Bundestagu.*

Johann Wadephul: Ogólnie rzecz biorąc Unia Europejska jest przykładem sukcesu i większość obywateli Europy podziela tę opinię – nawet w państwach nieczłonkowskich, jak na przykład Serbia czy Ukraina, które dążą do UE w przekonaniu, że jest to prawidłowa droga, a członkowstwo w UE jest właściwym celem, który przyniesie krajowi korzyści.

W każdym państwie istnieją tendencje do populizmu, jednak ogólnie nastawienie proeuropejskie jest mocno zakorzenione. Czasy kryzysu nauczyły nas, że tylko razem jesteśmy wystarczająco silni, by rozwiązać problemy. Kanclerz Angela Merkel powiedziała wyraźnie: jeżeli euro poniesie klęskę, przegra także Europa. Dla więzi UE zagrożeniem nie jest obecnie Polska czy Niemcy, lecz raczej Wielka Brytania, gdzie ma się odbyć referendum dotyczące pozostania lub opuszczenia wspólnoty. Jest to zagrożenie realne, ponieważ istnieje możliwość, że Brytyjczycy nie zagłosują na Europę.

Jeżeli chodzi o zwlekanie Polski (której premier jest jednym z najbardziej proeuropejskich polityków) w sprawie przyjęcia euro, mój wyrok jest łagodniejszy. Chciałbym wskazać na długi okres wstrzymywania się krajów skandynawskich, które nie przyjęły euro nie ze względów gospodarczych, lecz dlatego, że politycy po prostu nie są w stanie przekonać obywateli do zmiany waluty. Na tym polu UE powinna silniej działać, powinniśmy jednoznacznie powiedzieć Skandynawom, że potrzebujemy ich jako zaangażowanych Europejczyków, zarówno w aspekcie gospodarczym, jak i politycznym.

Dietmar Nietan: Gdyby Helmut Kohl podobnie podchodził do sprawy jak Skandynawowie, wymiana waluty w Niemczech, gdzie niektórzy zachodni Niemcy byli bardziej przywiązani do marki niemieckiej niż do własnej żony, nigdy by się nie dokonała. Było to możliwe dzięki temu, że kanclerz Kohl uczynił z euro sprawę najwyższej rangi.

Basil Kerski: Wiele decyzji na płaszczyźnie UE nie zapadłoby, gdyby za każdym razem dochodziło do referendum. Czyż nie jest temu winien właśnie ten dystans pomiędzy obywatelami a Brukselą, mający miejsce obecnie i wzbudzający w większości Europejczyków poczucie, że są wykluczeni ze współdecydowania?

Dietmar Nietan: Często panuje przekonanie, że organizując jak najczęściej referendum, moglibyśmy rozwiązać wszelkie problemy. Zakwestionowałbym takie podejście. Gdybyśmy co dwa tygodnie powierzali podjęcie ważnych decyzji wynikom referendum, to nie jestem pewien, czy uzyskalibyśmy za każdym razem niezbędne kworum. Uważam, że postrzeganie referendum jako konkurencji dla demokracji partyjnej jest błędne. Obecnie możemy zaobserwować, że referenda są wykorzystywane, by głosować na coś zupełnie innego. Zwłaszcza jeżeli chodzi o sprawy europejskie, ten instrument demokratyczny zostaje wykorzystywany niezgodnie z przeznaczeniem, według hasła: wiemy, że to, co rząd obecnie postanowił w Brukseli, nie jest zbyt popularne, i w związku z tym zemścimy się za całą jego dotychczasową politykę poprzez referendum. Zależy to oczywiście od kultury politycznej danego kraju, jednak nadużycia tego typu się zdarzają. Referendum to dla wszystkich zawsze poważne wyzwanie, które wymaga jed-

nak wcześniejszych debat opiniotwórczych.

Johann Wadephul: Jestem także zwolennikiem demokracji reprezentatywnej. Dotychczasowe doświadczenia z referendami w sprawach ważnych i decydujących o przyszłości UE pokazały, że może to mieć problematyczne konsekwencje dla wspólnoty europejskiej. Dobrym przykładem jest choćby ratyfikacja Traktatu Lizbońskiego. Wszędzie, gdzie odbyły się referenda, zaistniały trudności. Niemcy zaś pozwolili decydować swoim posłom we wszystkich ważnych kwestiach, co dotychczas bardzo dobrze się sprawdziło. W innym przypadku wyborcy mogliby przecież wyrazić swoje niezadowolenie i podczas wyborów do Bundestagu zagłosować na partie eurosceptyczne. Tak się jednak nie stało, więc uważam drogę niemiecką za słuszną.

Adam Krzemiński: W Polsce podchodzimy bardziej swobodnie do referendum niż w Niemczech. Niemcy mają przecież doświadczenie roku 1933 – co było też pewnego rodzaju referendum – i wyborów w 1932, dlatego też po wojnie, kiedy powstała Republika Federalna Niemiec, panowała wielka ostrożność w kwestiach bezpośredniej demokracji. Wiedziano, że społeczeństwo obywatelskie nie składa się jedynie z liberalnych demokratów, ale również z osób faszyzujących, a te z kolei mogą także powołać się na poparcie społeczeństwa. Osobiście nie wierzę w zbiorową mądrość narodu i społeczeństwa. Historia Europy posiada kilka przykładów, że narody są w stanie wariować, co może przynieść po prostu fatalne skutki.

Mimo wszystko dostrzegam też pozytywną stronę referendum. Gdybyśmy w Polsce nie przeprowadzili referendum w sprawie członkowstwa w UE, to antyeuropejska opozycja poszłaby na barykady w przekonaniu, że rząd zadecydował wbrew woli wyborców. Taki argument już nigdy nie pojawił się po udanym referendum, ponieważ nikt nie kwestionuje decyzji narodu.

Basil Kerski: Rządy w Europie dostrzegły, że poważne wyzwania dla UE można rozwiązać jedynie poprzez międzypaństwową solidarność, co jednak nie zawsze znajduje odzwierciedlenie w opinii publicznej w wielu krajach Europy. Robert Menasse w swojej wybitnej książce „Europejski poseł" poświęcił tematowi Grecji cały rozdział, w którym przypomniał, że w latach 50. to właśnie Grecy przedstawili propozycję oddłużenia młodej wówczas Republiki Federalnej Niemiec. Tak się też później stało podczas porozumienia w Londynie w 1953 roku, gdzie wyraźnie zmniejszono niemieckie długi, w konsekwencji czego Niemcy mogli przeżyć swój cud gospodarczy. Jak ma się dziś solidarność w Europie w obliczu niechęci do dzielenia długów z innymi, w obliczu przedkładania interesów narodowych nad interes ogółu? Czy tego rodzaju egoizm spowodowany jest kalkulacją czysto ekonomiczną? Czy brakuje nam jednak europejskiej więzi, ponieważ silniej utożsamiamy się z własnym narodem?

Adam Krzemiński: Niestety, wciąż prowadzimy debaty europejskie w naszym małym narodowym kręgu, ponieważ nie posiadamy europejskiej opinii publicznej. Nie jestem za tym, abyśmy jak mantrę powtarzali refleksje o naszym wspólnym europejskim losie, przywołując przemyślenia historyczne i filozoficzne. Gdy jednak spojrzę na polską politykę i media, wątpię, że większość zrozumiała prawdziwy fundament kryjący się za UE i posiada rozwiniętą świadomość europejską. Pewna polska gazeta bulwarowa napisała wprost, że UE ma zapłacić i znikać. Większość z pewnością nie podziela tego poglądu, jednak duża część społeczeństwa, nie tylko w Polsce, zgodziłaby się z nim.

Słabe samopoczucie europejskie – co jest sednem naszego tak zwanego kryzysu – jest ściśle powiązane z akceptacją stereotypów i XIX-wiecznych wzorów myślowych. Staje się to szczególnie widoczne podczas obchodów rocznic historycznych, które stanowią zawsze moment tożsamościowy dla społeczeństwa. Całkiem niedawno miałem okazję zaobserwować dwie takie rocznice w Polsce i Niemczech, i skłoniły mnie one do refleksji. Z jednej strony była to dwusetna rocznica bitwy narodów w Lipsku. Nie czuło się tam Europy, była ona obecna jedynie w drętwych przemowach polityków, tożsamość regionalna była za to bardzo wyrazista. To, co tam widziałem, to kolorowa teatralizacja historii bez głębszej refleksji o Europie, jaką była ona dwieście lat temu, jaka jest dziś i jaka będzie za 50 lat. Brakowało tam europejskiego punktu zbieżnego, wykraczającego poza regionalną i narodową tożsamość, mimo że w zjednoczonej Europie powinniśmy dziś inaczej podchodzić do wydarzeń historycznych, stosując myślenie europejskie.

Podobną rzecz widziałem w Polsce podczas rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Byłem przerażony radością ludzi podczas rekonstrukcji scen z powstania na ulicach Warszawy. Młodzi harcerze naśladowali te potworne sceny z 1944 roku. Był to spektakl pozbawiony większej refleksji, co tak naprawdę się tam wtedy wydarzyło i jaki był tamten świat.

Myślę, że jeżeli tylko rozwiniemy naszą europejską samoświadomość, to mamy szansę na ucieczkę z tego błędnego koła, na pozbycie się instrumentalizacji i teatralizacji historii. Tylko poprzez wspólną

świadomość – świadomość wolną od narodowego punktu widzenia, świadomość, że dzielimy wspólny los i będziemy chronić naszą wspólnotę – tylko wtedy zdołamy opanować problemy ekonomiczne i społeczne. I tylko wtedy potraktujemy problemy Greków z taką samą powagą, jak nasze własne. Do tego potrzebna jest kontekstualizacja wszelkich – a nie jedynie ekonomicznych – ważnych dla społeczeństwa kwestii.

Dietmar Nietan: Na początku kryzysu solidarność była w Europie sprawą drugorzędną, ponieważ wiele państw pierwotnie nie odczuwało jego symptomów i myślało, że narastające problemy je ominą. Całe szczęście, że w ostatnich dwóch latach wzrosło przekonanie, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Solidarność nie musi koniecznie polegać na chrześcijańskiej miłości bliźniego lub humanitarnym nastawieniu, może być także umotywowana egoistycznie, gdy uświadomimy sobie, że bez solidarności wobec innych nasza własna stabilność może zacząć się chwiać. To szczególnie dotyczy Niemiec jako państwa o znacznym eksporcie, a tym samym uzależnieniu od rynków zbytu. Jeżeli nie pomożemy naszym partnerom europejskim w trudnych sytuacjach, to podetniemy gałąź, na której sami siedzimy.

Przerażający jest niestety fakt, jak krótkowzrocznie niektórzy politycy lub dziennikarze wypowiadają się na temat problemów innych państw, udowadniając w ten sposób, że nie zrozumieli podstawowych założeń europejskiego projektu. Musimy nauczyć się europeizacji naszych debat. Jeżeli my, Niemcy – państwo eksportu, kraj w środku Europy – nie nauczymy się, że nasza przyszłość wymaga zrozumienia drugiej strony i kooperacji, to poniesiemy klęskę i my, i Europa. Droga nie jest łatwa, ale będę trwał przy tym, co powiedziałem – potrzebni są ludzie, którzy z wyczuciem wytłumaczą to innym. Zadaniem politycznych, ekonomicznych i kulturowych elit jest przybliżenie narodowi skomplikowanych powiązań, czasami nawet spór z opinią publiczną, bez zbędnego poczucia wyższości, lecz zgodnie z postawą odpowiedzialnego obywatela.

Johann Wadephul: Myślę, że osiągnęliśmy stan, gdzie w Europie panuje solidarność. Wspomniany brak solidarności wobec Greków na początku kryzysu był zrozumiały, dominowało pierwotnie poczucie oburzenia za nadużycie zaufania – Grecja wstąpiła przecież do strefy euro podając fałszywe statystyki. Z tego powodu na początku wielu Europejczyków na greckie wołanie o pomoc zareagowało poirytowaniem. Obecnie panuje dalekosiężny konsensus, że jedynie razem zdołamy przezwyciężyć problemy gospodarcze. Jest to progres w myśleniu europejskim, i według mnie dziś to myślenie jest mocniej zakorzenione, niż jeszcze cztery lata temu.

Solidarność nie może się jednak ograniczać wyłącznie do stosunków między państwami UE. Obecnie stoimy przed wieloma wyzwaniami, którym jedynie razem możemy stawić czoła. Do tego zaliczyć można kwestię uchodźców, która w przyszłości przybierze jeszcze na sile. Potrzebna nam jest wiążąca polityka Unii, nie możemy pozostawić samym sobie tych państw, których problem ten szczególnie dotyka. Dotyczy to również naszej wspólnej polityki zagranicznej. Europa będzie musiała przejąć więcej odpowiedzialności – zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, ponieważ Stany Zjednoczone w coraz większym stopniu stamtąd się wycofują. Z dzisiejszej perspektywy Unia Europejska ma jeszcze wiele do nadrobienia, należy jednak pamiętać, że ona od początku ewoluuje, co oznacza, że nie zawsze wszystko następuje szybko. Jest nas obecnie 28 państw, mamy różne wyobrażenia i cele. Potrzebujemy czasu, by dojrzeć do wspólnych decyzji. Takie wydarzenia jak kryzys mogą przyspieszyć pewne procesy i – jak to się dzieje w tej chwili – doprowadzić do większego znaczenia Europy.

Z niemieckiego przełożył Arkadiusz Szczepański

30 Jahre Deutsch-Polnische Gesellschaft Oldenburg e. V. • Am 26. Oktober 2013 feierte die DPG Oldenburg ihr 30-jähriges Jubiläum. An dem Festakt nahmen u. a. die erste Bürgermeisterin Germaid Eilers-Dörfler, der ehemalige Präsident des Niedersächsischen Landtags Horst Milde sowie der ehemalige Vorsitzende der Gesellschaft, Jürgen Weichert, teil. In ihrem Grußwort blickte die Bürgermeisterin auf den langen Weg der deutsch-polnischen Verständigung zurück, die gerade durch persönliche Kontakte auf zivilgesellschaftlicher Ebene gefördert werde. Sie betonte, die Voraussetzungen dafür seien nicht immer so günstig wie heute, da sich beide Staaten einst in unterschiedlichen politischen Lagern befanden und niemand den „Fall des Eisernen Vorhangs" vorausahnen konnte. Jürgen Weichert verwies auf die Entwicklung der DPG Oldenburg, die sich in ihren Anfängen in den 1980er Jahren zunächst um die Organisation von Hilfstransporten nach Polen kümmerte, später immer aktiver Künstler und Ausstellungen aus dem Nachbarland in Deutschland vorstellte, um letztendlich auch durch Reisen Menschen auf beiden Seiten der Oder zusammenzubringen. Der aus Schlesien stammende ehemalige Landtagspräsident Horst Milde äußerte in seinem Grußwort den Wunsch einer Städtepartnerschaft Oldenburgs mit einer polnischen Stadt. Für ihr herausragendes Engagement in der DPG Oldenburg wurden Jürgen Weichert, Karl Lauerwald und Barbara Martyna-Lauerwald, Leonhard Klose, Wolf Weber, Prof. Matthias Weber, Claus Diering, Helmut Hinrichs und Hans-Georg Weiss mit Urkunden geehrt. Musikalisch umrahmt wurde die Jubiläumsfeier mit Stücken von Henryk Wieniawski, gespielt von Barbara-Martyna Lauerwald (Violine) und Włodzimierz Jasionowski (Klavier).

30 lat Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Oldenburgu • 26 października 2013 Towarzystwo Niemiecko-Polskie w Oldenburgu obchodziło 30-lecie powstania. Udział w uroczystościach wzięli m.in. burmistrz miasta, pani Germaid Eilers-Dörfler, b. prezydent Landtagu Dolnej Saksonii Horst Milde oraz b. przewodniczący Towarzystwa Jürgen Weichert. Burmistrz podczas swego przemówienia podkreśliła, że droga do pojednania polsko-niemieckiego była długa, a szczególnie przyczyniły się do niego osobiste kontakty na płaszczyźnie społeczeństwa obywatelskiego. Wskazała także na fakt, że dawniej oba państwa reprezentowały dwa bloki polityczne i nikt nie mógł przewidzieć „upadku żelaznej kurtyny". Jürgen Weichert podkreślił rozwój TNP w Oldenburgu, które w latach 80. rozpoczęło swoją działalność, organizując transporty z pomocą humanitarną do Polski. Później TNP przedstawiało artystów i wystawy z Polski niemieckiej publiczności i przyczyniło się do zbliżenia między ludźmi po obu stronach Odry, organizując m.in. wycieczki. Pochodzący ze Śląska b. prezydent Landtagu Horst Milde powiedział, że w przyszłości życzyłby sobie partnerstwa pomiędzy Oldenburgiem a jednym z polskich miast. Za wybitne zaangażowanie w pracę TNP dyplomy otrzymali Jürgen Weichert, Karl Lauerwald i Barbara Martyna-Lauerwald, Leonhard Klose, Wolf Weber, prof. Matthias Weber, Claus Diering, Helmut Hinrichs i Hans-Georg Weiss. Uroczystość wzbogaciły utwory Henryka Wieniawskiego w wykonaniu Barbary-Martyny Lauerwald (skrzypce) oraz Włodzimierza Jasionowskiego (fortepian).

Demut statt Wiedergutmachung

Das Maximilian-Kolbe-Werk wurde 40 Jahre alt

Maximilian Kolbe opferte in Auschwitz sein Leben für einen seiner Mithäftlinge. Als 1973 das Maximilian-Kolbe-Werk gegründet wurde, gab man ihm nicht nur diesen großen Heiligen als Namenspatron mit auf den Weg, sondern auch zwei große Aufgaben: Zum einen sollte es einen Beitrag zur Verständigung und Versöhnung zwischen dem polnischen und dem deutschen Volk und den anderen Ländern Mittel- und Osteuropas leisten, zum andern ganz konkret ehemalige KZ- und Ghetto-Häftlinge sowie deren Angehörige unterstützen.

Begegnung in Dachau / *spotkanie w Dachau*

Die humanitären Dienste des Maximilian-Kolbe-Werks für die KZ- und Ghettoüberlebenden sind vielfältig und werden ständig den Bedürfnissen der Überlebenden gemäß weiterentwickelt. Sie reichen in Polen von finanziellen Beihilfen in Notsituationen, medizinischer Betreuung, häuslicher Pflege und Erholungsmaßnahmen bis hin zu regelmäßigen Hausbesuchen bei Kranken und Bettlägerigen durch ehrenamtliche Mitarbeiterinnen und Mitarbeiter aus Deutschland.

Das Herzstück der Arbeit des Maximilian-Kolbe-Werks in Polen liegt im Centrum Opieki Socjalnej im. Maksymiliana Kolbego in Łódź. Von hier aus erfolgen die Verteilung von rund 400 Kurplätzen in allen polnischen Landesteilen sowie der Versand von medizinischen Hilfsmitteln an Bedürftige. Das Sozialmedizinische Zentrum koordiniert die Besuche von hunderten KZ- und Ghettoüberlebenden, die nach wie vor jährlich auf Einladung des Maximilian-Kolbe-Werks zu Erholungs- und Begegnungsaufenthalten nach Deutschland kommen. Schließlich betreut es auch die rund 300 ehemaligen Häftlinge in Stadt und Region Łódź durch Sprechstunden verschiedener Fachärzte, Hausbesuche sowie einen Essen-auf-Rädern-Dienst.

Begegnung in Auschwitz / *spotkanie w Oświęcimiu*

Nicht nur in Łódź, auch in Warschau, Danzig, Lublin und Krakau engagieren sich junge Freiwillige aus Deutschland in der Betreuung der kranken und hochbetagten Überlebenden. Regional arbeitet in Polen das ehrenamtliche Netzwerk der sogenannten „Vertrauensleute", selbst KZ- und Ghettoüberlebende. In allen Landesteilen stehen sie ihren Kameradinnen und Kameraden als Ansprechpartner zur Verfügung und vermitteln die Hilfsangebote des Maximilian-Kolbe-Werks. Obwohl meist selbst bereits hochbetagt, besuchen sie jedes Jahr vor Weihnachten rund 3.000 Alte und Kranke und bringen ihnen persönlich einen Weihnachtsgruß aus Deutschland, eine zutiefst menschliche und hochgeschätzte Geste.

Anfang der 1990er Jahre, sobald die politischen Umstände es zuließen, erweiterte das Maximilian-Kolbe-Werk seine Arbeit über Polen hinaus auf die Länder der ehemaligen Sowjetunion. Hilfs- und Begegnungsprojekte führen das Werk nun regelmäßig zu KZ- und Ghettoüberlebenden in Russland, der Ukraine, Belarus, dem Baltikum und Moldawien. Neben finanzieller Unterstützung werden seit einigen Jahren auch dort, sowie in Tschechien und Ungarn, wohnortnahe Kuraufenthalte angeboten.

Getragen vor allem durch private Spenden, Kollekten in Kirchengemeinden und projektbezogene Zuschüsse, konnte es in den zurückliegenden vier Jahrzehnten Hilfen in Höhe von mehr als 70 Millionen Euro vermitteln.

Das Maximilian-Kolbe-Werk hat den KZ- und Ghettoüberlebenden in Polen einst ein Versprechen gegeben: „Wir sind für Euch da, solange Ihr uns braucht." Wir wollen dieses Versprechen einlösen. Die Arbeit des Maximilian-Kolbe-Werks wird auch über den 40. Geburtstag hinaus fortgesetzt.

Wolfgang Gerstner
Geschäftsführer Maximilian-Kolbe-Werk.

Spendenkonto: Nr. 303 49 00
Darlehnskasse Münster (BLZ 400 602 65)
IBAN DE18 4006 0265 0003 0349 00
BIC GENODEM1DKM
www.maximilian-kolbe-werk.de

Pokora zamiast naprawy wyrządzonych krzywd

Stowarzyszenie Maximilian-Kolbe-Werk skończyło 40 lat

Maksymilian Kolbe oddał w Auschwitz życie za jednego ze współwięźniów. Kiedy w 1973 roku założono Maximilian-Kolbe-Werk, nie tylko wybrano na patrona Stowarzyszenia tego wielkiego świętego, ale nałożono też na nie dwa wielkie zadania. Po pierwsze, Stowarzyszenie miało się przyczyniać do porozumienia i pojednania między narodem niemieckim i polskim oraz innymi krajami Europy Środkowej i Wschodniej; po drugie, praca placówki miała polegać na pomocy dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych i ich rodzin.

Pomoc humanitarna Maximilian-Kolbe-Werk dla osób, które przeżyły obozy koncentracyjne i getto, jest różnorodna, a ponadto wciąż dopasowuje się ją do potrzeb ocalałych. W Polsce obejmuje ona zapomogi dla osób w trudnej sytuacji finansowej, opiekę medyczną, opiekę domową oraz leczenie sanatoryjne; poza tym obłożnie chorzy i niemogący opuszczać mieszkania odwiedzani są przez honorowych współpracowników Stowarzyszenia z Niemiec.

Centralnym punktem działalności Maximilian-Kolbe-Werk w Polsce jest Centrum Opieki Socjalnej im. Maksymiliana Kolbego w Łodzi. To tutaj odbywa się przydział czterystu miejsc w sanatoriach mieszczących się na terenie kraju oraz wysyłka medycznych środków pomocy do potrzebujących. Centrum koordynuje również wizyty setek byłych więźniów obozów koncentracyjnych i gett, którzy corocznie zapraszani są przez Maximilian-Kolbe-Werk do Niemiec w celu wypoczynkowym lub na spotkania. Poza tym opiekuje się trzystoma byłymi więźniami w Łodzi i województwie łódzkim, oferując medyczną pomoc specjalistyczną, wizyty domowe oraz „Jedzenie na kółkach".

Ochotnicy z Niemiec angażują się w opiekę nad schorowanymi i posuniętymi w latach ocalałymi nie tylko w Łodzi, lecz również w Warszawie, Gdańsku, Lublinie i Krakowie. Na płaszczyźnie regionalnej w Polsce pracuje charytatywnie sieć tak zwanych „osób zaufania", którzy sami przeżyli obozy i getta. Na terenie całego kraju wspierają swoich kolegów ofertami pomocy z Maximilian-Kolbe-Werk. Choć sami są już najczęściej w podeszłym wieku, co roku, przed świętami Bożego Narodzenia, odwiedzają 3000 osób, przekazując im najlepsze życzenia z Niemiec. Jest to niezwykle ludzki i nieoceniony gest.

Na początku lat 90., kiedy tylko umożliwiła to sytuacja polityczna, Maximilian-Kolbe-Werk rozbudował swoją działalność, wychodząc poza granice Polski, na teren państw byłego Związku Radzieckiego. Projekty skupiające się na niesieniu pomocy i organizacji spotkań regularnie prowadzą Stowarzyszenie do osób mieszkających w Rosji, na Ukrainie, Białorusi, w krajach bałtyckich i Mołdawii, którzy przeżyli obozy koncentracyjne i getta. Oprócz wsparcia finansowego od kilku lat również tutaj oferowane są – podobnie jak w Czechach i na Węgrzech – pobyty w sanatoriach położonych niedaleko miejsca zamieszkania potrzebujących.

Stowarzyszeniu, finansowanym głównie dzięki prywatnym datkom, środkom zebranym na tacy w parafiach i dotacjom przyznawanym na konkretne projekty, udało się w minionych czterech dekadach wesprzeć potrzebujących środkami o łącznej sumie ponad 70 milionów euro.

Maximilian-Kolbe-Werk złożył niegdyś ocalałym z obozów koncentracyjnych i gett obietnicę: „Będziemy was tak długo wspierać, jak długo będziecie nas potrzebować". I obietnicy tej chcemy dotrzymać. Po 40 latach istnienia Stowarzyszenie nadal będzie kontynuowało swoją działalność.

Z niemieckiego przełożyła Monika Satizabal Niemeyer

Wolfgang Gerstner
dyrektor Maximilian-Kolbe-Werk.

Nr konta: 303 49 00
Nazwa banku: Darlehenskasse Münster
IBAN: DE18 4006 0265 0003 0349 00
BIC: GENODEM1DKM
www.maximilian-kolbe-werk.de

DIALOG • Deutsch-Polnisches Magazin • *Magazyn Polsko-Niemiecki*

Redaktion / redakcja • Basil Kerski, Chefredakteur / redaktor naczelny • Wojciech Duda, Piotr Leszczyński, Monika Satizabal Niemeyer, Christian Schröter, Sabine Stekel, Arkadiusz Szczepański, Krzysztof Zastawny • **Redaktionsanschrift / adres redakcji** • Deutsch-Polnisches Magazin DIALOG, Schillerstr. 59, 10627 Berlin, Tel.: (030) – 26 551 630, Fax: (030) – 26 551 631, **dpgbv@t-online.de** • **Herstellung, Gestaltung / produkcja, układ graficzny** Deutsch-Polnisches Magazin DIALOG, Piotr Mordel

Vertrieb und Anzeigenverwaltung / dystrybucja i ogłoszenia Deutsch-Polnisches Magazin DIALOG • **dpgbv@t-online.de**, **Auflage / nakład:** 7 000 Expl. / egz. • Preis: 5,50 - Euro / cena: 12,- zł, **Abonnement** / Deutschland: 16,50 Euro (Ausland 23,- Euro), Abonnenten wenden sich bitte an die Redaktion • **prenumerata** w Polsce: 28,- zł, „Przegląd Polityczny", ul. Szeroka 121/122, 80–835 Gdańsk, tel./faks: (058) 301 93 36 **dialog@przegladpolityczny.pl**

Diese Ausgabe wurde von der Stiftung für Deutsch-Polnische Zusammenarbeit und dem Auswärtigen Amt gefördert. • To wydanie wsparły Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych RFN.

Namentlich gekennzeichnete Beiträge geben nicht in jedem Fall die Meinung des Herausgebers wieder. Für unverlangt eingesandte Manuskripte, Fotos und Zeichnungen wird keine Gewähr übernommen. • Artykuły podpisane nie zawsze odzwierciedlają poglądy wydawców. Nie ponosimy odpowiedzialności za rękopisy, zdjęcia i rysunki nadesłane bez zamówienia.
ISSN 0938-1422